

Stefania  
Grodzińska

# Urodził się „Niebieski Ptak”



# Urodził go „Niebieski Ptak”

---

*Stefania Grodzieńska*

## Jak go pokochałam

Pisanie o Fryderyku Jánosym jest rzeczą bardzo trudną i skomplikowaną. Otóż Jánosy był powszechnie znany jako blagier i mitoman. Niektórzy twierdzili, że w opowieściach z jego życia nie było ani słowa prawdy. Inni znów, że tak barwne życie mogło wydawać się zmyślone. I jedni, i drudzy mieli po trochu racji. Te najbardziej nieprawdopodobne przygody wydarzyły się naprawdę... A niektóre opowieści były po prostu anegdotami, które wspaniale adaptował, przedstawiając siebie jako ich bohatera. Spędzając razem większą część okupacji - mój mąż Jerzy Jurandot, Fryderyk i ja -i gadaliśmy godzinami i nieraz opowiadał nam ze śmiechem, jak i kto nabierał się na jego „opowieści Münchhausena” - tak je określał. Jednym z najpoważniejszych dowodów jego blagierstwa miała być historia, którą chętnie opowiadał. Otóż jako młodzieniec szedł ulicą Wiednia, kiedy nadjechał karocą cesarz Franciszek Józef. Konie spłoszyły się, wszyscy zaczęli uciekać, jedynie młody Fryderyk chwycił za uzdy i z narażeniem życia uratował cesarza. Ten przywołał go, wyjął z kieszonki złoty zegarek i wręczył swemu zbawcy, po czym odjechał. Na kopercie zegarka widniał wygrawerowany napis: „Bohaterskiemu Fryderykowi Jánosyemu z podziękowaniem Cesarz Austrii i Król Węgier Franciszek Józef I”.

Była to wówczas mało znana anegdota, strawestowana przez Fryderyka. Krążyło takich anegdot więcej i powtarzano je sobie nawzajem, drwiąc z kłamcy.

A więc nie troszczmy się zbyt, czy nieprawdopodobnie brzmiące niektóre jego opowieści naprawdę się wydarzyły, choć co do większości z nich świadczę, że tak. Pamiętajmy jednak, że osoby, które opowiadają same nieskazitelnie prawdziwe rzeczy, są nieznośnymi nudziarzami. A syn „Niebieskiego Ptaka” nie mógł przecież być nudziarzem! I nie był.

Chcę opowiedzieć o człowieku zwycięskim. Sam jego wygląd nasuwał to określenie. Uroku, wdzięku, elegancji, pogody i inteligencji, poczucia humoru i wycucia powagi nie da się opisać, a żadne zdjęcie ani rola w filmie nie daje najmniejszego wyobrażenia o Jánosym „żywym”. On nie nadawał się do filmu ani nawet do grania na scenie jakiegokolwiek postaci poza Jánosym. Niezwykłość tego konferansjera polegała między innymi na niespotykanym kontakcie... nie, nie z widownią. Z każdym widzom osobno. Była to magia. Kto nie widział, jak Jánosy wychodził na proscenium i trzymając lewą ręką brzeg kurtyny mówił swoje słynne „prousi państwa”, po prostu niech żałuje, nie mogą wymyślić nic oryginalniejszego.

Tu muszę omówić pewną zasadę, której będę się trzymać przy pisaniu tych wspomnień. Jak wiadomo, Jánosy był Węgrem, polskiego nauczył się już jako człowiek w średnim wieku. Opowiadania, że mówił z obcym akcentem dla dodatkowego efektu, są bez sensu. Wątpię, czy ktokolwiek po trzydziestce nauczył się mówić po polsku bez akcentu. Język znał świetnie, ale pewne błędy, melodia, sposób wymawiania spółgłosek zostały mu na zawsze. Mogłabym z łatwością odtworzyć fonetycznie jego sposób mówienia, ale w większych porcjach byłoby to nużące. Będę to robić, przytaczając poszczególne jego zwroty, a poza tym umówmy się, że rozmowy z nim odtworzę w normalnej polszczyźnie. Fragmenty jego listów oczywiście zostaną przepisane w oryginalnej ortografii.

Zanim powrócę do „Niebieskiego Ptaka”, przytoczę piosenkę napisaną dla niego przez Jurandota w trzydziestych latach, którą Fryderyk szalenie lubił i często powtarzał w różnych programach na prośbę publiczności:

*Piosenka wytworna*

Gdy cudzoziemiec pozostaje w obcej ziemi  
I do języka chce się wziąć,  
Dwóch go rzeczy uczą zwykle przed innemi:  
Mówić: „kocham” i dobrze kląć.  
Mnie starczyła jedna doba,  
Żebym umiał kląć „choroba”,  
Wtrącać „psiakrew” i „cholera” tu i tam.  
A ponieważ mnie w tych słowach  
Powitała polska mowa,  
Dotąd dla nich sentymencik mam.  
Ta „cholera” to, choroba, miłe słowo,  
A „choroba” ma, cholera, jakiś wdzięk.  
Zwłaszcza jeśli człowiek klnie już nałogowo,  
Taki kwiatek ma soczystość, jędrność, dźwięk!  
Jest, co komu się podoba,  
Tak że tylko brać - wybierać,  
Powiedzonka jak ta lala, wprost ef-ef:  
Dla spokojnych jest „choroba”,  
Dla nerwowych jest „cholera”,  
A dla chorych na żołądek jest „psiakrew”.  
A każde z słów tych ma do tego cechy własne,  
Swą barwę, ciężar, nerwowy szok:  
„Choroby” są przeważnie ciężkie albo jasne,  
„Cholera” trafia zazwyczaj w bok.  
Lista słówek psich jest znana:  
Jest „psianoga”, jest „pies pana...”,  
„Psia mamusia”; „psiakrew” i „psiakość”.  
Przy „chorobie” i „cholrze”  
Chyba każdy coś wybierze,  
Jest dla wszystkich wybrednisiów dość.  
Bo „cholera”, to, choroba, miłe słowo,  
A „choroba” ma, cholera, jakiś wdzięk!  
Lecz gdy „cholera” działa sama (i to zdrowo) -  
Przy „chorobie” dobrze dodać „żebyś pękł”.  
Gdy w człowieku wściekłość wzbiera,  
Gdy go dręczy coś, cholera,  
Gdy go, psiakrew, coś, choroba, wprawia w gniew,  
Nic tak życia nie umili,  
Jak rąbnięcie w takiej chwili:

A choroba! A cholera! A psiakrew!

Wróćmy do „Niebieskiego Ptaka”. Był to założony tuż po pierwszej wojnie światowej na emigracji rosyjski teatrzyk. Jego twórcami byli znakomici aktorzy estradowi, wywodzący się z równie świetnych kabaretów: „Krzywego Zwierciadła” i „Nietoperza”. „Niebieski Ptak” jeździł po stolicach całej Europy, wszędzie wywołując jednakowy entuzjazm swą perfekcją, a jednocześnie nowatorstwem. Byłam na przedstawieniu w Berlinie jako kilkuletnie dziecko, bo moja matka i ojczym (także emigranci z Rosji) nie mieli gdzie mnie zostawiać. Nie sprawiałam zresztą zbytniego kłopotu, bo natychmiast na początku rozmaitych przedstawień zasypiałam na kolanach mamy i budzono mnie, kiedy trzeba było iść do domu. Nic dziwnego, że żadnego z tych spektakli nie pamiętam. Prócz tego jednego jedyne.

Słynne przez całe dwudziestolecie miniaturowe inscenizacje -jak „Wieczorny dzwon”, „Jeden wielbłąd przeszedł” (w wykonaniu genialnego Wiktora Chenkina), „Bracia Zajcew” (piosenki śpiewane przez bardzo dobry chórek, z tym tylko, że jednego ze śpiewaków bolał ząb), bajecznie kolorowa „Katarzynka” -- zostały w pamięci dziecka jako ideały harmonijnego połączenia tekstów, muzyki, wykonawstwa i scenografii. Konferansjerem był Jużnyj. Wśród tych wszystkich doskonałości to on stanowił najważniejszy element spektaklu. Każde jego pojawienie się i zejście z proscenium nagradzano najmocniejszymi oklaskami, a pojawiał się około dwudziestu razy w ciągu wieczora. Uczniem i następcą Jużnego był Fryderyk Járosy. Kiedy jednak w 1924 roku „Niebieski Ptak” przyjechał na występy do Warszawy, Járosy zakochał się w młodziutkiej tancereczce od czasu do czasu podśpiewującej piosenki i po prostu został. Gdyby nie ten, wydawałoby się, prywatny incydent, zapewne nie mielibyśmy Hanki Ordonówny, a na pewno nie mielibyśmy znakomitych teatrzyków literackich, odbiegających od tradycji „Zielonego Balonika” i innych znanych w Polsce małych form. To Járosy zaszczylił w Warszawie teatrzyk - nie rewie! - to on stworzył Ordonkę, z którą stanowił przez lata piękną parę, to on stworzył Pogorzelską, Stefcie Górską, Żelichowską, Terné, Dymśkę, Krukowskiego i wielu innych w tej postaci, w której natychmiast stali się, jak dziś powiedzielibyśmy, idolami, a wtedy - ulubieńcami Warszawy.

Járosy nie mylił się nigdy. W przeciętnej tancereczce wyczuł przyszłą Ordonkę, z zespołu szesnastu pięknych Tacjann-girls wyłowił Stefcie Górską. Obojętną publiczności sopranistkę o pięknym głosie, lecz skromnej posturze (według złośliwych kolegów mierzyła około metra), pozbawił 10-centymetrowych obcasów, krynolin i wysokich kapeluszy. Ubrawszy ją w skromniutką spódniczkę z bluzką i pantofle na płaskich obcasach, wypchnął na scenę uroczą piosenkarkę - Zofię Terné, natychmiast „kupioną” przez rozgrymaszoną widownię „Qui pro quo”. Warto wspomnieć, że z bohaterskiego tenora, popisującego się repertuarem Kiepur, zrobił Lopka, co Kazimierza Krukowskiego wcale nie zachwycało, dopóki, nie przekonał się, kim stał się dla Warszawy od czasu tej metamorfozy.

- Nigdy nikogo nie stworzyłem - złościł się Fryderyk - po prostu obdzierałem ich ze sztucznych dodatków i zostawała goła osobowość:

Ba! Ale on jeden tę osobowość nieomylnie wyczuwał. Dlaczego u nas tak mało jest indywidualności estradowych? Nie mówię o występujących autorach, ale o wykonawcach. Osobowości są, ale nie ma Járosyego, który by je obłupał.

- Dużo znaczy intuicja - dyskutowano nieraz. - Żelichowska mówi trudny wiersz Tuwima „Mała rzeczka Manzanares” tak, że sala zastyga, a ona w ogóle nie ma pojęcia, że w Hiszpanii jest jakaś wojna.

Járosy wzruszał ramionami.

- Jaka znowu intuicja? Kazałem jej cały czas patrzeć w lewy reflektor.

Fakt. Tylko trzeba przewidzieć, kto będzie tak patrzył w lewy reflektor, żeby sala zastygała.

O Járosym trudno pisać. Co chwila myśl wymyka mi się z rąk (czy może raczej z głowy), piszę chaotycznie, a tego on nie znosił.

- Jeżeli zaczęłaś coś opowiadać - radził - i podczas kolejnej dygresji zapominasz, co chciałaś powiedzieć, nie jękać się, nie stękać: zaraz, o czym to ja mówiłam...? Nie milknij przerażona, tylko szybko wymyśl jakąkolwiek puentę. Jeśli tego nie potrafisz, bierz palto i idź do domu.

Właśnie. Chciałam o Fryderyku człowieku, napisałam o Fryderyku reżyserze, a tu czekają w kolejce Fryderyk niepowtarzalny konferansjer, Fryderyk wychowawca, Fryderyk opiekun zespołu, Fryderyk mądry przed szkodą, Fryderyk odważny, Fryderyk konspirator czasu wojny, Fryderyk Węgier z narodowości, Austriak z obywatelstwa, który tak do nas pisał z Londynu w 1956 roku:

„Pozdrówcie ode mnie tę ziemię, która mi przez 20 lat dała tyle radości życia, tyle uniesień i polotów i w którą nie będąc Polakiem tak wrosłem, że ani kłąć, ani kochać już nie potrafię inaczej, niż po polsku”.

No tak. Teraz, zaplątana w dygresje, powinnam szybko wymyślić jakąkolwiek puentę albo złapać palto i do domu. Ładny gips. Przecież dopiero zaczęłam! To zaledwie wstęp, a ja już się jękam: zaraz, o czym to ja mówiłam...?

Na nic plan, który sobie przygotowałam. Zdanie ciągnie zdanie, dygresja rodzi dygresję, która rodzi dygresję, która rodzi dygresję (co ja z tym rodzeniem?) i nic na to nie poradzę. Ale na razie albo puenta, albo palto. Wybieram puentę, której nie muszę wymyślać, bo jest prawdziwą odpowiedzią na częste pytania: dlaczego ten polski Węgier był Austriakiem, a rodzinę miał jugosłowiańską?

Fryderyk Járosy urodził się w latach dziewięćdziesiątych w węgierskiej rodzinie jako jedno z jedenaściorga dzieci. Po pierwszej wojnie światowej ludność z jego stron optowała, czyli wybierała obywatelstwo austriackie lub jugosłowiańskie. Fryderyk śladem całej rodziny zgłosił się do urzędu jugosłowiańskiego. Siedząc w poczekalni; zapalił papierosa. Urzędnik z okienka wrzasnął:

- Tu nie wolno palić!

- A pan pali,- zauważył Járosy.

- Bo mnie wolno!

Fryderyk wstał, powiedział: „To nie jest kraj dla mnie” i przeniósł się do urzędu austriackiego. Nie przypuszczał wtedy, jak drogo będzie go kosztować ta decyzja dwadzieścia parę lat później...

Teraz już wkopałam się do reszty. Miała być puenta, tymczasem to klasyczny początek, jak o kimś, kto obejmuje właśnie wysokie stanowisko: „Urodził się w wielodzietnej rodzinie” itd.

Jedźmy chronologicznie. Choć nie uniknę wyskoków na boki, chronologia będzie popychać akcję i daje nadzieję, że kiedyś dojdzie do końca.

Byłam uczennicą gimnazjum w Łodzi. Wujostwo moi, jedyna zamożna i światowa gałąź rodziny - ciotka dobrze się wydała za mąż-jeździli do Warszawy na każdy program „Qui pro quo”. Po powrocie przychodzili do babci, u której wychowywałam się razem z bratem, i opowiadali po kolei o wszystkich numerach. My z bratem staliśmy pod drzwiami i podслуchiwaliśmy, bo to było nie dla dzieci. Ciotka opowiadała treść piosenek, monologów i skeczów, opisywała, co nosiła Pogorzelska, Ordonka i było bardzo ciekawie. Na końcu jednak mówiła niezmiennie: „To wszystko znakomite, ale Járosy!” Tu ciotka (jedyna rozsądna kobieta w rodzinie, która dobrze się wydała) traciła swój przysłowiowy rozsądek i wykrzykiwała takie zachwyty, że bogaty i światowy mąż jej, za którego tak pomyślnie wyszła, a nie, jak moja matka, za gołodupca, co jej zresztą ta właśnie ciotka wypominała, ten mąż wtrącał dystygowanie: „Rzeczywiście, to niezły konferansjer, ale uspokój się, moja droga”.

W ten sposób legenda Járosyego dotarła do mnie bardzo wcześnie.

Kiedy miałam 13 lat, przyjechała jak co roku do Łodzi na wakacje moja matka, stale mieszkająca w Paryżu. Na zaproszenie krewnej, ciotki Żmijewskiej, pojechałyśmy na kilka dni do Warszawy. Mąż ciotki Żmijewskiej, zwany przez nas ciotkiem Żmijewskim, pisywał piosenki, będąc poza tym normalnym człowiekiem, inżynierem czy kimś w tym rodzaju. Ciotek Żmijewski dał nam więc darmowe bilety do „Morskiego Oka” i do „Qui pro quo”. Z bogatej rewii w „Morskim Oku” pamiętam tylko, że zakochałam się bardzo poważnie w Aleksandrze Żabczyńskim. Poza tym nic, dosłownie nic nie zapamiętałam. Moja matka (starsza, bądź co bądź, ode mnie o 18 lat) pochwaliła mój gust, zastrzegając jednak, że to nie jej typ. Dotychczas kochałam się w Aleksandrze Węgierce, którego już dwa razy widziałam na scenie. Długo w nocy pocieszała mnie matka, że nie muszę czuć się winna w stosunku do Węgierki, bo przecież można doskonale kochać dwóch mężczyzn jednocześnie!

Nazajutrz byłyśmy w „Qui pro quo”. W przeciwieństwie do „Morskiego Oka”, powtórzył się ten sam fenomen, co niegdyś z „Niebieskim Ptakiem”. Do dziś pamiętam program! Wspaniała aktorka dramatyczna, tu na gościnnych występach, Maria Modzelewska śpiewała piękne piosenki swego męża, Mariana Hemara: „Chciałabym, a boję się”, „Kto inny nie umiałby” i „Słowa miłości”. Chór Dana z Ordonówna wykonywał tango zaczynające się: „Mówią ludzie, że księżyc”, dalej nie pamiętam, ale melodie wszystkich tych piosenek mogę zaśpiewać. Był Krukowski jako Lopek, Lawiński z Konradem Tomem w szmoncesowym dialogu typu „dwóch Żydów na ławce”, Ordonka śpiewała solo. Było wiele innych wspaniałości, ale wszystko przysłonił mi moment, kiedy przed kurtynę wyszedł Fryderyk Járosy. Pamiętając opowiadania ciotki w Łodzi, od razu poznałam, że to on. Był taki, jakim go sobie wyobrażałam, tylko o wiele cudowniejszy. Powiedział „prousi państwa” i moja matka kopnęła mnie w kostkę.

Po przedstawieniu na moje rozpaczliwe pytanie, co mam teraz zrobić z Węgierką i Żabczyńskim, moja trzydziestoparoletnia matka, która znała się na mężczyznach, zawołała: „Ty idiotko, masz jeszcze wątpliwości?” Po czym postąpiła niegodnie, bo odwróciła się do ściany i zasnęła.

Węgierki nigdy nie poznałam osobiście - z teatrami dramatycznymi miałam mało kontaktu - a potem zamordowali go hitlerowcy. Wtedy, tej nocy, kiedy leżąc obok mojej matki na tapczanie ciotki Żmijewskiej przy ulicy Żurawiej 4a, parter w podwórzu, z bólem degradowałam moje dwie poprzednie miłości, niepodzielnie oddając serce Járosyemu, tej nocy nie mogłam nawet wyobrazić sobie, że polubimy się bardzo z przemiłym kolegą Darkiem Żabczyńskim, ani tym mniej, że z Járosym połączy mnie przyjaźń dosłownie na śmierć i życie, że to on nada kierunek mojemu życiu zawodowemu, że stanie się jednym z najbliższych mi ludzi na świecie.

Oto, co pisał do nas w 1946 roku w odpowiedzi na pierwszy nasz list po zdobyciu jego londyńskiego adresu:

„Moi najbliżsi, najmils i najdrożsi przyjaciele!

Za mało znam polski język, by Wam tłumaczyć, jak głęboko mnie wzruszył wasz list, jak dawno, daawno nie odczuwane ciepło z niego na mnie wiało i jaka ogromna tęsknota za wami mnie ogarnęła. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że to, cośmy wspólnie (w najpiękniejszym, nie oklepanym, w najistotniejszym, nie frazeologicznym tego słowa znaczeniu) przeżyli, okazało się czymś wiecznym, czymś, co nas do siebie zbliżyło i nas ze sobą związało tak, że po przeczytaniu, po przekochaniu waszego listu miałem wrażenie, że moja siostra, u której mieszkam, nie jest mi tak bliska, jak wy, kombatanci moi, konstradalcy<sup>1</sup> moi”.

Po wojnie przekonaliśmy się z Jurandotem, że nikt, kompletnie nikt z naszych najbliższych nie ocalał.

- No i jesteśmy sami, jak dwa palce w nosie - powiedziałam. - Jak trzy palce w nosie. Przecież jest Fryderyk - sprostował Jurek:

Teraz znów przeskoczyłam od ciotki Żmijewskiej, Żurawia 4a, do czasów powojennych. Przeskoczyłam cały okres, w którym rozgrywał się dla mnie Járosy.

---

<sup>1</sup> Stradat' – po rosyjsku cierpieć.



## Szarpió z akcentem na „o”

Minęło parę lat od chwili, kiedy dzięki darmówce od ciotka Żmijewskiego po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy Járosyego. Wyróżniałam się w szkole baletowej w Łodzi, a nawet, w tajemnicy przed moimi władzami szkolnymi, występowałam w Teatrze Miejskim na Cegielnianej (teraz jest tam Teatr im. Jaracza). Kreowałam aniołka w „Jasiu i Małgosi” na porankach dla dzieci, podczas gdy Małgosię grała równie nieletnia moja rówieśnica, Jadzia Andrzejewska, z którą przyjaźń od tych czasów przetrwała do jej śmierci.

Zdolności taneczne bardzo mi się przysłużyły; kiedy - jak na zamówienie - wyrzucono mnie z wielkim hukiem z gimnazjum, skorzystałam z tak bajecznej okazji i przeniosłam się do Warszawy, gdzie wstąpiłam do szkoły baletowej. Stąd już tylko krok, by w roku 1934 znaleźć się w zespole występującym w „Cyganerii”. Był to teatrzyk efemeryda, jakie zwykł zakładać Járosy dla przetrwania między plajtą poprzedniego a założeniem następnego teatru. „Cyganeria” mieściła się na ulicy Jasnej, róg Sienkiewicza, w lokalu po „Morskim Oku”.

Tu muszę wytłumaczyć, dlaczego bankrutowały teatrzyki tak lubiane przez publiczność. Pierwszą przyczyną był, oczywiście, kryzys, ale wcale nie ostatnią - gaże gwiazd. Dla porównania powiem, że kiedy nieco później jako debiutująca tancerka solistka zarabiałam 250 złotych miesięcznie, gwiazdy w tym samym programie miały po 5, 8 i więcej tysięcy, również miesięcznie.

W Warszawie, prócz różnych małych rewii, zawsze istniały równoległe dwa liczące się teatrzyki: jeden typu satyrycznego (Járosy), a drugi rewiowy (Włast). Niektóre gwiazdy załatwiały sprawę szybko. Żądały od swojej dyirekcji podwyżki. „Nie możesz? Dobrze”. I gwiazda wsiadała do taksówki (wtedy tylko Pogorzelska, Járosy, Dymsha i Zimińska mieli samochody), jechała do Własta, a po półgodzinie tą samą taksówką wracała z wiadomością, że Włast już jej daje żadaną sumę, ale ona nie chciaaby się tam przenosić.

W tych czasach taki teatrzyk, nigdy nie subsydiowany; nie mógł istnieć bez gwiazd, więc dyirekcja samobójczo dawała tę podwyżkę. Wszystkie inne gwiazdy natychmiast żądały takiej samej podwyżki i też dostawały, bo trzeba było liczyć się z tym, że nie tylko gwiazd nie będzie tu, ale - co gorsza - będą one tam. W pewnym momencie budżet pękał, teatr się zamykał, gwiazdy pędziły co tchu angażować się do konkurencji, a szaraki zespołu zostawały nie tylko bez pracy, ale z nie zapłaconą ostatnią gażą, którą zresztą już dawno miały przejedzoną na kredyt.

Járosy, jeden jedyny ze wszystkich dyrektorów, nie osierocał w takich wypadkach zespołu. On, który w każdej chwili mógł zaangażować się z bajeczną gażą, organizował cokolwiek, aby dać żyć kolegom. Do takich właśnie imprez należała „Cyganeria”, która nawet jakoś przebrnęła przez kilka programów.

My wszystkie z zespołu tanecznego, choć stare wyjadaczki teatralne (wiek od 17 do 23 lat), byłyśmy nieprzytomne na myśl, że poznamy Járosyego. Kochałyśmy się w nim wszystkie i choć w programie mieli brać udział znani aktorzy z pięknym amantem filmowym Igo Symem na czele (ten sam, który w czasie okupacji zginął z wyroku organizacji podziemnej), Járosy był nieporównywalny.

Pierwszym tańcem, jaki próbowaliśmy na tej scenie, był walc z „Zemsty Nietoperza”. Zanim padło wołanie inspicjenta „Balet na scenę!”, podejrzałyśmy przez dziurkę w kulisie, że na pustej widowni

siedzi Járosy, który reżyserował program. Padliśmy. Nasze bóstwo ma nas zobaczyć pierwszy raz w niewdzięcznych ubiorach do prób, nie malowane, nie uczesane! Co robić?!

Bezlitosny dyrektor Zdzisław Górzyński zastukał pałeczką i z kanału popłynęły dźwięki naszej muzyki. Zmobilizowaliśmy się i całe spięte, z idiotycznym sztywnym uśmiechem wybiegaliśmy na scenę. Mogę oświadczyć pod przysięgą, że nigdy w życiu nie udało mi się gorzej zatańczyć. I nie tylko mnie. Przebrnęliśmy do końca i stanęliśmy na proscenium, oczekując uwag.

- Nnno tak... bardzo ładne - powiedział Járosy z bolesnym uśmiechem i wyszedł z sali.

Pobiegliśmy do garderoby.

- Nie podobało mu się.

- Co się miało podobać, ten knot?

- Dziewczęta, on nas wyrzuci po tej próbie.

- I będzie miał rację - powiedziałam tragicznie.

- Tak? Teraz się mądrzysz, a w piruetach to ty nawaliłaś. I żebyś wiedziała, że on właśnie na ciebie patrzył. Teraz przez ciebie wszystkie nas wyrzuci.

- Nie bójcie się. Najwyżej każe mnie wymienić na inną - westchnęłam.

Nie uważałam, że bym tańczyła gorzej niż inne, ale wśród siedmiu ładnych, wysokich blondynek o modnej urodzie byłam czarnym kurdupłem o sylwetce trzynastoletniego chłopca.

Wprawdzie nie kazał mnie wymienić, ale znęcał się nade mną na próbach.

- Panienki, ustawiamy finał. Stańcie dokoła pana Syma. Dobrze. Tylko to szarpio afrikanske więcej do przodu, jeszcze je pan Sym rozdepcze.

Wszystkie się roześmiały i ja też. Dopiero z min koleżanek zrozumiałam, że chodzi o mnie. Odtąd zostałam „szarpio”, obowiązkowo z akcentem na „o”! Nie zawsze byłam zwykłym „szarpio afrikanskim”. Bywałam francuskim „champion africain”, niemieckim „afrikanischer Scharpiomann”, rosyjską „Szarpioidą Afrikanowną”. Ostatni raz powiedział do mnie „szarpio afrikanske” z akcentem na „o” 26 lipca 1944 roku, kiedy po wizycie u niego na Filtrowej 68 m 33 wracałam do swego miejsca pracy, umawiając się, że wpadnę 3 sierpnia. Nie wpadłam 3 sierpnia.

Po wojnie korespondowaliśmy ze sobą, ale już nigdy nie miał okazji powiedzieć do mnie „szarpio” z akcentem na „o”.

Korespondowaliśmy to częściej, to rzadziej. W połowie lat pięćdziesiątych otworzyły się możliwości wyjazdów na Zachód. Jurandot pojechał do Paryża i Londynu w końcu 1956 roku w grupie pisarzy i kompozytorów. W ciągu całego pobytu w Londynie nie rozstawał się z Járosym, od pierwszego spojrzenia na lotnisku było tak, jakby pożegnali się wczoraj wieczorem.

Ten sam, ten sam - - odpowiadał na moje pytania - - jest zupełnie ten sam, tylko stary i bez pieniędzy. Ale nie stracił nic ze swojej mądrości, wdzięku, dowcipu i przede wszystkim ciepła. Na moje pytanie

na lotnisku, co to za dzielnica, w której mieszka, odpowiedział: „Jeżeli Picadilly Circus jest sercem Londynu, to ja mieszkam w dupie Londynu”.

W 57 roku nadarzyła mi się okazja wyjazdu do Paryża, gdzie jeszcze od przedwojnia mieszka grupa moich przyjaciół z czasów gimnazjalnych. Postanowiłam skrócić pobyt w Paryżu, aby odwiedzić Járosyego w Londynie. Napisałam mu o tym. W odpowiedzi przyszedł list:

„Londyn, 25 I 57

Moja najdroższa Stefa!

Dlaczego dziś piszę do Ciebie? Dlaczego nie 5 lat temu, rok temu, codziennie dwa razy lub przynajmniej zaraz po wyjeździe Jurka? Dlaczego nie po otrzymaniu Twoich czarujących listów?

Czyżby tylko dlatego, że szary, monotony deszcz pada i że w związku z tym moje charatane serce jakoś nieprawidłowo funkcjonuje? Że siedzę sam w domu, forsy nie mam, by gdzieś pójść - i w ogóle - »niekamumordu nabić«?

*Prześłał: „Część moich marzeń spełniła się w życiu. Może i to?”  
Odpowiem Ci na to: Część moich marzeń spełniła się w życiu. Może i to?”  
Wiesz co, Stefa, najgłupsza na świecie —  
Ja Ci bardzo serdecznie i czule całuję —  
i coby się nie stało i czegoś mi nie byłoby  
zrobić świadkami —  
Ścisnąć Ci do serca i zawsze  
bądź Twoim niezmienne błogosławieństwem  
Franciszek*

Nie!!! Już wiem dlaczego: w Twoim Noworocznym liście było coś, co mnie zelektryzowało! Piszesz, że istnieje możliwość, że i Ty przyjedziesz z wizytą do Londynu! O!! To, to, to!!! No -Jak to - na litość Boską - - w takiej chwili nie chwycić się za pióro i nie powiedzieć Ci, że ---, nie zapewnić Ci, że ---, a idioci mówią, że umiem pisać, kiedy najprościch słów mi brak, by opisać tę cichą, wzruszoną radość, którą ta nadzieja we mnie budzi -i już serce jest w porządku i jest o co się jeszcze modlić i dawno zapomniane słowo znowu nabiera sensu: Perspektywa! Innej przecież już nie ma dla mnie, tylko ta: że pewnego dnia dostanę depeszę, że przyjedziesz! Ze wszystkich mistycznych sił postaram się dożyć do tego dnia.

Piszesz: »Część moich marzeń spełniła się w życiu. Może i to?« Odpowiem Ci na to: Część moich marzeń spełniła się w życiu. Może i to?

Wiesz co, Stefa, najgłupsza na świecie? - - Ja Cię bardzo serdecznie i czule całuję i coby się nie stało i czegośmy nie byliby jeszcze świadkami -

ściskam Cię do serca i zawsze będę Twoim niezmiennie bliskim

Franusiem”.

Anglicy nie dali mi wizy.

Długo, długo po programie w „Cyganerii”, w którymś roku okupacji podczas jednej z nie kończących się rozmów spytałam Fryderyka, dlaczego tak mnie wówczas tępił. Roześmiał się.

- Głównie z sadyzmu, bo wszystko kupowałaś i zaraz miałaś łzy w oczach. Ale tak naprawdę to od pierwszej chwili zobaczyłem w tobie takiego rzewnego komika. Potrzebowałem mieć w teatrze jakiegoś nowego typka i myślałem sobie, że z ciebie da się coś zrobić.

Trzeba było. A nie czekać z tym do września 39 roku - mruknęłam.

Ten program w „Cyganerii” miał premierę w święta wielkanocne 1934 roku, a nazywał się „Wesołe jajko”.

Z tego okresu pozostało mi w pamięci niezbyt dużo.

Kilka razy udało mi się nielegalnie przykucnąć w ostatnich rzędach widowni w czasie prób Járosyego z solistami. Wyrzucał wtedy wszystkich z sali. Często próbował piosenki a cappella, żeby nie było przy tym nawet akompaniatora. Obserwowałam, jak z nieskończoną cierpliwością szukał sposobów wydobywania z wykonawcy dokładnie tego, co chciał. Jego genialność jako reżysera polegała między innymi na tym, że nie pokazywał, nie wychodził na scenę, w zasadzie nie ruszał się ze swego trzeciego rzędu na widowni, a potrafił wszystko przekazać najgorszemu tumanowi. Był nieomylny, z góry wiedział, czego po kim może się spodziewać. Kazał nieraz powtarzać fragment bez końca, nie dyskutując, nie krytykując, jak najmniej tłumacząc. Uwagi jego były najczęściej typu: „Teraz tak samo, tylko idąc dwa kroki naprzód”, „Stop, nie trzy, tylko dwa. No to co, że piosenka jest na trzy? Ty zrób dwa”. Albo (to pamiętam doskonale!): „Od refrenu opuść ręce, niech bezradnie wiszą. Reszta tak samo jak teraz”. „Nie, nie, nie trzymaj ich opuszczonych, tylko niech naprawdę wiszą. Jak dwie kiełbasy”. Sama to widziałam: kiedy te ręce wreszcie naprawdę wisiały jak kiełbasy, zmieniła się nie tylko interpretacja, ale nawet timbre głosu, nawet spojrzenie naszego wykonawcy! A on sam mówił do kolegów po próbie: „Widzieliście efekciarza? Dramatyczny numer, robię identycznie, a on nagle chwali, bo ręce wiszą!”

Z każdym pracował inaczej. Byli aktorzy, którzy rozumieli go w pół słowa. Czasem wcale się nie odzywał, tylko patrzył. Wykonawca sam powtarzał, kłął, mówił, że tego nie będzie robił, zaczynał od początku i wreszcie za którymś razem wołał: „No jak?” A Járosy odpowiadała spokojnie: „O to szło. Koniec próby. Kto następny?” Potem, po latach, kiedy byłam już solistką w „Cyruliku Warszawskim”, miałam okazję (tak samo z ukrycia) oglądać próby z Żelichowską, Terné, a nawet z Ordonką. Pamiętam, z czym przychodziły na próbę, najczęściej zrozpaczone tekstem, błagające o coś innego, bo z tego przecież nic się nie da zrobić. Po próbie wychodziły szczęśliwe albo nieszczęśliwe, to nie miało znaczenia. Járosy wałkował je, ile było trzeba, żeby on był zadowolony.

Co jeszcze zostało mi w pamięci z „Cyganerii?” Było to niedługo po samobójstwie Stawiskiego, wielkiego światowego playboya, milionera, aferzysty. Sensacja nawet jak na owe czasy niesłychana.

Był to emigrant z Rosji, żyjący w Paryżu. Mało o nim pamiętam, był chyba również właścicielem sklepów jubilerskich, zgrywał się po najstynniejszych kasynach, miał skandale z najmodniejszymi kobietami. Pewnego dnia, zrujnowany, zadłużony, popełnił spektakularne samobójstwo w apartamencie jednego z najelegantszych hoteli paryskich, zostawiając legendę.

Półfinał był właśnie na ten temat. Sym śpiewał nostalgiczną pieśń, a wszystkie tancerki i młode aktorki tańczyły we wspaniałych kostiumach. Każda była innym klejnotem. Pod naszytymi gęsto szkiełkami odpowiedniego koloru nosiłyśmy, jak dziś by się to nazywało, bikini. „Drogie kamienie” drapały nas do krwi i lubiły odpadać na scenie. Co pracowitsze zbierały je w przerwie i przez całą drugą część przyszywały, niechlujnie wychodziły do numeru z każdym przedstawieniem mniej bogato. Ja byłam szmaragdem i zawsze miałam wszystko przyszyte. Pamiętam, jak do jednej z dziewcząt Sym (ten szczyt dobrego wychowania) syknął na scenie: „Rubin, masz cały tyłek łysy!” Brzmiały szept poszedł w widownię, powodzenie było ogromne. Karę zapłacił... biedny rubin. Dzienna gaża „z wywieszeniem”, tak to się nazywało. Szło o wywieszenie na tablicy informacyjnej. Kara była straszna, ale u Járosyego takie rzeczy nie przechodziły.

Po „Cyganerii” Járosy otworzył na Kredytowej 14 „Cyrulika Warszawskiego”. Mówię „Járosy otworzył”, choć był tylko dyrektorem artystycznym. Ale jego nazwisko określało gatunek i gwarantowało najwyższy poziom. Dla niego stale pisali Tuwim, Hemar, Brzechwa, Słonimski i powoli dołączał dwudziestoparoletni Jurandot. Następny etap mojej pracy u Járosyego zaczyna się już wiązać z Jurandotem.

Prowadząc „Cyrulika”, Járosy organizował jednocześnie program dla eleganckiego nocnego lokalu w podziemiach domu na rogu Nowego Świata i Chmielnej (obecnie Rutkowskiego), po nieparzystej stronie Chmielnej. „Bodega” należała do człowieka, który miał ambicje. Zapragnął występów nie byle kogo, bo Járosyego, i jemu powierzył skompletowanie małego zespołu artystycznego. Dla Fryderyka była to czysta chałtura, ale potrzebował dużo pieniędzy dla przeprowadzenia „Cyrulika” przez rozmaite rafy, a przy okazji, jak zawsze, chciał dać zarobić kolegom, którzy w danej chwili byli w potrzebie. Estradka była malutka, więc zaangażowano tylko cztery tancerki. I znów na mnie jedną wypadły trzy świetne blondyny.

Na generalnej próbie oprócz Járosyego na widowni siedziało kilka osób, między innymi miła koleżanka, Ina Jabłonowska, wybitna aktorka dramatyczna (po wojnie występująca w Łodzi) w towarzystwie jakiegoś młodego chłopca. Inka brała udział w programie, śpiewała piosenki pięknym, niskim głosem. W przerwie weszła do garderoby - występ jej był w drugiej części - i szepnęła do mnie tajemniczo:

- Spodobałaś się Jurandotowi. To ten, co siedział koło mnie. Wrażenie było duże. Jurandot pisał już do teatrzyków i uchodził za następcę najlepszych autorów.

- Co mówił? - spytałam ze wspaniałą obojętnością.

- Powiedział: podoba mi się ta mała czarna.

- Jeszcze jeden dowcipniś! - krzyknęłam. - Słyszał, jak dyrektor mnie się czepia, a to szarpio, a to, że mnie czarno widzi w tym programie. A ten pan jest za młody, żeby ze mnie kpinki robić. Czego on chce ode mnie?!

- Ciekawe... - powiedziała Inka i zajęła się makijażem.

„Bodega” po jakimś czasie się skończyła. Tańczyłam w różnych zespołach, w tym ambitnie, lecz bardzo tanio aż u Adwentowicza w jego Teatrze Kameralnym. Grano tam „Sygnały”, prapremierę sztuki Ewy Szelburg-Zarembiny, i ambitnie zarabiałam tam 60 złotych miesięcznie. Za sublokatorski pokój, wspólny z koleżanką z baletu, płaciłam 30 złotych, na resztę zostawał mi 1 złoty dziennie. Ech, co tam dużo mówić. Aby ratować się od śmierci głodowej, postanowiłam bogato wyjść za mąż, ale widocznie się do tego nie nadawałam, bo nie miałam ani jednej tego rodzaju propozycji. Czekając na milionera, robiłyśmy z Irką, współlokatorką, modne wtedy dżemperki --czyli małe bluzeczki z krótkimi rękawami - z szydełkowej koronki dla zamożnych pań, które chodziły na balet dwa razy w tygodniu, żeby „dostać gracji”. Profesorowie niechętnie zajmowali się amatorkami, lekcje takie prowadziły asystentki, do których i ja należałam. To my właśnie mówiłyśmy: „Niech pani spróbuje mocniej się przegiąć, dostanie pani gracji”.

Te panie właśnie dawały nam stare swetry, czapki i inne rzeczy z dzianiny, my je prułyśmy i z tego robiłyśmy dżemperki. Uprawiałyśmy przy tym zyskowny proceder, bo z wełny na trzy dżemperki wychodził nam czwarty, który sprzedawałyśmy już najzupełniej prywatnie, dbając tylko o to, żeby prawowite posiadaczki wełny chodziły na inny kurs niż nasze prywatne klientki. Wieczorami zaś zaspokajałam ambicje, snując się w ciemnościach po scenie Teatru Kameralnego za 2 złote dziennie, ubrana w worek, bo przedstawienie było nowoczesne. Widocznie od urodzenia byłam powierzchowna, bo kiedy „Sygnały” zeszyły z afisza, zaangażowałam się do girlsów w rewii przy kinie na peryferiach, gdzie wprawdzie publiczność głośno oceniała nasze damskie walory, ale płacono po 4 złote i było widno na scenie.

Tak sobie żyłam raz niżej, raz wyżej pod wozem, kiedy pewnego dnia w końcu kwietnia 1937 roku zastałam w domu kartkę: „Dyrekcja Teatru »Cyrulik Warszawski« zaprasza na audycję dnia tego a tego o godzinie 10.30. Prosimy o przygotowanie najmniej dwóch tańców solowych. Należy przynieść nuty”.

Wyznaczonego dnia tak się trzęsłam, że nie potrafiłam odpowiedzieć portierowi w teatrze, który pytał, w jakiej sprawie. Pokazałam mu kartkę od dyrekcji. Wskazał mi drogę na widownię. Weszłam cichutko i całkiem mnie sparaliżowało. Na scenie tańczyła piękna blondynka z piersiami, a na pustej widowni siedziało kilka osób, w tym Járosy i uwielbiany przez nas wszystkie choreograf Eugeniusz Koszutski, jak każdy choreograf zwany profesorem.

Tu wyjaśnię, że my, wszystkie młode tancerki pracujące w teatrzykach lub rewiach, znałyśmy się między sobą. Kiedy któraś musiała sama wystarać się o nagle zastępstwo w wypadku choroby czy innej sprawy losowej, jak na przykład skrobanka, zawsze znajdowała chętną, będącą właśnie bez pracy. Wystarczyło zadzwonić do którejkolwiek i spytać, czy nie wie, która wolna. Ponieważ należałyśmy do profesjonalistek, a układy były najczęściej girlsowe, trzeba było spotkać się z zastępstwem (nigdy nie byłyśmy zastępczyniami, tylko właśnie zastępstwem) na pół godziny i opowiedzieć układy. Tego samego wieczora zastępstwo tańczyło na spektaklu, a koleżanki podpowiadały i pomagały. W takich wypadkach „Koszut” nie narzekał, jak inni profesorowie, ale

starał się pomóc, ustawiał zastępstwo w tylnych rzędach, a nawet robił szybką próbę, jeśli był na to czas.

60 gr.



**T E A T R**  
**„CYRULIK WARSZAWSKI”**  
**Sezon III-ci**

Obecność profesora dodała mi trochę otuchy, ale entuzjazm całkiem mi opadł. A więc po prostu zaproszono kilka czy kilkanaście girlsów, aby skompletować zespół. A ja, kretynka, myślałam... Albo jeszcze gorzej: istotnie poszukują solistki, ale na zasadzie konkursu. Pełna temperamentu blondynka (bardzo zdolna koleżanka, znałam ją, rzecz jasna, ale co z tego) doskonale tańczyła taniec akrobatyczny do modnego przeboju Gershwin, a ja, idiotka, przygotowałam tańce oparte na wyrazie i nastroju. Blondynka z piersiami genialnie obracała się na rękach w tureckim szpagacie, a ja za chwilę miałam wyginać się dramatycznie, robiąc lunatyczne miny. Bo ja chciałam być inna. Będę teraz miała inną!

Blondynka skończyła. Koszut pomruczał z Jánosym, po czym spytał, czy ma coś jeszcze. Blondynka powiedziała, że przecież i tak pokazała trzy numery (tak się mówiło) zamiast dwóch.

- Dziękujemy, damy ci znać - powiedział profesor i zawołał: - Jest tam jeszcze która? Następna!

W pobliżu nie było trucizny, kurka od gazu ani okna do skakania, więc poszłam na scenę po schodkach z widowni. Nie zdążyłam wejść, kiedy usłyszałam ubóstwiany głos:

- I prouszi, kogóż to widzimy? Szarpio afrikanske! Ukłoniłam się i wyszemrałam:

- Mam „Valse triste” Sibeliusa i tango „Plegaria”. Trzęsącą się ręką podałam do kanału nuty Leonowi Boruńskiemu. Był to znakomity pianista, brat poety i aktora Włodzimierza.

Jeśli po takim wstępie czytelnik już wie, że właśnie mnie zaangażowano na solistkę, to proszę nie mieć mi za złe. Nie piszę kryminału i nie usiłowałam wywołać napięcia.

# **SŁOŃCE W CYRULIKU**

## **REWIA WIOSENNA**

### **teatru »Cyrulik Warszawski«**

Sezon 1936/37.

Kierownictwo artystyczne: *Fryderyk Járosy*

Dekoracje: *Władysław Daszewski*  
i *Józef Galewski*

Choreografia: *Eugeniusz Koszutski*

Kostjomy: *Gena Galewska*

Przy fortepianach: *Leon Boruński i Karol Gimpel*

Nie będę więc długo rozwodzić się nad tym, jak przerwano mi po pierwszych taktach Sibeliusa i kazano zacząć od „Plegarii”, jak po odtarnczeniu tanga zaległa głucha cisza i znów zabrzmiał Sibelius, i znów go przerwano.

Járosy i Koszutski wstali. Pobiegłam na przód sceny.

Błagam, proszę mi pozwolić dokończyć tego Sibeliusa, naprawdę jest lepszy od „Plegarii”! Albo może jeszcze coś innego, tamta tańczyła trzy!

-- Przestań się mazać i zejdz tu - przerwał mi Járosy.

Zeszłam.

Patrz, Geniu, ona nie umalowała rzęs, przewidziała, że będzie płakać - powiedział Járosy z nie ukrywaną satysfakcją.

- Dlaczego dyrektor jeszcze znęca się nade mną? - wyjąkałam. Dość tych prywatnych rozmów. Nie znoszę, kiedy piplaje się spoufalają! Aha, byłbym zapomniał. Czy to prawda, że Adwentowicz nosił cię w worku po scenie?

- Nieprawda!!! To była piękna, poważna sztuka i miałam dwa wyjścia! Dyrektor zawsze...

- Cisza! - zagrział mój ideał. -Geniu, umów ją na próbę.

I wyszedł.

- Przyjdz jutro na dziesiątą. Będziemy ustawiać półfinał. Nuty „Plegarii” zostaw panu Boruńskiemu, a tego twojego Sibeliusa możesz sobie zabrać. Zatańczysz go kiedyś u Adwentowicza.



Mówiąc najsurowszym ze swoich tonów, Koszut objął mnie i pocałował w policzek. Kiedy przed otwarciem „Syreny” w 1945 roku w Łodzi Jurandot zaangażował go jako reżysera, spotkaliśmy się pierwszy raz po wojnie. Rzuciłam mu się na szyję i powiedziałam, że tamten pocałunek po audycji w „Cyruliku” był jednym z najmiłszych, jakie zaznałam.

Tymczasem byłam naprawdę półprzytomna. Nie wiedziałam jednak, że to punkt zwrotny w moim życiu nie tylko zawodowym: wtedy, w czasie prób do programu „Słońce w Cyruliku”, w maju 1937 roku nastąpił Jurandot i był przez 43 lata.

Premiera „Słońca” odbyła się w ciepły, pogodny wieczór 15 maja.

Przed moją solówką Zosia Terné śpiewała „Złamaną płytę” i „Kiedy będziesz zakochany”. Ten przebój na zawsze skojarzył mi się z uczuciem gigantycznej tremy. Zosia śpiewała na proscenium, siedząc na budce suflera. Kurtyna była zamknięta, na scenie ciemno. Mogłabym już ustawić się w prawym tylnym kącie sceny, gdzie zaczynałam „Plegarię”. Odkładałam jednak tę chwilę. Stałam na planie wyprana z jakiegokolwiek myśli, modląc się tylko, żeby ta Zosia jak najdłużej bisowała. Járosy wszedł po schodach z garderoby, która mieściła się w podziemiu, i stanął obok mnie. Pachniał lawendą (zawsze używał wody lawendowej Yardleya) i uśmiechał się do mnie ciepło i bez zwykłej złośliwości. Zosia kończyła piosenkę bisową. Járosy położył palącego się papierosa na kaloryferze. To był jego rytuał przed wyjściem przed kurtynę. Piplaje (młode tancerki i aktorki bez specjalnego znaczenia, inaczej „tancerczki” i „aktoreczki”), otóż piplaje zakradały się podczas dłuższych zapowiedzi i łąpały cuga, wprawnie unikając zafarbowania papierosa szminką. Wiadomo było, że zawsze tam leży zapalony papieros, a piplaje, jak teatr teatrem, nigdy nie miały na papierosy i wiecznie żebrały albo kradły. Járosy znał te praktyki, ale nie reagował na nie, rozumiał nasze potrzeby. Zresztą, innym kolegom wystarczyło odwrócić się na chwilę, aby położony na popielnicze papieros się zdematerializował, natomiast Járosy zawsze znajdował swój niedopałek w tym samym miejscu na kaloryferze, no, może trochę krótszy.

Dziś jednak nie w głowie mi było pociąganie papierosa. Stałam „w pozie” w prawym tylnym kącie ciemnej sceny i słuchałam zapowiedzi. On mnie zapowiadał! Nigdy nie próbował w teatrze konferansjerki, zawsze słyszeliśmy ją pierwszy raz na premierze.

- Prouzi państwa! Zobaczcie pewną młodą osobę. Od was zależy, czy za parę minut opuści tę scenę najszczęśliwsza, czy najnieszczęśliwsza dziewczyna w Warszawie. Jej sztuka zasługuje na to, żeby przyniosła jej szczęście... Ale może to tylko moje zdanie...

Wychodząc szybko pod osłoną skrzydła rozsuwającej się kurtyny, krzyknął do mnie: „Szarpio! Będzie dobrze!”

I było. Spróbowałyby nie być po takiej zapowiedzi!

Opuszczając scenę na tej premierze i potem dwa razy co wieczór przez ponad dwa miesiące, tak, byłam najszczęśliwszą dziewczyną w Warszawie.

W tymże pamiętnym programie półfinałem był „Walczyk Warszawy” Jurandota, przepięknie śpiewany przez Zosię Terné. Uczestniczył prawie cały zespół. Ja tańczyłam jedną ze zwrotek i - ach! - brałam udział w zbiorowych ewolucjach jako solistka. Kochany profesor! To już pewnie on wymyślił.

## **WALCZYK WARSZAWY**

Tekst: Jurandot

Muzyka: Zygmunt Wiehler

Dekoracja: Józef Galewski

*Zosia Terné, Helena Grossówna, Stefania Grodzieńska, Marysia Nobisówna, Pola Szmarówna, Eugeniusz Koszutski*

W następnym programie miałam tańczyć rumbę na wysokim, okrągłym stoliku na jednej nodze. To jest - ja na dwóch nogach, to stół miał jedną. Gena Galewska, która projektowała kostiumy w „Cyruliku”, narysowała dla mnie coś bajkowego. Ogromna spódnica była pozszywana wzdłuż z szerokich wstążek, przy czym żaden kolor się nie powtarzał. Dawało to taki efekt, że kiedy weszłam na scenę na generalnej próbie, koledzy siedzący na widowni zaczęli entuzjastycznie klaskać, co dotychczas zdarzało się tylko na widok Żelichowskiej w kostiumie zaprojektowanym przez jej męża, słynnego malarza Stefana Norblina. Nie miałam wątpliwości, że to kostium ma brawa, ale ten dobry początek tak mnie podniecił, iż w połowie próby skręciłam nogę. I żeby chociaż spadła ze stolika, na co, nawiasem mówiąc, wszyscy się szykowali, ale nie, obracając się na tej miniaturowej przestrzeni w szybkich i trudnych rytmach, normalnie skręciłam tę cholerną nogę, co mogłam spokojnie zrobić w domu albo na ulicy. Sen o rumbie i o tym cudownym kostiumie prześnił się i szlus. Nasz lekarz teatralny - tego dnia miał dyżur laryngolog, ale sprawa była nieskomplikowana - orzekł zupełnie normalnym głosem, że to nic takiego, przykładać lód, a od jutra okłady i wesoło dodał: „Miałaś szczęście, za tydzień będziesz mogła wstać”. Widziałam większe szczęścia. Doktor Antonowicz leczył nas (oczywiście darmo) przez całą okupację, a po wojnie przez długie jeszcze lata, wspólnie z młodszą lekarką doktor Tulczyńską, zajmował się anginami mojej córki. Nie odmawiałam sobie jednak przyjemności wypominania mu, że może gdyby zamiast niego wtedy miał dyżur chirurg, mogłabym tańczyć na premierze. A doktor niezmiennie odpowiadał: „Gdybyś tak obrzuciła przekleństwami chirurga, toby ci tę nogę urznął”.

Tak czy inaczej premiera mi się wymyknęła. Jąrosy jednak nie byłby Jąrosym, gdyby zabieranej do domu, ciężko zrozpaczonej i zapałanej piplai nie powiedział czegoś na pocieszenie.

- W następnym programie otworzysz usta. Nie rozumielałam.

- Zagrasz w skeczu i zaśpiewasz jakąś zwrotkę w finale. Zobaczmy, co się z takiej buzi wydobędzie.

- Ja nie potrafię... -jęknęłam.

- Zapewne - odpowiedział - inaczej zwolnilibyśmy Ordonkę lub Żelichowską.

W następnym programie dano mi niewielką, ale znakomitą rolę w skeczu, zwrotkę w finale... muszę ją przytoczyć. Był to zespołowy numer pod tytułem „Drobne ogłoszenia”. Ja śpiewałam:

Sprzedam gmach w Genewie wraz z salą posiedzeń  
Tudzież komplet krzesel spod dostojnych siedzeń  
Może powstać hotel, kino, restauracja –

Oferty sub „Liga”, powód: likwidacja.

Już wtedy tak śpiewało się o Lidze Narodów.

W tym czasie zupełnie przypadkowo odbył się mój debiut autorski. Dla zabawy napisałam skecz małżeński. Dla zabawy również przeczytałam go Jurandotowi, który kazał mi iść z tym do Járosyego. Kiedy się wahałam, powiedział:

Najwyżej cię wyśmieję, a do tego chyba zdążyłaś się przyzwyczać.

Dając skecz Járosyemu, wyjąkałam:

- Tylko błagam o jedno: jak już dyrektor to wyrzuci do kosza, żeby mi dyrektor nie dokuczał. Tak jakby nigdy nie było żadnego skeczu, dobrze?

Járosy mruknął, żebym go nie uczyła, jak się ma zachowywać. Po kilku minutach zawołał mnie.

- Słuchaj, szarpió. W następnym programie gram to z Żelichowską, ale jeden warunek: ona nie może się dowiedzieć, kto to pisał. Rozumiesz, że nie zgodziłaby się nawet rzucić okiem na tekst piplai.

Skecz szedł z trzema gwiazdkami zamiast nazwiska autora, a Járosy wyjaśniał, że jest nim znany pisarz, który zastrzegł sobie incognito.

Przez całe dwa miesiące stałam w kulisie dwa razy dziennie, śledząc z zapartym tchem każdy śmiech widowni, każdy „szmerek” i każde „brawko”. No, ale też ta obsada...

### *Scena małżeńska*

(Mąż i Żona w wielkim małżeńskim łóżu)

Mąż (już smacznie śpi)

Żona (kręci się niespokojnie, popatruje na Męża) Radio się zepsuło.

Mąż (śpi)

Żona (głośniej) Radio się zepsuło!

Mąż (budzi się) Co... co... kto się zepsuł?

Żona Radio.

Mąż Jakie znowu radio?

Żona Nasze radio.

Mąż Przecież jest zepsute od tygodnia.

Żona Toteż najwyższy czas, żeby je naprawić.

Mąż Nie mogłaś poczekać z tym do rana, aż się obudzę?

Żona Jak to sobie wyobrażasz? Mam nie spać całą noc, tylko czekać do rana, żeby ci powiedzieć o tym radiu?

Mąż (zasypia)

Żona Które i tak jest zepsute od tygodnia? (krzyczy) Od tygodnia!

Mąż (śpi)

Żona (namyśla się) Biba dzwoniła!

Mąż (śpi)

Żona Biba dzwoniła!!!  
Mąż (budzi się, w panice) Co?!  
Żona (już spokojnie) Biba dzwoniła.  
Mąż Tak? A co się stało?  
Żona Nic. Tak sobie dzwoniła. Pytała, co słychać.  
Mąż A co ranie to obchodzi... (zasypia)  
Żona Pewnie. Czy ciebie w ogóle cokolwiek obchodzi. Tylko byś spał. Nawet porozmawiać nie można. Nigdy nie masz czasu. Albo śpisz, albo nie masz czasu.  
Mąż (śpi)  
Żona Na Kruczej monogramy haftują! (potrzęsa nim).  
Mąż (siada przerażony) Co... co to...  
Żona Przyjmują do haftowania monogramy. Na Kruczej.  
Mąż To doskonale, (zasypia)  
Żona Wszystkie dały sobie wyhaftować na bieliźnie pościelowej i na obrusach. Można też kazać wyhaftować koronę z pałkami, (krzyczy) Z pałkami!!! (potrzęsa nim)  
Mąż (siada, mruga, ziewa)  
Żona Z pałkami. Koronę. Hrabia nie hrabia, ich to nie obchodzi, oni haftują.  
Mąż Spać! Błagam cię... (zasypia)  
Żona Ty byś się czymś zainteresował. Żadnego życia kulturalnego. Książki nie przeczytasz, do teatru nie pójdziesz. Całe noce przesypiasz. Od dwóch tygodni mówi się o tym balu. Wszyscy poszli. Tylko my w łóżku, jak te owce. Całe miasto na tym balu! (szturcha go)  
Mąż (siada, prawie z płaczem) Czego ty chcesz ode mnie???  
Żona Niczego od ciebie nie chcę. Obiecujesz, że pójdziemy na ten bal, i raptem wieczorem rezygnujesz. Trudno. Spij sobie.  
Mąż (śpi)  
Żona Śpij, dlaczego nie śpisz? Jeżeli i tak nie idziemy na bal. Gdybyśmy szli na bal, to co innego.  
Mąż (wstaje) Dobrze! Idziemy na ten bal. Tylko ciekaw jestem, jak długo będziesz się teraz ubierać.  
Żona (wyskakuje z łóżka w kompletnej balowej toalecie, złote pantofelki, torebka) Jestem gotowa.

Po wojnie latami grałam ten skecz na niezliczonych imprezach estradowych. Przerobiłam sytuację, bo na objazdach łóżko było nieosiągalne, więc mąż zażywał poobiedniej drzemki na krzeselku. Musiałam też zaktualizować dialog zgodnie z nowymi realiami, na przykład zamiast: „Na Kruczej haftują monogramy”, żona mówiła: „Na Kruczej rzucili śledzie”.

Tymczasem sezon 1938/39 dobiegał końca. Nad „Cyrułikiem” zawisła groza zamknięcia. Kilka gwiazd widząc, co się święci, szybko zaangażowało się do rewii na Karowej, co przypieczętowało klęskę. Wiosna 1939 roku zastała nas, jak zwykle w takich wypadkach, nie tylko bez pracy, ale z nie zapłaconą ostatnią gażą.

## Ludzie Járosyego

I tym razem Járosy nie dał nam zginąć. Zwołał Zosię Terné i Mariana Rentgena - znakomitych piosenkarzy, Ludwika Lawińskiego:- ulubionego komika, specjalistę od „szmoncesu”, a z młodych - Lulę Kryńską, jedną z najpiękniejszych dziewcząt tych czasów, dobrą aktorkę, poprzednio grającą u Jaracza, Gwidona Boruckiego - świeżo odkrytego piosenkarza i mnie oraz pianistę Leona Boruńskiego.

- Organizuję tournée - powiedział - mam dobrego impresaria i już w tej chwili zapewnione trzy i pół miesiąca występów. Uprzedzam: jedziemy bez żadnych gwarancji! Obliczymy wszystkim dniówki odpowiadające gażom w teatrze. Po opłaceniu podróży, hoteli, kosztów sali i impresaria będziemy się dzielić proporcjonalnie do gaży tym, co zostanie w kasie. Jednostki będziemy nazywać gażami. Na przykład, jeśli kasa będzie dobra i koszty nie rujnujące, to może na każdego wypaść po dwie i więcej „gaż”. Ale jeżeli starczy tylko na koszt, to nie zarabiamy nic! Gdyby się zdarzyło, że nie zwrócą się nawet koszt, opłaci je impresario i potem będzie nam stręcał przy lepszych kasach. Jeździć będziemy trzecią klasą, najtańszymi połączeniami. Niestety, rujnować nas będą hotele. Do pociągów nikt nam nie będzie zaglądał, natomiast wypada nam zatrzymywać się wyłącznie w najdroższych hotelach. W Łodzi, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Katowicach, Wilnie będą dłuższe pobyty, ale duża część trasy prowadzi przez miasteczka, gdzie można wypełnić salę tylko raz i dalej w drogę. Nie wszędzie są hotele. Będziemy nocować u ludzi, w różnych warunkach. Proszę się zastanowić. Czekają nas noce przesiedziane na drewnianych ławkach trzeciej klasy, trud i zmęczenie w ciągu ponad trzech miesięcy, a do tego może się zdarzyć, że nic w sumie nie zarobimy. Kto się zdecyduje, ten podpisze umowę do końca objazdu. Odpowiedź jutro.

- Ja już odpowiadam - odezwał się Marian Rentgen. - Wiem, że Fryderyk ma dla siebie dobre propozycje na całe lato. Ale ponieważ on nigdy nie opuszcza swoich w biedzie, byłby ostatnim prosięciem, kto by się zastanawiał. Prosięta niech się od razu ujawnią. Ani jedno prosię się nie ujawniło.

Wyjazd nastąpił następnego dnia po zamknięciu sezonu -jakże przedwcześnie, w marcu! - i, niestety, teatru. Z ciężkim sercem pakowaliśmy swoje lusterka, zdjęcia ze ścian, maskotki, ręczniki, kaptcie i inne drobiazgi z garderób. Tak narzekaliśmy na spędzanie ponad sześciu godzin dziennie w tych wilgotnych, dusznych piwnicach, na ścisk, na złe warunki. A teraz trzeba było opuścić te katakumby, być może, na zawsze.

### **GOŚCINNOŚĆ**

Tekst i muzyka: Bronisław Horowicz  
Zosia Terné

### **NIEŚMIERTELNE TANGO**

Stefanja Grodzieńska

Tu zadebiutowałam jako solistka, tu „otworzyłam usta” (śmiało mogę dodać, że nie zamknęłam ich dotąd), tu z girlasa stałam się prawdziwym członkiem znakomitego zespołu z nazwiskiem na afiszu.

Małymi literami, ale co z tego? I tak odczytywałam je z równym wzruszeniem z każdego afisza na mieście. Żegnaj Kredytowo 14, żegnaj „Cyruliku”, żegnaj dwa razy dziennie śpiewany w finale hymnie:

Cyrulik Warszawski na Kredytowej  
goli, goli, goli, goli jak lala!

z akcentem na ostatnim „a”. Żegnaj kaloryferze, na którym leżał palący się papieros Járosyego, dając poczucie jakiegoś bezpieczeństwa, żegnajcie upiorne schody z garderoby na plan. Perfidnie powbijane gwoździe zahaczały i darły najsprawniej nawet uniesioną długą suknię, a przewspaniałe zapachy z bufetu na dole sięgały na scenę.

Tu chcę się zatrzymać. Bufetowa, pani Kazia, była mistrzynią gotowania. Jej sztufada szpikowana słoniną mogła być ozdobą najlepszych światowych restauracji. Jadłam ją raz w życiu, a było to tak. Marian Rentgen, który bardzo mnie lubił, a mieszkał w sąsiedztwie na Poznańskiej, on pod numerem 3, a ja naprzeciwko pod 12 (te domy stoją), i zawsze razem wracaliśmy pieszo po północy, otóż mój drogi przyjaciel Rentgen, z którym rozumieliśmy się świetnie, choć był starszy ode mnie o 26 lat, zauważył, że biorę u pani Kazi nieodmiennie dwie kanapki z jajkiem na twardo i z musztardą. Nic dziwnego, zarabiałam najmniej ze wszystkich, a pani Kazia dawała mi te kanapki w cenie kosztu, żebym miała pretekst i mogła w przerwie między dwoma przedstawieniami siedzieć w bufecie. Była to tylko jedna z klitek pod ziemią, ale jakaż atrakcyjna dla mnie! To, że niektórzy jedli befsztyki z polędwicy czy filet mignon na grzance, było zupełnie naturalne.

Drugiego września Rentgen uroczyście złożył mi życzenia imieninowe i powiedział:-

- Stawiam ci kolację u pani Kazi. Możesz wybrać najdroższe danie. Tylko się nie kryguj!

Bez krygowania się wykrzyknęłam:

- Sztufadę! Ale dwie porcje!

Sztufada okazała się jednym z nielicznych marzeń, które nie rozczarowało po spełnieniu.

Podążę teraz wątkiem pani Kazi.

Mieszkała w Międzyzlesiu. Miała tam trochę kur i gęsi, a w ogrodzie owoce i warzywa.

W październiku 39 roku, po kapitulacji, zjawiła się u Járosyego z koszykiem pełnym wiktuałów. Trzeba wiedzieć, że wtedy w Warszawie trudno było kupić cokolwiek, nawet gdy się miało pieniądze. My ich nie mieliśmy. Járosy, który, wydawał się taki bogaty, trwoniał zawsze wszystko i nigdy w życiu nie miał żadnych oszczędności, a my byliśmy bez grosza, z rodzicami i młodszą siostrą Jurandotą na utrzymaniu. Mieszkaliśmy wtedy u Járosyego i Zosi Terné na 6-go Sierpnia (obecnie Nowowiejska), naprzeciwko kościoła Zbawiciela.

Kiedy zjawiła się pani Kazia z nieprawdopodobnym koszykiem, wszyscy rzuciliśmy się jej w objęcia:

- Pani żyje!

- Państwo żyją!

Po czym zafrasowaliśmy się.

- Zaczynamy się wyprzedawać - powiedział Fryderyk - i wszystko pani spłacimy z wielką wdzięcznością, ale w tej chwili, niestety...

Kazia krzyknęła wzburzona, że chyba nie zamierzamy jej płacić, że nie zasłużyła na takie traktowanie, za kogo właściwie ją bierzemy i zaczęła płakać. Popłakaliśmy się wszyscy i Kazia odjechała z pustym koszykiem. Zanim to zrobiła, powiedziała:

- Wszystko jest do podziału, tylko to jajko, co pożyczyłam od sąsiadki, bo akurat nie miałam, proszę, żeby było dla Stefci. Już ugotowane na twardo, a tu jest trochę musztardy.

W piwnicach domu na 6-go Sierpnia, przysposobionych na schron, mieliśmy już od drugiego tygodnia wojny komplet uchodźców z zachodnich krańców Polski, gdzie Niemcy weszli od razu. Głównie były to matki z dziećmi, bo one miały pierwszeństwo w uzyskaniu dachu nad głową. Masło i śmietana z czarodziejskiego koszyka pani Kazi powędrowały natychmiast do schronu. Dzieliśmy nieomal po łyżeczce, żeby każde dziecko dostało. Od początku upodobałam sobie sześciomiesięcznego Andrzejka, którego brałam od matki w każdej wolnej chwili, a on poznawał mnie, jak tylko pokazywałam się w schronie. Wtedy ukradłam (o zgrozo, ja, członek komisji rozdzielczej!) ćwierć kubka masła dla Andrzejka, którego matka straciła pokarm. Dodawałyśmy mu tego masła do kaszy (też od pani Kazi) i Andrzejek miał się dobrze przez parę dni.

Pani Kazia przyjeżdżała w ciągu prawie całej okupacji i dokarmiła nas. Kiedy Járosyego aresztowano 24 października 1939 roku, Kazia zaczęła przyjeżdżać do nas. Mieszkaliśmy wtedy na Złotej 75 u rodziców Jurandota (naszą własnoręcznie wyremontowaną kawalerkę na Poznańskiej 12 wraz z całym domem zajęło SS w kilka dni po wejściu). W czasie najgorszych łapanek, w czasie obław na szlaku Międzyzlesie-Warszawa Kazia szmuglowała dla nas choć po kilogramie kartofli, cebulę, kapustę, kawałek sera. Usiłowaliśmy jej wepchnąć ostatnie wartościowe drobiazgi, jakie nam wtedy jeszcze pozostały, bo i ona była już w biedzie, ale zawsze się obrażała. Kiedyś, na samym dnie okupacji, powiedziała:

- Pan Jurandot przeżyje i będzie miał teatr. Proszę o posadę bileterki, bo na prowadzenie bufetu już się nie piszę.

Pierwszą osobą, którą zaangażował pan Jurandot do warszawskiej „Syreny”, była bileterka. Pracowała tam do emerytury. Daremnie Jurandot proponował jej intratniejsze zajęcie. Zawsze mówiła, że od lat marzyła o pracy bileterki, bo spędzenie życia za kulisami to nawet dla niej za dużo.

Tacy ludzie pracowali w teatrach Járosyego.

Skoro już jestem przy tym temacie, nie wolno mi nie wspomnieć o Stasiowej. Stasiowa, tak samo jak Kazia, należała do żelaznej ekipy wszystkich kolejnych teatrów Járosyego. Zabierał on swoją gwardię ulubionych pracowników technicznych, garderobianych, inspicjentów i wprowadzał ich do następnego teatru. Po wojnie, już w Warszawie, Jurandot wyszukał brygadzystę sceny, pana Ressaua (przez jednego z maszynistów uporczywie nazywanego panem Rosołem), który do tej gwardii należał. Byłam już wtedy, jak to się mówi w teatrze, na stanowisku: autorka, aktorka, konferansjer i niektórym dziwne się wydawało, że brygadzysta do mnie mówi po imieniu, a ja do niego „proszę pana”. Nie wiedzieli, biedacy, że znał mnie jako piplającą.

Stasiowa była maleńką, garbatą staruszką, niestęchanie sprawną i fachową garderobianą. „Stasiową” nazywano ją od zawsze i wszyscy sądzili, że była żoną jakiegoś Stasia. Okazało się jednak, że po prostu ma na imię Stanisława i jest panienką. Stasiową przezwały ją dawne pokolenia aktorek i tak już zostało. Mieszkała na Złotej, naprzeciwko kina „Palladium”, na ostatnim piętrze biednej kamienicy. Była to formacja dobrze znana w przedwojennych warszawskich domach: długi, ciemny korytarz ze wspólnym kranem i ubikacją, w pojedynczych pokoikach gnieździła się biedota, nieraz z liczną rodziną. Stasiowa należała do korytarzowej arystokracji, bo była sama i miała cały pokoik dla siebie. Wszyscy lokatorzy piętra znali się od kilkudziesięciu lat i odwiedziny kogoś obcego stawały się sensacją. W pierwszych dniach okupacji Stasiowa zjawiała się u Járosyego i podała swój dokładny adres.

-- Może się przyda - powiedziała.

Przydał się.

Minęły miesiące. Któregoś dnia wpadłam w tramwaju w uliczną łapankę. Żandarmi wygonili nas z wagonu, jak zawsze wrzeszcząc, pchając i szturchając. Lampy radiowe przewoziłam w otwartej, papierowej torbie. Na wierzchu leżało parę jajek, a ja pieczołowicie chroniłam je przed potłuczeniem. Uciekając z łapanki uświadomiłam sobie, że obok mieszka Stasiowa. Wbiegłam na czwarte piętro i zapukałam do pokoiku, którego numer zapamiętałam. Otworzyła Stasiowa. Przy stole siedziała jakaś kobieta, popijając ersatz herbaty. Staruszka Stasiowa o konspiracji słyszała piąte przez dziesiąte, a ja byłam najmniej spodziewanym gościem. Pomimo to krzyknęła radośnie:

- Jak się masz! Dlaczego tak dawno nie byłaś? A mama nie przyjechała? Wejdz, wejdz! To moja siostrzenica, przedstaw się sąsiadce - mówiła - dla mamy to pewnie za daleka droga, ale dobrze, że choć ty przyjechałaś.

W ten sposób załatwiła wszystko. Przedstawiłam się sąsiadce głośno i wyraźnie, żeby Stasiowa poznała moje fałszywe nazwisko, a komentując wizytę uniknęła pytań, dlaczego nikt mnie tu nie zna.

- Wszystko u nas w porządku, ciociu! - zawołałam. - Mamusia ciocię pozdrawia i Olek, i Grześ, i Janek, i Hania. Niech ciocia sobie wyobrazi, że mały Krzysio ma już dwa ząbki! Tu mamusia przysyła dla cioci parę jajek...

Stasiowa wzięła ode mnie torbę, zajrzała i szybko wstawiła do szafki, wylewnie dziękując.

- Mamusia, niestety, trochę narzeka na trzustkę. - Diabeł mnie podkusił; musiałam to powiedzieć.

Stasiowa przełknęła wszystko, nawet ząbki Krzysia, ale o tę trzustkę było za dużo. Zakaszła się i zniknęła za kotarką.

Wymyśliłam sposób na sąsiadkę.

- Chciałabym z ciocią porozmawiać - powiedziałam w stronę kotarki - bo tatuś znów zaczął popijać, a ciocia miała na niego taki dobry wpływ... - tu spojrzałam na sąsiadkę - ale o tym już kiedy indziej.

Tak jak się spodziewałam, sąsiadka uszanowała moją niechęć do prania rodzinnych brudów w jej obecności i szybko się pożegnała.

Na wpół uduszona ze śmiechu Stasiowa wyszła zza zasłony.



- Pani Stasiowa - powiedziała cicho - czy te lampy mogą u pani zostać do jutra? Bo dziś dużo łapanek, a ja już muszę iść. Ale .pani wie, czym to pachnie w razie czego...

- Co pani! - oburzyła się. - Proszę przynosić i zostawiać, co pani chce. Sama pani widzi, jaka publiczność tu mieszka, to nie są klienci dla gestapo. A jakby co, to będę zidociąła sklerotyczką.

Innym razem z powodu spalenia się noclegu zjawiłam się równie niespodziewanie tuż przed godziną policyjną w towarzystwie mego męża. Pani Stasiowa otworzyła drzwi i zaczęła wołać na cały korytarz:

- Proszę, i brata sprowadziłaś! Jak ci się to udało, on przecież dla rodziny nigdy nie ma czasu! Chodźcie, chodźcie, opowiedzcie, jak tam mały Krzysio, ile ma ząbków!

To zadowolilo wszystkie uszy przytknięte do licznych drzwi.

Wiele razy ratował nas i innych skromny pokoik na Złotej i dziwna stara garbata łączniczka, rzeczywiście genialnie udająca zupełną debilkę, a pod chustką przyciskająca do siebie plik „Biuletynów Informacyjnych” czy inne tego rodzaju delicje.

Tacy ludzie pracowali w teatrach Jarósyego.

Chciałabym jeszcze wspomnieć o elektryku teatralnym, Wacku Jasińskim, który w czasie okupacji pracował w elektrowni miejskiej. Już od 22 lipca 1943, czyli od pierwszego dnia likwidacji getta, pan Wacek, korzystając z munduru, krążył między Járósym a skazaną dzielnicą: przekazywał adresy, gdzie mieli zgłosić się ci z przyjaciół, którym uda się uciec na „aryjską” stronę. Adres był najczęściej ten sam: Filtrowa 68 mieszkanie 33, czyli sublokatorski pokój Jarósyego. Pan Wacek chodził tam i z powrotem, za każdym razem narażając się na śmierć. Wystarczyło, by go pierwszy lepszy żandarm spytał o przepustkę. Kiedy w getcie wszyscy łudzili się w czasie pierwszej akcji likwidacyjnej, że może to istotnie, jak zapewniali Niemcy, „tylko” wywózka do jakiegoś obozu, pan Wacek już tego tragicznego 22 lipca przyszedł z wiadomością otrzymaną od kolejarzy, że od kilku dni jadą pociągi do Treblinki, gdzie nie ma nic oprócz kominów, że zlikwidowano już małe miasteczka, a od dziś krematorium czeka na Warszawę. On pierwszy przyniósł tę wiadomość, która rozeszła się błyskawicznie i uratowała najmniej kilkaset osób.

Tacy ludzie pracowali w teatrach Jarósyego.

Wtedy, w latach 1942-43, w czasie stopniowej, nieustannej likwidacji getta, pokój Jarósyego stał się punktem rotacyjnym, przez który przechodziły dziesiątki nielegalnych osób. Tam otrzymywali pierwsze wskazówki; ile kosztuje tramwaj, ile chleb, jak się czesać, jaką mieć minę, żeby osiągnąć jak najlepszy „wygląd”. Nie spodziewał się ten fenomenalny reżyser i twórca osobowości scenicznych, że jego sztuka będzie kiedyś służyła ratowaniu ludzkiego życia.

Po przeszkoleniu Járósy rozsyłał swych podopiecznych w różne, z góry przygotowane miejsca. Tych „z wyglądem” (mówiło się „ma wygląd” lub „nie ma wyglądu”; kto z dzisiejszych czytelników może pojąć, że to bezpośrednio i natychmiast decydowało o życiu?), a więc tych „z wyglądem” rozsyłano do kryjówek - - ojciec jednej z naszych znajomych trzy lata spędził wścielony w łóżko - natomiast tych „bez wyglądu”, tych, jak się mówiło, „którzy mogli chodzić po ulicy”, do rozmaitej pracy.

W szczytowych tygodniach polowania na osoby pochodzenia żydowskiego na Filtrową 68 przychodzili ludzie, których sam wyraz twarzy skazywał na śmierć. Wychodzili zmienieni, z wiarą, że przeżyją, co

wcale nie znaczyło, że tak się zdarzy istotnie. Jakimś cudem znajdował dla każdego miejsce, gdzie można było się zamelinować choć na jakiś czas. Potrzebą numer jeden było nie zostać na ulicy po godzinie policyjnej i ta potrzeba na razie przyćmiewała wszystkie inne, które dopiero nazajutrz dawały o sobie znać. Otóż z ręką na sercu mogę oświadczyć, że nikt, znajomy czy obcy, bliski czy daleki, „z wyglądem” czy „bez”, kto zgłosił się do Fryderyka, nie został na ulicy po godzinie policyjnej. Coraz mniej jest żyjących, którzy wiedzą, co to znaczyło. Dodam, że on sam, zdelegalizowany, przez cały ten czas ukrywał się po ucieczce z Szucha.

Najważniejszym z niezawodnych adresów Fryderyka był pewien mały domek w Gołąbkach pod Warszawą. Należał do Zofii i Gabriela Kijkowskich, naszych drogich przyjaciół. Każdy, kto zapukał do ich drzwi z imieniem Fryderyka (wówczas Franciszka) na ustach, natychmiast był nie tylko bezinteresownie przyjmowany, ale jeszcze żywiony z ubogiej kieszeni Gabriela (zwanego Tatą albo Archaniołem), przed wojną specjalisty od międzynarodowego prawa lotniczego w ministerstwie komunikacji, a podczas okupacji - - urzędnika kolejowego na stacji Włochy.

Gołębki skończyły się tragicznie 17 marca 1944 roku. Do tego jeszcze wrócę. Wpakowałam tu dużą porcję spraw wojennych, aby już teraz dać czytelnikowi świadomość, kim był ten beztrioski bon-viveur Fryderyk.

Na razie też jest marzec, ale 1939 roku, i Járosy ze swoją gromadką wybiera się w długie tournée.

## Hotel George'a i Morduch Nikczemny

W ciągu prawie czterech miesięcy objechaliśmy dosłownie całą Polskę. Wszędzie mieliśmy komplety, ai -i mimo to nierzadko kasa ledwie pokrywała koszty, a kilka razy musiał nas ratować impresario. W rezultacie jednak wszyscy zarobili, i to sporo, a przy tym Járosy potrafił wytworzyć tak wspaniały klimat, że nawet w najchudszych dniach nie opuszczał nas humor. Kiedy wypadało po pół gaży, wzdychaliśmy, że dziś Bułgaria („bułgarzy”), kiedy nic do wypłaty nie było - Nicea. W sezonie czereśni, które sprzedawano za grosze na wszystkich peronach, śpiewaliśmy nasz hymn na melodię przeboju „Jeden uśmiech, więcej nic”:

Gdy czereśnie w lecie są  
Jednocześnie wszystkie ją,  
Bo czereśniach znakomity jest,  
O tym wszystkie dobrze wią!

Rentgen ułożył też piosenkę o naszym impresario, Zbigniewie Opolskim, który nigdy nie zdejmował beretu ochraniającego resztki jego włosów. Podobno w nim nawet spał. Śpiewaliśmy mu ją głośnym chórem niezmiennie na każdym dworcu, gdzie nas oczekiwał, często w towarzystwie miejscowych notabli (jechał zawsze naprzód, żeby wszystko przygotować), którym udawało się wręczyć nam kwiaty dopiero po wysłuchaniu:

Zbigniew ma wspaniały kask,  
Co go zowią beret basque.  
Bardzo w nim do twarzy mu,  
Bo wygląda tak, jak du.

Jedną z ulubionych naszych zabaw była - - popularna zresztą i po wojnie - gra w bajkę o mieście. Dla przykładu wybieram najprzystwoitszą, powojenną bajkę o Bytomiu i Zabrze.

- Spójrz! Warto by tom dziewczynę...

- Eee... Za brze dka.

Bajka na Sieradz:

- Sieradze od...

Kiedy ktoś dokuczał, mówiło się tylko: „A znasz bajkę o Sieradzu?”

Jedenaścioro ludzi o przeciętnej wieku powyżej trzydziestki siadywało godzinami nad mapą Polski i wymyślało bajki o miastach.

Inną zabawą było układanie „marzeń kalamburzysty” (nazwa Tuwima). Oto przykład: marzę, żeby brodaty profesor uniwersytetu nazwiskiem Majer mył się w stylowo urządzonej ązienie. Wtedy można by napisać fraszkę:

Biber Majer w birecie.  
Na bidermajer bidecie.

Takie zabawy przechodzą w nałóg. Każdy, kto kiedykolwiek uległ podobnemu szaleństwu, dobrze to zna. Bywało, że ktoś wymyślił coś w środku nocy. Obchodził wtedy wszystkie pokoje, budził kolegów i recytował im „bajkę” lub „marzenie”. Po kilku nie przespanych nocach w pociągu, znalazłszy się w luksusowych pokojach pierwszorzędного hotelu, potrafiłmy przesiedzieć w jednym z pokoiów do rana - grając. Nikt się nie położył! Rano przybiegał zrozpaczony Zbyszek, wołając:

- Oni się w ogóle nie kładli spać! Trzeba było wynająć jeden pokój! Płacę tyle pieniędzy, biorę dla nich najlepsze i najdroższe pokoje, a oni nawet nie zajrzeli. Jutro Kostopol, nędzne kwatery, to nie mogliście...

- Cicho! - krzyknął Lawiński. - Kostopol! Dzw ko stop ol... Zaraz, co taka dziwka może stopić? Na „ol”?

- Olka.

- Coś ty! Jak się topi Olka?

--. Zwyczajnie. W morzu.

W dniach prosperity chodziliśmy do najdroższych lokali i żyliśmy jak milionerzy... aż do następnej Nicei.

Zresztą, nie zawsze hulanki odbywały się na nasz koszt. Często na widok naszej kompanii przysiadali się do stolika miejscowi bogacze i kiedy przychodziło do płacenia, kelner mówił z głębokim ukłonem:

- Dziękuję mistrzom, już załatwione.

Przy czym z reguły kelnerzy żegnali Járosyego o wiele niższymi ukłonami niż fundatora.

Kiedyś rozmawialiśmy na ten temat w czasie długiej nocy w pociągu. Mieliśmy wątpliwości, ale Járosy wyjaśnił:

- To nie jest żadne pieczeniactwo. Oni są przeświadczeni, że my tonimy w forsie. Pieczeniactwo byłoby, gdyby fundator wiedział, że jesteśmy goli. Oni nas nie karmią. Oni nam stawiają. Normalnie, jak milioner milionerowi.

Tu powtórzę, że sam Járosy był najhojniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam. Był rozrzutny, wielkopański, nigdy nie wiedział, ile ma pieniędzy i nie przywiązywał do tego wagi. „Łatwo mu”, myślałam, „wszystko ma, co chce, jeździ lanią, na wszystko może sobie pozwolić. Dziś nie ma, to jutro będzie miał. Bogaty człowiek, nawet jak akurat nie ma, to też jest bogaty!”

Podczas wojny przekonałam się, że kiedy naprawdę nic, całkiem nic nie miał (po jego ucieczce z więzienia Jurandot dał mu koszulę na zmianę), zupełnie się tym nie przejmował. Zanim w tej drugiej koszuli przedłużyłam rękawy, uprałam mu tę, co miał na sobie. On, ten wytworny, fantastyczny Fryderyk Járosy siedział zawinięty w koc i rozmyślał na głos:

- Po co człowiekowi tyle rzeczy? To się przebieraj, to Bal Mody, to nie takie spinki, to jedwabna koszula miała być kość słoniowa, a przystali białą, same problemy. A tak siedzę sobie, szarpio pierze, jak wyschnie, to wyprasuje, włożę czystą koszulę i będę szczęśliwy przez następne trzy tygodnie, aż się zabrudzi.

Toteż kiedy w czasie objazdu wielcy posiadacze stawiali nam kawitory i szampany, Járosy odwracał się do nas i mówił cicho:

Tylko bez kompleksów. Niszczyć burżuja. To dobry uczynek.

W sumie tura, jak się wówczas mówiło, była cudowna. Dziś mieszkaliśmy w Wilnie w George'u i jedliśmy pstrągi u Karaimów w towarzystwie ziemian o historycznych nazwiskach, jutro spaliśmy w małym żydowskim miasteczku u miejscowego fryzjera, gdzie pani fryzjerowa częstowała nas koszernym obiadem. Smak karpia z rodzynkami i migdałami wspominaliśmy jeszcze w czasie wojennego głodu. Fryzjer nazywał się Morduch Nikczemny, co dumnie było napisane na szyldzie, a pod nazwiskiem, złotymi literami „Fryzjer damski, męski itd.”

Mniej więcej w połowie tournée Járosy dostał wspaniałą wiadomość. Powiodły się starania o lokal teatru przy Marszałkowskiej 8, otwarcie może się odbyć pierwszego września (1939 roku, przypominam). Járosy skrzywił się.

- Otwarcie zrobimy drugiego września. Pierwszego dzieci do szkół, nabożeństwa, uroczystości, ludzie tuż po powrocie z urlopu... Nie, to nie jest odpowiedni dzień na otwieranie teatru.

Jak się okazało, istotnie nie był odpowiedni.

Pewnie z perspektywy czasu i świadomości dalszych wydarzeń dziwna może się wydawać nasza beztroska. Czym oni się zajmowali, stojąc z jedną nogą zawieszoną nad przepaścią? Jak można było tak żyć od wygłupu do wygłupu już nie na pięć minut, lecz na minutę przed końcem wszystkiego?

A przecież tego przepięknego lata 1939 miejscowości wypoczynkowe były przepełnione jak nigdy, na polskich plażach od Helu do Orłowa tłumy, w Tatrach kierdło turystów i taterników, a na dole, w Zakopanem, szaleństwo dancinów. Wysocy urzędnicy państwowi, a w każdym razie ich rodziny zupełnie beztrosko zażywały wakacji. Nikt nie wierzył w wojnę, a jeżeli, to przedstawiała się ona jako zwycięski galop naszych wspaniałych ułanów prosto do Berlina. Jak się później okazało, Járosy był innego zdania. (Miał dwoje dorosłych dzieci zamieszkałych w Wiedniu, a tam zapatrywano się na sytuację mniej optymistycznie. Oczywiście, każdy mógł czytać zagraniczne gazety, ale alarmujące informacje uważano u nas za straszenie albo miazmaty). Fryderyk, stale kontaktujący się ze swoimi dziećmi, wiedział dużo, ale nie chciał nam zakłócać ostatnich miesięcy. Jemu zawdzięczamy, że przeżyliśmy jeszcze ostatni bajkowy czas cieszenia się każdym dniem. Krótkie niepowodzenia, niewygody nieraz dotkliwe, traktowaliśmy za jego przykładem jak wspaniałe przygody. Nawet gwiazdy, które nigdy nie były zmuszone pracować w takich warunkach, nie ośmieliły się narzekać.

Jak bardzo różniło się to tournée od dzisiejszych ponurych „tras” na których umęczeni, zziębnięci uczestnicy wieczorami piją, rano mają kaca, są wiecznie niezadowoleni, wciąż liczą honoraria, wysuwają żądania i popadają we wzajemne konflikty. Nie twierdzą, że tak jest zawsze, ale dosyć jeździłam po wojnie, aby i tego zaznać.

Gdziekolwiek przyjechaliśmy, największą sensacją był Járosy. Telewizji nie było, w filmach prawie nie występował, na gościnne występy nigdy nie jeździł, a popularność jego w całym kraju przyrównać można chyba tylko do popularności kapitana Klossa w szczytowym okresie. Był legendą. Tworzyli ją ci mieszkańcy danej miejscowości, którzy, jak moja ciotka (co to się tak dobrze za mąż wydała), specjalnie jeździli do Warszawy na każdy jego program. Kiedy po przyjeździe do nowego miasta

wychodziliśmy na ulicę, koło Járosyego natychmiast zbierał się tłumek i ciągnął za nim, prosząc o autografy i zadając setki pytań. Zazwyczaj Lula Kryńska, Gidek Borucki i ja, zupełnie nieznane twarze, szliśmy za nim i odwoływaliśmy wielbicieli:

- Czemu państwo tak oblegają tego faceta? Kto to właściwie jest?

- No, jak to? To przecież Fryderyk Járosy!

- A skąd - śmieliśmy się - nawet niepodobny. My jesteśmy z teatru Járosyego i razem z nim przyjechaliśmy tu na występy.

- Ale on mówi takim akcentem, to na pewno on.

- Wielka sztuka - wzruszaliśmy ramionami - każdy potrafi. To jakiś naciągacz, który się podszywa. Na pewno będzie chciał pożyczyć pieniądze albo nabierać na wódkę. Już paru takich siedzi w kryminale.

Ta cała zabawa odbywała się w pewnej odległości za Fryderykiem, który niczego nie podejrzewał.

Kiedyś opowiedział nam, że po przedstawieniu przyszli do niego za kulisy jacyś państwo, aby go ostrzec. Sami nie widzieli, ale głośno się o tym mówi, że po mieście kręci się hochsztapler, mało nawet podobny, i podszywa się pod niego, uzyskując spore korzyści materialne. Opowiadając to, Járosy patrzył na nas uważnie, ale my zachowaliśmy kamienne twarze. Przyznaliśmy się dopiero pod koniec objazdu.

- Nabrać Járosyego to już jest coś - - powiedział i postawił nam po koniaku.

Było klawo, jak się wtedy mówiło, a przecież czytaliśmy gazety, słuchaliśmy radia. Opętańcze wrzaski Hitlera przejmowały dreszczem nawet odpornych.

Mieliśmy stały kontakt telefoniczny z Jurandotem, który siedział w Warszawie i pisał brakujące numery do programu otwarcia „Figara”. Pewnego dnia Fryderyk zebrał nas i zapowiedział, że przeczyta nam utwór, który właśnie przysłał mu Jurandot razem z nutami. Była to piękna muzyka Leona Boruńskiego w stylu szopenowskim. Wtedy było to coś nowego, dopiero potem weszło w zwyczaj pitolenie Szopenem pod wszystko.

### *Augustów*

Nad jeziorem augustowskim  
W zieloności i w półmroku  
Augustowska puszcza śpi.  
A nad borem,  
Nad jeziorem  
Taka cisza, taki spokój...  
Czasem przemknie coś wśród pni,  
Czasem z dala stuk dzięcioła  
I znów cicho dookoła  
I znów...

Co to? Jakiś zgrzyt,  
Cisze rozdarł, w uszach drga:  
„Wo immer Deutsches Leben, ist deutscher Gebiet!”  
Ach, tak, to w sąsiedniej willi  
Nowe radio nastavili,  
Strasznie głośno gra.  
Drzemie puszcza nad jeziorem  
Zamyślona, uroczysta,  
Górą świerki ciemne, smukłe,  
Górą sosna rozłożysta,  
A na dole miękki mech...  
A nad mchem czerwony wrzos,  
A nad wszystkim w górze, hen...  
„Der Deutsche braucht Kolonien!”  
Jaki dziwny głos...  
Taki suchy i bezduszny  
Jak szczęk zamka w karabinie,  
Nagle znów się krzyk rozwinie  
Napastliwy, wojowniczy,  
Jakby ktoś tym głosem chciał...  
„Wir fordern unseren Lebensraum!”  
Dlaczego on tak krzyczy?  
Wśród tych drzew, olbrzymów czarnych,  
Niebosiężnych i mocarnych,  
Nad tą wielką, jasną wodą,  
Tchnącą ciszą i pogodą  
Tak bezsilnie i tak śmiesznie brzmi ten krzyk...  
„Danzig muss zum Reich zurück!”  
Danzig muss zum Reich zurück?...  
Musi wrócić, bo krzyczycie,  
Bo żądacie, bo grozicie,  
Bo już dla was cały świat?...  
A przypatrzcie się tym sosnom:  
Wiele lat już tutaj rosną  
Wiele, wiele lat...  
Nie było was,  
Był ten las,  
Nie będzie was,  
Będzie las.-  
I niech tam u was milion nóg  
Parademarszem bije w bruk,  
Niech grozi światu ogniem z dział  
Germańska buta, pruski szwał,  
W nadziei, że go skruszy.  
My jak te sosny w Augustowie,

My jak te świerki w Augustowie,  
W tę ziemię wrosli korzeniami  
I nic nas stąd nie ruszy!  
Niech z megafonów setny raz  
Wrzask propagandy wmawia w nas,  
Że liczniście i zbrojni,  
My jak te sosny w Augustowie,  
My jak te świerki w Augustowie  
W tę ziemię wrosli korzeniami  
I nic nas stąd nie ruszy!  
Niech z megafonów setny raz  
Wrzask propagandy wmawia w nas,  
Że liczniście i zbrojni,  
My jak te sosny w Augustowie,  
My jak te świerki w Augustowie,  
My jesteśmy spokojni.

Ten tekst w czasie okupacji został zakopany w ogródku Kijkowskich w Gołąbkach. Dlatego ocalał.

Do tekstu Jurandot załączył list. Pisał, że poprzez naszych kompozytorów po mieście poszła fama o tym wierszu, a raczej już teraz pieśni, i że zwróciło się do niego Polskie Radio z prośbą o zezwolenie pierwszego wykonania. Jurandot uzależnił to od decyzji Járosyego. Ten natychmiast oddzwonił z zezwoleniem, prosząc tylko, aby zaznaczono, że utwór będzie wykonywany w teatrze „Figaro”, premiera 2 września tego roku. Prośbę spełniono. Audycja miała wielkie powodzenie, a co do informacji o premierze, nie sądzę, aby radio minęło się z prawdą pierwszy lub ostatni raz.

Cieszę się, że ten tekst przetrwał. Zacytowałam go w całości, bo wyjątkowo trafnie ilustruje on ówczesne nastroje społeczeństwa i lwiej części władz, nie wyłączając wojskowych. Na jednej z prób w „Figarze”, chyba w ostatnim tygodniu sierpnia, znalazło się trochę osób spoza teatru zaproszonych przez Járosyego. Zawsze tak robił, aby aktorzy zorientowali się w reakcjach publiczności. Kiedy Krystyna Ankwiczówna wykonywała „Augustów”, gdzieś w połowie pieśni nasi goście zaczęli wstawać. Stali już do końca, a kiedy ostatni wiersz „My jesteśmy spokojni” powtarzał się w muzyce kilkakrotnie, spontanicznie zaczęli śpiewać, i to chóralne „My jesteśmy spokojni” prześladowało nas długo w czasie oblężenia i bombardowania domów, kościołów i szpitali Warszawy. Aby jednak ocalić honor biednego wieszca, powiedzmy sobie, że summa summarum miał rację i działkę w Augustowskiem ma znajoma lekarka, a nie Hitler.

Nie tylko wrzaski „głupiego malarza” z okupacyjnej piosenki („Siekiera, motyka, piłka, alas / przegra wojnę głupi malarz”) zakłócały nam radość tych pięknych, letnich dni Roku Ostatniego. Zdarzyła się wtedy tajemnicza sprawa, której dramatyczne wyjaśnienie nastąpiło po kilku miesiącach.

Byliśmy właśnie w Krakowie. Powodzenie ogromne. Otrząsnęliśmy się z Bułgarii i Nicei, które trafiały się w małych, biednych miasteczkach, głównie z powodu niskich cen biletów. Inaczej nikt by nie przyszedł, a przy tych cenach komplet pokrywał nieraz tylko połowę kosztów. Impresario Zbyszek miał wyczucie, ile gdzie można żądać. A grać musieliśmy, bo gdyby poszła wieść, że gdzieś była słaba



frekwencja albo odwołaliśmy przedstawienie, cały objazd straciłby markę. Umieszczenie w planie nieopłacalnego miasteczka następowało wtedy, kiedy groził bardzo długi i kosztowny przejazd, jeszcze bardziej deficytowy. Tak więc w Krakowie, po spłaceniu impresaria, byliśmy krezusami. Co dzień jeździliśmy w okolice na dodatkowe koncerty, w soboty i niedziele graliśmy trzecie spektakle w nocy, pieniądze lały się na nas ze wszystkich stron. Nawet ja mogłam sobie pozwolić na nieliczenie się z groszem, co było dla mnie absolutną nowością. Wprawdzie gryzło mnie sumienie, bo obiecaliśmy sobie z Jurkiem, że będziemy odkładać na meble, ale Járosy miał na nas wszystkich straszny wpływ! Nawet najskąpsi wydawali na prawo i lewo, przy nim nie sposób było inaczej żyć. Zresztą, to takie przyjemne...

W świetnym nastroju wybraliśmy się wszyscy razem w upalne niedzielne południe na spacer. Nie pamiętam gdzie, w każdym razie na obrzeżu Krakowa odbywała się jakaś uroczystość czy festyn i przewalały się tłumy. Zwróciliśmy uwagę, że na nasz widok całe grupy spacerowiczów zawracały i podchodziły bliżej, że coraz to ktoś podbiegał i zaglądał Járosyemu w twarz. Byliśmy przyzwyczajeni, że jego widok budzi wszędzie sensację, ale to było coś innego. Utwierdziliśmy się w naszym niepokoju, kiedy przechodnie zaczęli podchodzić do Lawińskiego, Terné lub Rentgena pytając, czy przedstawienia nie odwołano. Na razie patrzyliśmy jedno na drugie starając się zgadnąć, kto robi kawał.

Podejrzewaliśmy głównie konkurencyjny zespół podróżujących kolegów: Jadzia Andrzejewska, Lena Żelichowska, Krukowski, Olsza i chyba Dymsza, w każdym razie same sławy. Na ich afiszu nazwa imprezy brzmiała „Pięcioraczki warszawskie”, nawiązując do modnych wówczas na całym świecie „pięcioraczek kanadyjskich”, pięciu ślicznych dziewczynek reklamujących mydło „Palmolive”. W tych czasach kobiety nie leczyły się na bezdzietność hormonami i „pięcioraczki kanadyjskie” uchodziły za pierwsze i jedyne na świecie, dlatego było z nimi tyle huku, nie to, co teraz.

Przyjacielska konkurencja z „pięciorakami”, jak ich nazywaliśmy, trwała przez cały czas objazdu: czy byli tu przed nami, kto ma lepsze kasy itd. Od czasu do czasu pisaliśmy sobie nawzajem na afiszach obelżywe teksty i była świetna zabawa. A publiczności starczało dla obu zespołów.

Po dziwnym spacerze ustaliliśmy, że to „pięcioraki”, które były tu niedawno, coś wysmażyły i obmyślaliśmy zemstę.

Oba przedstawienia normalne i trzecie dodatkowe przeszły doskonale, a po drugiej - o tej porze kończyliśmy nocny spektakl - poszliśmy na kolację. W hotelu wylądowaliśmy nad ranem. Tu portier przekazał mi, że od kilku godzin telefonuje do mnie Warszawa i że jeszcze ma dzwonić. Musiał to być Jurandot, który często dzwonił, ale nigdy o tej porze.

Ledwie weszłam do pokoju, telefon.

- Co u was? - spytał, jak zawsze.

- W porządku. Czy coś się stało?

- ,U mnie nic. A u was?

- Mówię przecież, że w porządku.

- Gracie?

- A co byśmy tu robili? Pewnie, że gramy! Co się głupio pytasz?

- Czy wszyscy gracie? Cały zespół? Objazd trwa dalej? Nic się nie zmieniło?

- Czuję, że ktoś puścił plotkę, że mnie wyrzucili, może to pięcioraki. Nic podobnego, bardzo dobrze mi idzie.

- Nie chodzi o ciebie.

- A o kogo? Wszyscy dobrze się mają i za kilka dni jedziemy dalej. Powiedz coś wreszcie!

- To nie na telefon. Jeszcze dziś będziemy u was z Mietkiem. Mieczysław Cybulski, piękny i popularny amant filmowy, do dziś często oglądany w przedwojennych filmach wyświetlanych w telewizji, był narzeczoną Luli Kryńskiej, z którą dzieliłam pokój. Mietek miał samochód i od czasu do czasu odwiedzał Lulę, zawsze przywożąc Jurandota.

Przyjechali niezwykle szybko. Domyśliłam się, że zrezygnowali tym razem z pysznego obiadku u Wierzbickiego w Radomiu, a była tam jedna z najlepszych restauracji w Polsce, cel licznych pielgrzymek. Przejeżdżać przez Radom i nie zjeść u Wierzbickiego? Powód musiał być istotny. I rzeczywiście...

Okazało się, że Warszawa szumi wielką sensacją: Fryderyk Járosy został zastrzelony przedwczoraj w Krakowie. Nasze przedstawienia odwołane, nie wolno nam opuszczać miasta, trwa przesłuchiwanie każdego z nas. Wiadomości były stuprocentowo pewne, bo bliscy znajomi bliskich znajomych właśnie wrócili z Krakowa, gdzie osobiście odbierali pieniądze zwracane w kasie, czytali na własne oczy w popołudniowej prasie krakowskiej, że „przedstawienia odwołane z powodów niezależnych” i w ogóle nieomal na własne uszy słyszeli strzały, jako że padły one na ulicy.

Co do charakteru egzekucji były dwie wersje, obie opierające się na fakcie, że Járosy był obywatelem austriackim, czyli po anchlussie -- Reichsdeutschem. Jedni twierdzili, że był szpiegiem hitlerowskim i zastrzelono go nieoficjalnie, ale na polecenie naszych władz państwowych. Drudzy utrzymywali, że piąta kolumna (wywiad hitlerowski w Polsce) zgładziła go za odmowę współpracy.

Kiedy Jurandot i Cybulski referowali nam to wszystko, ryczeliśmy ze śmiechu. Oni sami zresztą także, szczęśliwi, że szło o bezpodstawną plotkę, bawili się i dowcipkowali razem z nami. Járosy stwierdził, że całą historię wymyślił nasz Zbigniew dla zrobienia szumu wokół imprezy.

Kiedy jednak zostaliśmy z Jurkiem sami, przestaliśmy się śmiać. Zbyt dobrze znaliśmy Fryderyka, żeby nie odczytać wrażenia, jakie zrobiła na nim wiadomość. Zwłaszcza Jurek był niespokojny.

W Warszawie panuje istna psychoza. Choć nikt nie wierzy w wojnę, jest moda na wypatrywanie niemieckich szpiegów. Po aneksji Czech sudeccy Niemcy pokazali się z prawdziwej strony. Okazało się, że każdy Czech, zamieszkały w tych stronach, miał już od dawna swoją teczkę w gestapo. Ta plotka nie wynikała z nieporozumienia lub przypadku. Komuś zależy na wytworzeniu w nas wzajemnej nieufności.

- A ja myślę, że ktoś chce zaszkodzić specjalnie Járosyemu. To możliwe. Ale nie widzę celowości takiej właśnie plotki. Chyba żeby Niemcy weszli!

Roześmieliśmy się. O nie, taka możliwość nie wchodziła w rachubę. Gdyby nawet miała być wojna, to sobie poradzimy. Tylko proszę nie myśleć, że byliśmy jedynymi idiotami w Europie. Była nas ogromna, przytłaczająca większość, jak wykazała aż nazbyt szybko historia.

Járosy jednak należał do orłów intuicji, co wielokrotnie potwierdziło się w czasie wojny. Nazajutrz Mietek i Jurek wracali do Warszawy. Fryderyk odprowadzał Jurka do samochodu.

- Nie jest to wesoła historia.

- Nie przejąłeś się chyba głupią plotką?

Ta plotka nie jest taka głupia. Jeszcze ją sobie przypomnimy!

Nazajutrz wieczorem Jurek zatelefonował. Na ich opowiadania o Krakowie wszyscy uśmiechali się porozumiewawczo i szepotali: „Jasne, kazali wam dementować”.

Może nieproporcjonalnie dużo miejsca poświęciłam temu epizodowi, ale był to dzwonek alarmowy. Nawet my, lekkomyślni uczestnicy tury, odczuliśmy powiew grozy, która miała nam towarzyszyć stale w ciągu pięciu najdłuższych lat życia.

Na szczęście, plotka nie mogła się utrzymać, zbyt wiele osób codziennie widziało Járosyego na ulicy, w kawiarni, a przede wszystkim na scenie przy wypełnionej widowni. Szum znikł prawie tak szybko, jak się pojawił i przestaliśmy o tym myśleć.

Nasz objazd dobiegał końca. Ostatnie spektakle odbyły się w Zakopanem i tam zespół się rozwiązał. Po mnie przyjechał Jurandot. Lipiec był przepiękny, Járosy z Zosią postanowili zostać parę dni i nas też namówili.

## Zakopane, pani Maryna i milioner

Tego lata zawiązała się wielka przyjaźń między Fryderykiem z Zosią i nami. Ta przyjaźń prowadziła nas poprzez straszny czas, który już czekał zaczajony. Ta przyjaźń doprowadziła do ostatniego listu Fryderyka z 1959 roku, kilka miesięcy przed jego śmiercią. Oto fragment:

„London, 21.3.59.

Moi Jurandotowie kochani!

Modląc się co wieczór o zdrowie moich dzieci i najbliższych kończę zawsze: i trzech Jurandotów. [Mowa o nas i naszej córce - S.G.]. Jeżeli mój 20-letni pobyt w Polsce i wszystko, co tam przeżyłem, jeżeli męki okupacji i zmartwienia o Was, jeżeli powstanie, gonienie po «Germanii» i obóz koncentracyjny ze wszystkimi koszmarami nie dałyby dla mnie innego rezultatu, niż Wasz wspólny list z 10-go lutego, to sądzę, że warto było to wszystko przeżyć i uważam siebie za po królewsku wynagrodzonego! Każde Wasze słowo wzruszyło mnie do łez i wywołało uczucie wielkiej wdzięczności za Waszą przyjaźń i dobroć”.

Jest to odpowiedź na nasz list zawiadamiający go, że ma zapewnione stanowisko wykładowcy sztuki estradowej w PWST i dyrekcję nowego teatru małych form, który będzie zorganizowany specjalnie dla niego. To wszystko wyjednał Jurandot u władz kultury i sztuki. Prócz tego zamieniliśmy i doprowadziliśmy już do zamierzonego kształtu nasze nowe mieszkanie, gdzie zupełnie osobna i nie krępująca część czeka na niego z prawem własności. Niestety:

„(...) moi najdrożsi, tymczasem o jakiegokolwiek podróży nie może być mowy, jak surowo orzekł Eskulap”.

Losy Zosi Terné ułożyły się inaczej, ale to miało nastąpić w przyszłości. Tymczasem w Zakopanem było nam we czwórkę tak przyjemnie, że Járosy zaproponował wspólny wyjazd na urlop od połowy lipca do połowy sierpnia.

Programy Járosyego próbowało się zawsze najwyżej dwa tygodnie. Uważał, że dłużej nie da się pracować w napięciu i bez znudzenia, a co do opanowania pamięciowego, każdy był zobowiązany przyjść nauczony nazajutrz po otrzymaniu egzemplarza. Jednym udawało się to gorzej, innym lepiej, ale ile czasu oszczędzało się bez dukania całymi tygodniami! Sam mistrz wymagał dla siebie ostatecznej redakcji tekstów do konferansjerki dopiero na generalną próbę. Kumulował pomysły własne, Tuwima, Hemara i ostatnio Jurandota i bardzo dobrego satyryka „Tadzia-Tadzia” Wittlina (nic wspólnego z żadnym innym Wittlinem). Nie tylko nie próbował nigdy na scenie, ale nie uznawał suflera. Po prostu na premierze wychodził przed kurtynę i zapowiadał tekstami przygotowanymi od wczoraj tak, że nikt by nie uwierzył, że on to umie na pamięć, że nie tworzy tych słynnych zapowiedzi teraz, w tej chwili, improwizując przed publicznością i że przez sto przedstawień będzie mówił to samo i tak samo... Jego wielka sztuka kontaktu sprawiała, że nawet my, którzy po sto razy słyszeliśmy te zapowiedzi, bylibyśmy przysięgli, że wprawdzie tekst jest zawsze ten sam, ale że on co dzień inaczej mówi.

Jeszcze o kontakcie: opowiadał mi znajomy, że kiedyś podczas zapowiedzi Járosyego odwrócił się na chwilę za siebie z jakiegoś powodu, po czym powiedział w stronę sceny „przepraszam”. Długo po tym

spytałam Fryderyka, jak on to robi, że każdy na widowni jest pewien, że on właśnie na niego w tej chwili patrzy.

- Mam zeza - odpowiedział.

Grał genialnie spontaniczność i mówienie swoimi słowami, w tej chwili wymyślonymi.

Na próbę generalną nie poświęcano ani jednego przedstawienia. Po ostatnim spektaklu poprzedniego programu, w nocy, zaczynała się próba i kończyła się o 10 rano w dniu premiery. Wszyscy szli spać, a Járosy pewnie szedł się uczyć, ale tego nikt nie wie. W każdym razie nikt, nawet żadna z jego żon nie przyłapała go na tym. Może wystarczyło mu tylko spojrzeć w tekst i już umiał?

Nie wszyscy byli takimi szczęściarzami o fenomenalnej pamięci, choć on twierdził, że to sprawa koncentracji. Że jak się myśli o tym, co się mówi, to nie ma tremy pamięciowej, jednego z najgorszych wrogów aktora.

Przed pierwszą próbą dialogu ze mną przede wszystkim odebrał tekst suflerowi. Przez długie lata mojej pracy konferansjerskiej i wykonywania monologów dziękowałam w duchu Fryderykowi za wpojenie mi tego. Nigdy nie występowałam ani nie próbowałam z suflerem. To mi tylko przeszkadzało. Dzięki niemu mogłam w czasie moich spotkań autorskich wychodzić przed publiczność bez książek i karteluszków i w ciągu godziny do dwóch dopasowywać „z głowy” repertuar do gustów słuchaczy.

Ale wróćmy do lipca 39 w Zakopanem. Spędziliśmy urocze dni. Gdziekolwiek Járosy znalazł się w grupie ludzi, automatycznie, bez najmniejszych starań stawał się opiekunem i organizatorem. Ten człowiek wytwarzał niezrównaną atmosferę, każde wyjście w jego towarzystwie było przeżyciem. Nie wiem, jak on to robił, na czym to polegało, że każda banalna wyprawa stawała się świętem dla wszystkich uczestników. Był pogodny i pełen radości życia, żadne załamanie się planu spędzenia czasu, na przykład niespodziewany deszcz, brak miejsca gdzieś, gdzie miało się zamiar spędzić wieczór czy inne przeszkody nie psuły mu humoru ani na chwilę. Zawsze mówił „Palec boży!” i że dobrze się stało. Ale też nie znosił, kiedy ktoś zaczynał marudzić. Autorytatywnie stwierdzał, że wyszliśmy dla przyjemności i kto chce ją psuć, może spokojnie wrócić do domu.

Wtedy, świeżo po udanym objeździe, byliśmy wszyscy - - proporcjonalnie, oczywiście - przy pieniądzach, a dla Fryderyka, jak już wspomniałam, nie było większej frajdy, niż wydawanie na wspólne przyjemności. Zakopiańskie lokale nie były jeszcze zapijaczonymi melinami. Można było wynająć fiakra na całą noc (o rany, nigdy w życiu nikomu innemu z mego otoczenia nie przyszłoby to na myśl!), pojechać do Strążyskiej na Cyganów, potem do Poronina czy do Chochołowskiej, na Gubałówkę... Piliśmy tylko po parę kieliszków wina, ale śpiewaliśmy z Cyganami i tańczyliśmy czardasza ku radości całej sali, która się przyłączała, a na Gubałówce wybiegliśmy z naszym szampanem na trawiasty stok i piliśmy, patrząc przy świetle księżyca na panoramę Tatr.

Rano nikt nic nie odsypiał, szliśmy na jakąś nasłonecznioną polankę nad regłami, opalaliśmy się i gadali, gadali, gadali. Znajdowaliśmy się w środku przepięknego lata, młodzi, w najbliższej przyszłości kariera do zrobienia - - być partnerką Járosyego, macie pojecie?! - - naprawdę byliśmy bardzo szczęśliwi, nie ma po co szukać oryginalniejszych określeń.

Po kilku świetnych dniach w Zakopanem wróciliśmy do Warszawy. W pociągu układaliśmy plan wakacji. Patrzyliśmy wyczekująco na Fryderyka i słusznie. Miał pomysł.

Pojedziemy do Zaleszczyk. Pani Maryna ma pensjonat nad samym Dniestrem. Trzeba, żebyście raz pomieszkali w prawdziwie sztywnym miejscu. Nie tam żadne hotele pierwszej kategorii dla nowobogackich. Drewniany dom, piękne pokoje, świetne jedzenie, towarzystwo nie niżej hrabiego.

- A my? - pisałam.

- My? Kretinko, my jesteśmy wyżej hrabiego.



Jurek zaniepokoił się. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dalsze szaleństwa, ja miałam na utrzymaniu babcię w Łodzi, a on rodziców i uczącą się siostrę. Ojciec jego od lat był bezrobotny na skutek kryzysowych redukcji. A wymarzone meble?

Boję się, że dla nas to za droga przyjemność.

- Czy stary Járosy kiedykolwiek wprowadził was w kłopotliwą sytuację? W dodatku sam mam mało pieniędzy, przecież tournée skończyło się już tydzień temu! Daję głowę, że będziemy płacić marne grosze, a i to z trudem pani Marynie wepchniemy.

- Ale czy będą miejsca?

Zosia nie brała udziału w naszych niepokojach. Była z Járosym już od kilku lat i nie miała wątpliwości, że jeśli on coś proponuje, to ma to ręce i nogi.

Czy będą dla nas miejsca! - - zachichotał szatańsko Fryderyk. - Pani Maryna przesunie paru arystokratów czy jakiegoś wielkiego przemysłowca do gorszych pokoi, zresztą jej rzecz, może umieści ich w stróżówce. Na nasz widok wybiegnie na ganek i rzuci mi się na szyję - - powiedział obojętnie, a na widok miny Zosi dodał: - Ma 75 lat.

Oboje z Jurandotem pomyśleliśmy to samo: „aha, słynny blagier” i po powrocie do domu zastanawialiśmy się, czyby nie wynająć jakiegoś pokoju pod Warszawą.

Przyjechaliśmy do Zaleszczyk. Furtka pięknego parku otworzyła się, a na ganek stylowego drewnianego domostwa wybiegła, podkreślam - wybiegła! - - wspaniała siwa dama, wołając:

- Witam mistrza!

I rzuciła się naszemu blagierowi na szyję. Miała 75 lat.

- Prosimy, prosimy! Mają państwo najlepsze dwa pokoje z widokiem na rzekę.

Blagier spojrział na nas kątem oka, ale udało nam się zachować, jakby nigdy nic.

Potem już nas z jego strony mało co zadziwiało, ale to był dopiero początek naszej przyjaźni i jeszcze działały stereotypowe pojęcia o nim.

Powrócę jednak do tych dni, które spędziliśmy w Warszawie między Zakopanem a Zaleszczykami. Boję się, że tymi ustawicznymi powrotami zaczynam nudzić (zaczynam???), bo można sobie śmiało opis tych dni darować. Ale tak bardzo chciałabym przekazać niewiarygodny kontrast wrześniowy, to spadnięcie ze szczytu na dno.

Na ogół pokutuje raczej filmowe wyobrażenie o ostatnich tygodniach przed wojną. Zagęszczająca się ciągle atmosfera, z jednej strony patriotyczne, czy raczej szowinistyczne pohukiwania, a z drugiej panika, lęk, mówi się tylko o wojnie, żyje się w rytmie marsza to wojskowego, to pogrzebowego. Istnieli, oczywiście, tacy mądrzy, którzy w ten sposób przeżywali ostatnie chwile ginącego świata. Większość jednak nosiła końskie okulary i dzięki swoistemu instynktowi samozachowawczemu ocalała te chwile dla siebie. To, że my należeliśmy do tych drugich, dla historii nie miało żadnego znaczenia. Gorzej, że w podobny sposób nastawieni byli psychicznie ludzie odpowiedzialni za politykę i sprawy wojskowe.

Tak więc wróciliśmy z Zakopanego we wspaniałej formie. Járosy zabrał nas do nowego teatru. Był wymarzony! Scena, widownia, wszystko ani za małe, ani za duże, kameralne, takich warunków nie miała ani „Banda”, ani „Cyrulik”, ani długa kiszka „Qui pro quo”.

Na żądanie Járosyego weszłam na scenę, aby zaimprovizować taniec euforii.

- Że jesteś taka szczęśliwa, mogąc pracować w takim teatrze, z takim dyrektorem. Przy okazji wypróbujemy scenę. - Zwrócił się do Jurka: - Jak się nie zawali pod tym hipopotamem 45 kilo żywej wagi, to może być ansamblowy mazur.

Na zamówienie wykonałam .serię wysokich skoków, którą zakończyłam brawurowym zeskoczeniem ze sceny na widownię z okrzykiem (będącym cytatem z „Cyrulikowej” piosenki):

Znalazłam tu szczęście!

Znalazłam tu radość!

Tu zaimprovizował Jurandot:

Udane zamęcie...

A Járosy:

Lecz występ był gadość!<sup>2</sup> Te chwile właśnie, bardziej jeszcze niż późniejsze dwa tygodnie prób, wspominałam, kiedy we wrześniu w czasie oblężenia odwiedzałam urządzony tu schron dla aktorów mieszkających w tych stronach i dla lokatorów tego domu. Rannych było mało, ale wiele zastabnięć i ja, jakże nędzna sanitariuszka, usiłowałam nieść, pomoc przerażonym pierwszym uderzeniem ludzom. „Tutaj siedział wówczas Fryderyk, tu Jurandot... znalazłam tu szczęście” - wspominałam, podając komuś krople walerianowe (w tym byłam najlepsza).

Ale jeszcze przed wrześniem myślałam o owej pierwszej wizycie w tym teatrze, po dwóch tygodniach prób, 28 sierpnia, kiedy większość aktorów przyszła w mundurach. Byli zmobilizowani, ale jeszcze bez przydziału. Premiera miała się odbyć w terminie.

. Prezydent Warszawy, Starzyński, oświadczył Járosyemu, że w razie wybuchu wojny będziemy teatrem frontowym, a zmobilizowani koledzy zostaną skierowani przez władze wojskowe do uczestnictwa w programie.

Marian Rentgen był oficerem rezerwy, uczestnikiem I wojny i on jeden miał już przydział. Przyszedł się pożegnać, jutro o świcie wyruszał do swojej jednostki.

- Za kilka dni wszystko się rozwieje i uprzedzam: jak tylko mnie zwolnią, wracam i biada temu, kto złapie moje piosenki!

Tak mówił, a my wszyscy potakiwaliśmy, bo przecież nie będzie żadnej wojny.

Zanim odszedł, wziął mnie za rękę i pociągnął do ostatnich rzędów. Usiedliśmy na końcu ciemnej widowni.

Myślałem, że znów będziemy co noc wracać pieszo razem, stąd mielibyśmy bliżej.

- Będziemy, Marianku! Już się na to cieszę! Chwilę milczał.

- Gdyby to trwało dłużej, pamiętaj o mnie. Pamiętaj o mnie. Powiedział to dwa razy, słyszę jeszcze jego głos. Pocałował mnie w policzek. Nie byłam w stanie żartować, choć wiedziałam, że żadnej wojny nie będzie. Poszedł. Patrzyłam za nim, tym uosobieniem cywila, teraz takim innym, obcym w mundurze oficerskim. Został rozstrzelany w Starobielsku. Pamiętam o nim.

Próba trwała. Koledzy w mundurach śpiewali na scenie i grali w skeczach, co w niektórych rolach tworzyło zaskakującą zbitkę.

Ale wróćmy do dni lipcowych. Pewnego wieczora poszliśmy z Fryderykiem i z Zosią do kina. Nowo otwarte „Palladium” było piękne, eleganckie i modne. I tu wkrótce miał powstać jeden z większych schronów warszawskich. I tu zawędrowałam kilka razy ja, nieudolna sanitariuszka, i tu nabierałam wprawy w udzielaniu pomocy, przyzwyczajając się do widoku ran i krwi. Wtedy, w lipcu 39, dawano tam amerykański czy angielski film, który był sensacją dnia. Tematem, o ile dobrze pamiętam, była ucieczka czy też wydalenie grupy ludzi z Reichu. Rzecz działa się na statku. Po raz pierwszy pokazano gestapowców w działaniu.

---

<sup>2</sup> Gadost' – po rosyjsku ohyda.



Po filmie publiczność opuszczała salę w ciężkim milczeniu. Wyszliśmy na barwną, widną, ruchliwą, normalną ulicę Warszawy w letni wieczór. Koszmar znikł. Parę setek ludzi jednocześnie zaczęło rozmawiać.

- A cóż to za bujda! Wiadomo, że oni robią straszne rzeczy, jednak tu już przesadzono.

- Ale robi wrażenie.

- Właśnie po to wymyślono i nagromadzono tyle okropności. To zawsze robi kasę. Sam byłem przestraszony.

Járośy nie odzywał się. Twarz jego stała się ostra, był jakiś niepodobny do siebie. My z Zosią i Jurkiem wymienialiśmy wrażenia podobnie jak inni. Jednak i nam udzielił się nastrój Fryderyka. Zgodnie zrezygnowaliśmy ze wspólnego pójścia na kolację i rozeszliśmy się do domów.

A przecież to, co nam pokazano, było czerwcowym porankiem nad strumykiem w porównaniu z naszą późniejszą praktyką. Jedno w filmie było trafione w dziesiątkę: nastrój. Lęk, zagrożenie, śmiertelny strach. Nie spotykana dotąd groza szła od pięknych, wypiełgnowanych, długonogich, wytwornych chłopców. To było w filmie uchwycone, ale my mieliśmy się o tym przekonać dopiero za kilka tygodni.

Tymczasem przeżywaliśmy ostatnie dni starej Warszawy.

Járośy siedział w teatrze, pilnując wykańczania szczegółów, naradzając się z architektem, wciąż jeszcze proponując zmiany. Jurandot całymi dniami pisał program otwarcia. Zosia Terné studiowała nowy repertuar. Promieniała: kupiono dla niej na scenę maleńki, biały, stylowy fortepianik, przy którym odtąd miała wykonywać piosenki, sama sobie akompaniując. Jedną z nich kończył właśnie Jurandot. Do ślicznej muzyki Boruńskiego napisał ładny, liryczny tekst i piosenka ta jeszcze długo po wojnie robiła karierę. Pięknie śpiewały ją Maria Bielicka, Wiera Gran, Rena Rolska i inne piosenkarki. Do dziś dostaję listy z prośbą o przesłanie tekstu, choć to piosenka w stylu dwudziestolecia i po wojnie na pewno takiej Jurandot by nie napisał. Może właśnie dlatego chcę ją tu przytoczyć.

### *Trzy listy*

Już było bardzo ciemno - mój Boże, co z tego?  
Po prostu nie spostrzegła, że przecież biegł czas.  
Siedziała i myślała - myślała, jak napisać do niego  
I że pisze ostatni już raz...

Bądź zdrów - wszystko wiem - nie zobaczysz mnie więcej,  
Jeśli ci ze mną źle...  
Ten list potem spal, niech nie wpadnie w jej ręce,  
Spal i zapomnij mnie.  
Tylko powiedz - dlaczego, za tyle, tyle dni?  
Tylko powiedz - jak mogłeś? Jak mogłeś właśnie ty?...  
Bądź zdrów - jedno wiedz - nienawidzę gorącej,  
Niż wpięrw kochałam cię!

A potem list przejrzała uważnie, powoli,  
Przejrzała i podarła. Mój Boże, nie, nie!  
Tak przecież być nie może, niech nie wie, że aż tak ją to boli,  
Że jej będzie bez niego tak źle...

Bądź zdrow - wszystko wiem - jestem bardzo szczęśliwa,  
Sama już chciałam iść...  
No cóż? Zwykła rzecz... Mam cię dosyć, więc zrywam.  
Ty też tak zrobiłbyś.  
I nie będę tęskniła, no skąd, na pewno nie!  
Pójdę dzisiaj do kina, jest obraz z Boyer...  
Bądź zdrow - jedno wiedz - nie chcę dłużej ukrywać,  
Że nie kochałam cię.

Mój Boże, nie kochała... A jeśli uwierzy?  
Wyrzuci z serca nawet wspomnienia tych dni?  
Nie, nie, tak być nie może, niech do niej chociaż przeszłość należy!  
Więc inaczej - spod serca - przez łyzy...

Bądź zdrow - wszystko wiem - nie męcz się nadaremnie,  
Widać tak musi być...  
Że ja?... No to nic... Nie chcę, żebyś przeze mnie...  
Jeśli chcesz iść, to idź.

Tylko słuchaj, pamiętaj, na mróz ten szalik noś  
I już nie pal tak dużo, dwadzieścia sztuk to dość!  
Bądź zdrow - nie znam jej - może lepiej ode mnie  
Potrafi kochać cię...

Mam poczucie winy, bo Jurandot nigdy nie pozwalał drukować tekstów lirycznych piosenek bez nut.  
Ale mam nadzieję, że wiele osób przypomni sobie piękną muzykę i zanuci.

Ja w tym czasie mordowałam piosenkę i dialogi, które miałam wykonywać jako partnerka Járosyego.  
Od dawna umiałam je na blachę, ale na myśl o premierze dostawałam takich palpacji, że po prostu  
szukałam ratunku w powtarzaniu bez końca tekstów.

Na moje błagania o przepróbowywanie ich ze mną Járosy odpowiadał:

- Kretinko, im gorzej to zrobisz, tym będziesz lepsza. Grasz beznadziejne beztalencie, które uparło się  
iść na scenę i przeszkadza swemu znakomitemu dyrektorowi. Każdy z nas gra siebie, po co próbować?

Zbliżał się wyjazd do Zaleszczyk. Każdy z nas pochłonięty był przygotowaniem do premiery, tylko  
wieczorami spotykaliśmy się we czwórkę, a czasem w kompanii powiększonej o kilka osób. Tego lata  
wyjątkowo obrodziły ogródki kawiarniane, było z czego wybierać. A może nie było ich więcej niż

zwykle, może tylko mnie tak się wydawało, bo nigdy dotąd nie prowadziłam takiego życia. Pewnego wieczora byliśmy umówieni z Fryderykiem i z Zosią w Alejach Ujazdowskich, gdzie wystawiono stoliki w ogrodzie jednego z pałacików. Te pałacyki teraz wyglądają zupełnie tak samo. Ogródek od otwarcia miał ogromne powodzenie. Mieścił się po nieparzystej stronie Alej, chyba gdzieś w okolicy Pięknej.

Tego dnia Jurandot popełnił szaleństwo i za całe odłożone na pierwszą ratę za meble pieniądze kupił mi suknię i kapelusz w jednej z najlepszych warszawskich firm. Ten strój prezentowałam na wiosnę jako modelka. W niektórych przypadkach aktorki i tancerki miały prawo pierwokupu po niższej cenie, ponieważ firma traktowała to jako reklamę.

Teraz panowie przewróć kartkę i opuszczą opis mojej toalety, jak opis przyrody.

Sukienka była z czarnego, matowego jedwabiu, góra obcisła, a dół plisowany, tak zwana solejka. Oryginalność sukni stanowiła kieszonka na lewej piersi. Był to bukiet białych, zamszowych konwalii z wyhaftowanymi zielonymi łodyżkami i liśćmi. Każdy kwiatek był jak żywy, a przy tym wyraźnie było widać, że to kieszonka. Do tego czarny kapelusz o ogromnym, płaskim rondzie, świetnie siedzący na moim gładkim uczesaniu, oraz białe, zamszowe rękawiczki do łokcia. Wybaczcie, nie mogłam nie opisać tego stroju! Przez całe życie uważałam się za brzydactwo, tyle że z dobrą figurą. Po wojnie miałam dużo ładnych sukien na scenę i „na życie”, ale taką chwilę przeżyłam tylko raz.

Járosy z Zosią siedzieli już przy stoliku w przepelnionym ogródku. Kiedy weszliśmy z Jurandotem, poczułam, że jestem ładna. Nie, powiem szczerze, choć narażę się na śmieszność: poczułam, że jestem świetna, wspaniała! Że wyglądam najlepiej z tych wszystkich eleganckich kobiet, które siedziały przy stolikach. To były takie kobiety, o których często myślałam: ach, żeby choć raz w życiu przez chwilę wyglądać tak, jak ta pani! A teraz byłam lepsza, lepsza i mogły mnie w nos pocałować.

Járosy, zobaczywszy nas, wstał i pomachał ręką. Ludzie!!! Ten wieczór, ten ogródek, ten strój, ten Jurandot u boku, ten machający Járosy, te spojrzenia tego towarzystwa, ach, zakosztowałam dzikiego zadowolenia, jakie daje zaspokojona do wypęku próżność.

Przeszliśmy do stolika. Jakże klęłam Fryderyka, że nie usiadł dalej, że moja tryumfalna droga była tak krótka...

Usiedliśmy. Zosia pocziwie zaczęła wydawać głośne okrzyki zachwytu, a Járosy patrzył na mnie wyraźnie zadowolony. To mnie ośmieliło, więc wykrztusiłam:

- No, niech dyrektor coś powie!

- Na jaki temat? - spytał uprzejmie.

- Czy dobra ta suknia!

Po długiej, bezbłędnie wyważonej pauzie powiedział:

- Można wytrzymać.

Panowie, możecie już czytać od tego miejsca.

Sukienkę razem z kapeluszem i rękawiczkami sprzedałam zresztą nad wyraz pomyślnie kilka miesięcy później i potem razem z całą rodziną zjadaliśmy ją przez parę tygodni.

No więc, siedzimy w tym ogródku w lipcu 39 roku i jest nam wszystkim przyjemnie. Tegoż dnia, po lekkomyślnym kupieniu sukni, skruszeni poszliśmy oglądać meble, żeby je nabyć za pierwsze pieniądze z „Figara”. W naszej kawalerce na Poznańskiej 12 mieliśmy tapczan, prócz niego stary stolik, służący niegdyś Jurkowi do odrabiania lekcji, a przy nim jedno krzesło oraz postawioną na sztorc walizkę. Prowadziliśmy dom otwarty i na tej postawionej na sztorc walizce spoczywały nie byle jakie tyłki. Jurandot pracował po nocach z kompozytorami i współautorami, kiwali się więc na walizce Janek Markowski (autor m. in. „Marsza Mokotowa” i „Sanitariuszki Małgorzatki”), Tadzio-Tadzio Wittlin, Jerzy Boczkowski, Tadeusz Żeromski, Minkiewicz, Szlengel i trudno mi sobie przypomnieć, kto jeszcze. Innymi nocami, tymi przy wódce i śpiewaniu, siadywała na walizce sąsiadka z dołu, Jadzia Andrzejewska, z którą razem wtedy występowałyśmy w „Cyruliku”, zaprzyjaźnieni aktorzy, satyrycy ze „Szpilek” i w ogóle kto popadł, a jako że każdy kogoś sprowadzał, trafiali się i obcy.

Któregoś ranka, długo po wyjściu gości, sąsiad (uwaga, ten sąsiad odegra rolę w dalszych dziejach) przyprowadził, czy raczej przyniósł nam młodego człowieka, którego znalazł śpiącego w windzie. Młodzieniec ułożył się u nas na podłodze i smacznie spał dalej. Obdzwoniliśmy znajomych pytając, czyj on. Nikt nic nie wiedział. Wreszcie, kiedy się obudził i dostał kawę, okazało się, że to w ogóle nie był nasz gość. Niezupełnie wytrzeźwiony zdjął z palca sygnet i ofiarował mi na przeprosiny dodając, że jeśli to konieczne, ożeni się ze mną, gdyż jest człowiekiem honoru. Jurandot zapewnił go, że jednego męża już mam, może więc spokojnie iść do domu. Wetknęliśmy mu sygnet do kieszeni i wstawiliśmy go z powrotem do windy.

Na zakończenie dygresji, będącej epitafium dla kawalerki Poznańska 12, przytoczę pieśń, od której zawsze zaczynaliśmy nocne śpiewania.

Ci wszyscy, co byli przed nami, gdzie są?  
Gdzie dziś ich marzenia i sny?  
Spokojnie, spokojnie snem wiecznym już śpią,  
A dzisiaj - dziś inni, dziś my!  
Jednemu w tej szklance pokusa i błąd,  
I grzech w pocałunkach, i wstyd...  
A drugi poduma i widzi - co stąd,  
Że w oknach różowi się świt?... I  
Spokojnie, spokojnie, zluzują i nas  
I po nas rozsiądą się tu.  
Co komu stąd przyjdzie, że kiedyś, że raz.  
Jakiejś nocy żałował i snu...

Dalej nie pamiętam i, co gorsza, już nie mam kogo prosić o przypomnienie.

Śpiewaliśmy dużo i głośno, a na drzwiach przypinaliśmy kartkę: „Nie możesz spać? Zapraszamy! Będziesz śpiewać razem z nami!” Sąsiedzi czasem korzystali z zaproszenia, a w każdym razie skończyły się walenia w ściany.

Cały czas mieszkaliśmy bez mebli i już nam było trochę wstyd. Wreszcie tego lipcowego dnia mieliśmy na pierwszą ratę, ale Jurandot kupił suknię. Kiedy w trzy miesiące później Niemcy wyrzucali wszystkich z domu przy Poznańskiej 12, aby wprowadzić tam esesmanów, Jurandot cieszył się jak dziecko, że kupił tę suknię i dlatego nie mieliśmy na pierwszą ratę: po wpłaceniu pieniędzy meble natychmiast wstawiono by do mieszkania i przez pięć lat służyłyby esesmanom. W ten sposób z suknią wypadło niezwykle pozytywnie z każdego punktu widzenia.

Tymczasem, jak już wspomniałam, w teatrze trwały prace wykończeniowe, program się pisał, a Fryderyk, zacierając ręce, powtarzał nam:

- Zobaczycie, co to znaczy spędzić wakacje ze starym Járosym!

A Zosia, która już od paru lat takich wakacji zaznawała, przyświadczała:

Znowu się przekonacie, że mówi prawdę. Inna rzecz, że mnie woził do sławnych europejskich kurortów. Ciekawe, co on wycisnie z tych Zaleszczyk. To pewnie dziura, jakich mało.

Wspominając po 45 latach nie potrafię powiedzieć, czy rzeczywiście była to dziura, jakich mało, bo szybko okazało się, że to nie ma żadnego znaczenia.

O naszym przyjeździe już opowiedziałam. Jak przyjęła nas pani Maryna i że było dokładnie tak, jak zapowiedział Fryderyk. I proszę -- nareszcie jedna z moich dygresji owocuje. Nagromadziłam ich dużo, za to teraz będą strzelać jedną, po drugiej. Że dygresja owocuje i strzela? A bo co? Bardzo dobra przenośnia.

Znaleźliśmy się więc z Jurkiem w wydartym jakiemuś hrabiemu pokoju. Wyszliśmy na balkon. Tuż przed nami błyszczał w słońcu przepiękny, szeroko rozlany Dniestr. Będzie opis przyrody, ale później. Na razie wspomnę, że nieco dalej widać było most, który osławionym mostem zaleszczyckim miał się stać dopiero za kilka tygodni.

Rozpakowaliśmy się i zeszliśmy na kolację. Na środku jadalni stał długi stół, w wyższych od nas sferach i w eleganckich kurortach zwany table d'hôte. Biesiadnicy - bo posiłki u pani Maryny śmiało można było nazwać biesiadami - siedzieli już na swoich miejscach. Młodszy czytelnicy sądzą zapewne, że stanęliśmy bezradnie w kącie czekając, aż kelnerka zbierze brudne talerze i po kilkakrotnym nieśmiałym pytaniu, czy moglibyśmy gdzieś usiąść, usłyszeliśmy: „Nie pali się, mam tylko dwie ręce”. Otóż nic podobnego.

Ledwie weszliśmy, ukazała się pani Maryna osobiście.

- Państwo pozwolą, że przedstawię naszych nowych gości, choć będzie to tylko formalność. (Potakujący, życzliwy szmer). Czyż trzeba przedstawiać samego mistrza Járosyego? (Wielkie „aaa”)... który przywiózł nam samą wielką panią Terné? (Nikt z obecnych nie wątpił, że nie chodzi o rozmiar osoby, lecz reprezentowanej przez nią sztuki). Mamy też przyjemność powitać samego pana Jurandota, autora tylu pięknych piosenek, i jego młodą małżonkę, świetną nadzieję kunsztu śpiewaczego. Nasi mili goście przyjechali tu pracować nad nowym programem i ku swemu ogromnemu żalowi zmuszeni byli prosić o osobny stolik, aby i w czasie posiłków móc dzielić się przemyśleniami na temat premiery.

Rozległ się szmer żalu, połączonego ze zrozumieniem. Ukłoniliśmy się jeszcze raz. W towarzystwie Járosyego miało się przynajmniej z głowy bon ton. On zawsze wiedział, co i kiedy trzeba. Usiedliśmy przy czterosobowym stoliku i wreszcie zostaliśmy sami. O mądry Fryderyku, pomyślałam, ty wszystko potrafisz załatwić! Ale szybko wycofałam podziw, kiedy usłyszałam:

- Szarpió będzie siedziało przy tamtym stole. Od tych hrabiów jednego można się nauczyć: dobrego wychowania.

- A co ja zrobiłam?

- Ugotowałaś się i to było widać. O włos nie ryknęłaś śmiechem na tę nadzieję kunsztu śpiewaczego. Śpiewaczka to śpiewaczka, im wszystko jedno. Ach, szarpió afrikanske, kiedy ty się zrobisz szarpió europejskie!

Wydaje mi się, że na stare lata stałam się szarpió w pełnym znaczeniu tego słowa europejskim. Można mnie wszędzie wprowadzić. Fryderyku - Franusiu, gdybyś wiedział, ile razy przy różnych ceremonialnych okazjach przywoływałam twego ducha, który podpowiadał mi, z której strony i czym zacząć jeść langustę, z kim się najpierw witać, kiedy pchać się z ręką, a kiedy nie i diabli wiedzą, co jeszcze.

Owszem, umiałam doskonale się zachować, na przykład opiekując się dwoma pijanymi kolegami, gdyż wychowanie w garderobach teatralnych nie nauczyło mnie innych manier. Tymczasem w latach powojennych życie zaczęło mną nagle miotać po przyjęciach w ambasadach i po innych oficjalnościach. Wtedy kopałam w tydkę twojego ducha, Fryderyku, i mruczałam: „Jak mam w prawej ręce talerzyk, a w lewej kieliszek, to czym kroić szynkę? Kiedy mam wstać i wygłosić? Szybko! Mów coś!” I mówił. Również w tych dziedzinach dużo mnie nauczył.

W Zaleszczykach mogłabym mieć wiele okazji nauczenia się wyższych form towarzyskich, obowiązujących w wielkim świecie. Nie dane mi jednak było skorzystać z bezpośredniej praktyki w obcowaniu z arystokracją oraz z bogaczami „o krótkim rodowodzie, ale zupełnie comme il faut”, jak określiła pani Maryna. Járosy od razu pierwszego dnia zorganizował nasz pobyt. Wynajął na cały czas łódkę i uwodzicielsko całując w rączkę naszą gospodynię uprzedził, że będziemy przychodzić na obiady o dowolnej godzinie, co byłoby niespotykaną gafą, gdyby to zrobił kto inny. Ale i ślepy byłby zauważył, że Fryderyk jest wielką słabością pani Maryny i że każde jego żądanie będzie spełnione nie tylko ochoczo, ale z wdzięcznością, że raczył czegoś chcieć.

Jurandot z Járosym robili niezliczone żarty na ten temat i wspaniale się bawili, okrutnicy. My z Zosią byliśmy niespokojne.

- Zostaw, co ci szkodzi przejść te dziesięć metrów, daj spokój - błagała Zosia, kiedy Fryderyk z zimną krwią kazał wbić pał, żeby cumować naszą łódkę tuż przy ścieżce pod naszymi oknami.

Cicho, pipsztek (Zosia była pipsztkiem), ja to robię, żeby jej sprawić przyjemność. Nie mam pomysłu, czego teraz chcieć. Przestraszy się, czy się nie obraziłem.

Miał rację. Pani Maryna bez przerwy pytała, czy nam czegoś nie potrzeba.

A nam niczego nie było potrzeba.

Rano ładowaliśmy się do łódki, wyływaliśmy na środek rzeki i tak spędzaliśmy przedpołudnie. Skakaliśmy do wody, pływaliśmy w łagodnej, czystej rzece o powolnym nurcie, potem opalaliśmy się leżąc w łódce. Wracaliśmy na obiad, kiedy nam się chciało (Járosy nie pozwalał zabierać zegarków). Popołudnia były przeznaczone na wycieczki łodzią wzdłuż Dniestru. Z ogromnym zaciekawieniem oglądaliśmy granicę polsko-rumuńsko-radziecką. Sowiecką, jak się wówczas mówiło. Była to dla nas kompletna egzotyka. Pamiętam też inny cel naszych wycieczek: kawał sfałdowanego brzegu, gdzie ziemia była zupełnie czerwona, czerwona w niespotykany sposób. Wyglądało to niesamowicie.

To był zapowiedziany opis przyrody.

Te dni, które spędzaliśmy na naszej łódce, prawie bezpośrednio poprzedzały czas zagłady. Po dwóch tygodniach, jeszcze opaleni przez naddniestrzańskie słońce, dostaliśmy się pod grad odłamków, huk bombowców i w dominującą przez cały wrzesień woń spalenizny. Już na początku września słuchaliśmy przez radio o ewakuacji najwyższych władz przez Zaleszczyki. Zaleszczyki wchodziły do historii. Ale nie tamte z mojego opisu przyrody. Te nowe, oznaczające piekło trąbiących samochodów, przepychających się ciężarówek, tabunów przerażonych uciekinierów kotłujących się po moście, na który tak niedawno patrzyliśmy z naszego balkonu.

Wracam do jednego z dni, w którym zarówno nas, jak i Zaleszczyki czeka jeszcze krótki czas normalności.

Jak co dzień zeszliśmy z Jurkiem na śniadanie, niosąc torbę z ekwipunkiem do łódki. Járosy siedział już przy stoliku ubrany całkiem łądowo, obok niego - naburmuszona Zosia.

- Znudziło mi się tu - wyjaśnił - pojedziemy do Stanisławowa do milionera.

Wytrenowani przez teatralnych kawalarzy, którzy potrafili ciągnąć żart przez parę dni, siedzieliśmy i patrzyliśmy, co będzie dalej. Járosy z apetytem zajadał jajecznicę.

- O co mam spytać? - załamał się wreszcie Jurandot.

- O -nic. Pojedziemy do Stanisławowa. Pani Maryna już się nacieszyła, teraz trzeba sprawić przyjemność biednemu milionerowi.

- Co będziemy robić w Stanisławowie? - zimno pytał dalej Jurandot.

- Co byśmy robili w Stanisławowie? Nie będziemy siedzieć w żadnym Stanisławowie. Milioner będzie nas woził limuzyną, gdzie będziemy chcieli.

- Na przykład? - cierpliwie pytał Jurandot.

- Coś wam powiem. Pojedziemy zwiedzać Huculszczyznę. Zatkąło nas, ale Jurandot się nie dał.

Pewnie wyjedziemy jutro rano? Muszę iść kupić kwiatki dla milionerowej.

Chyba że wybierasz się na jej grób. Szczęśliwie nie żyje i mamy milionera wyłącznie dla siebie. Będzie nas woził, karmił i przenocowywał. Idźcie na łódkę. Ja lecę na pocztę zatelegrafować.

- Do milionera upewnił się Jurandot.

- Do milionera.

Idę z tobą - powiedziała ponuro Zosia i wyszła za Fryderykiem, porozumiewając się z nami wzrokiem. Poszliśmy z Jurkiem na łódkę.

- Śmiałabym się, gdyby on naprawdę wystraszył jakiegoś milionera.

- Cholera, po tym blagierze wszystkiego można się spodziewać - powiedział Jurandot, który nigdy nie kłął.

Po godzinie zobaczyliśmy stojącą na brzegu Zosię. Podpłynęliśmy po nią.

- No i co?

Nic nie mogłam sprawdzić, specjalnie tak manewrowała. Teraz został w pokoju. Będzie czekał na telegraficzną odpowiedź - mówiła Zosia, pakując się do łódki. - Już on coś wymyśli. Okaże się, że milioner chory, zbankrutował, diabli wiedzą. Będzie jakaś straszna wiadomość.

Tym razem wróciliśmy na obiad punktualnie. Ja rosę siedział już przy stoliku. Miał tragiczną minę.

- Niestety, będzie kłopot.

- Pewnie chory. A może zbankrutował?

- Zdrów i nie skarż się na interesy. Proszę. Podał Jurkowi depeszę.

- „Drogi mistrzu dziękuję za zaszczyt stop samochód będzie przed pensjonatem jutro ósma rano stop przygotuję atrakcyjny program pobytu w Stanisławowie stop serdecznie zapraszam mistrza wraz z przyjaciółmi stop Henryk” - przeczytał Jurandot, z lekka się dławiąc. - I gdzie tu kłopot?

- No, jak to?! On sobie wyobraża, że mamy zamiar siedzieć w Stanisławowie! Już my mu pokazemy, gdzie raki zimują.

Po dramatycznej rozmowie z panią Maryną (Járosy wyjaśnił jej, że przerwano nam urlop, musimy natychmiast zaczynać- próby) wsiedliśmy o ósmej rano do sześcioposobowej limuzyny. Kierowca w liberii przekazał nam żal swego chlebodawcy, że nie mógł przyjechać po nas osobiście, gdyż musi doglądać przygotowań do naszego pobytu. Jurek, Zosia i ja jeszcze wtedy przypuszczaliśmy, że zostaniemy zawiezieni do jakiejś knajpy, gdzie wielkim śmiechem przywitają nas Lawiński z Rentgenem czy Dymsza z innym kawalarzem. Nie wątpiliśmy, że warto im było wydać pieniądze na taką gratkę.

W każdym razie odjechaliśmy szalenie szykownie, żegnani przez zgromadzony przed pensjonatem personel i panią Marynę.

Kiedy na drogowskazie przy szosie przeczytaliśmy napis „Stanisławów”, zrobiło nam się nieswojo. Fryderyk powiedział tylko w powietrze:

Tak to jest, jak się nie ufa staremu Járosyemu.

Kierowca zatrzymał się przed ręcznie kutą bramą i nacisnął klakson. Po chwili podwoje rozchyliły się i wjechaliśmy do parku. Kto widział film „Trędowata”, ten wie, jak takie wjechanie wygląda.



Przed pałacym oczekiwaliśmy nas milioner. Miał taką minę, jak by tu stał od chwili otrzymania wczorajszego telegramu. Nastąpiło wstrząsające powitanie. Milioner rzucał się na szyję naszym panom, co zresztą Jurandot o wiele lepiej zniósł niż Járosy. Co do nas, ograniczył się do całowania po rękach.

- Wyobrażam sobie, jak jesteście państwo zmęczeni! - wołał. No, pewnie. My, jeżdżący przez trzy i pół miesiąca trzecią klasą, byliśmy całkowicie wykończeni godziną jazdy w poduszkach luksusowego samochodu. Zrobiliśmy z miejsca udręczone miny, bo mieliśmy nadzieję, że nas zaprowadzi gdzieś, żebyśmy odpoczęli, a mieliśmy ochotę omówić między sobą sytuację.

Otrzymaliśmy dwa apartamenty po dwa pokoje każdy. Łazienki, łóżka w aksamitach, dywany do kostek, ściany w adamaszkach.

Mam nadzieję, że będzie się państwu dobrze mieszkło - powiedział milioner i poszedł.

Fryderyk wyjrzał na korytarz.

- Nareszcie sami - westchnął z ulgą i zrzucił buty. - Słyszeliście? Będzie nam się mieszkło! Co on sobie wyobraża?! Na nasze wydziwianie na temat apartamentów dodał:

- A jak chcieliście mieszkać u milionera? Z walizką zamiast krzesła?

Przełknęliśmy aluzję i wzięliśmy udział w naradzie, w której wyniku Fryderyk podjął się negocjacji.

Po kwadransie wrócił oznajmiając, że milioner wytargował dwa dni, a pojutrze jedziemy na Huculszczyznę.

Wytargowane dwa dni minęły nie najgorzej, bo byliśmy obwożeni po ładnej zresztą okolicy, a celem wycieczki była zawsze jakaś restauracyjka w plenerze. Każda miała swoją specjalność i milioner z góry uprzedzał, że tu się będzie jadło dziczyznę, tam pstrągi, a ówdzie słynną zupę. Brzmi to jak bajka, ale wtedy milionerzy mieli na co wydawać pieniądze.

Dalszy ciąg bajki rozegrał się na Huculszczyźnie, tak jak zarządził Fryderyk. Zamieszkaliśmy w pięknym Jaremczu i stamtąd robiliśmy wypadki czasem samochodem, czasem pieszo. W turystyce po tych rozległych pagórkach nareszcie ja okazałam się najlepsza, na co nie trzeba było być Hillarym, Tenzingiem ani panią Wandą Rutkiewicz, bo Zosia, Fryderyk i Jurek nienawidzili chodzić, siadali nad pierwszym strumykiem i wręcz odmawiali pójścia dalej. Szczęśliwie znalazłam świetnego towarzysza, bo milioner był wytrawnym turystą. Robiliśmy fantastyczne spacerunki w ślicznym krajobrazie, a wracając zabieraliśmy naszych leniuchów, którzy - znalazłszy się poza obrębem milionera - nie szcędzili drwin. Zdaniem Járosyego, nigdzie z milionerem nie chodziłam, tylko zaszywałam się jakoby w najbliższe krzaki i tam wspaniale spędzaliśmy czas.

- I tak wypadało mu coś dać w rewanżu - mówił do mnie - to niech to będzie od nas wszystkich.

Zresztą milioner okazał się sympatycznym, skromnym człowiekiem i każdy chyba zrozumie, że taki zbiór zalet musiałby zdenerwować nawet anioła. Od czasu do czasu, kiedy byliśmy sami, Fryderyk szeptał konspiracyjnie:

- Jak my go nienawidzimy! Chodźcie, zamordujemy go. Było to konieczne dla higieny psychicznej.

- Skąd ty go właściwie wzięłeś? Kto to jest? - spytała kiedyś Zosia.

- Widz - odpowiedział János.

Wakacje kończyły się. Milioner odwiózł nas do Warszawy.

## Zamiast premiery

Nazajutrz punktualnie o godzinie 10 rozpoczęła się pierwsza próba w nowym teatrze. Premiera za dwa tygodnie, drugiego września 1939 roku.

Ponieważ w jednej z dygresji opowiedziałam o próbie dnia 28 sierpnia, kiedy ogłoszono mobilizację, zacytuję Jurandota, który w „Dziejach śmiechu” tak opisuje z kolei generalną próbę:

„Pierwsza próba generalna odbyła się 31 sierpnia wieczorem. Miasto było zaciemnione, wyklejone afiszami mobilizacyjnymi, w nocnych aptekach stały długie kolejki po tampony, mające zastąpić maski przeciwgazowe. Nikt z nas nie miał już wątpliwości, że wojna wisi na włosku. Ale nikomu nie przychodziło na myśl, żeby zrezygnować z premiery. Front zatrzyma się przecież na długie miesiące na ufortyfikowanej granicy, Warszawa musi żyć normalnie. Możliwe zresztą, że przekształcą nas w teatrzyk frontowy - tym bardziej musimy być gotowi.

Późną nocą próba dobiegała końca. Ostatnim numerem był piękny kujawiak, barwne pary i cała scena wirowała, wreszcie powoli zamierała.

- Po zakończeniu - powiedział Járosy - zaśpiewamy Hymn. Czy wszyscy dokładnie pamiętają słowa? Powtórzmy sobie.

Pianiści zasiedli z powrotem do instrumentów i zagrali »Jeszcze Polska«.

Z pierwszego rzędu widowni widziałem wyraźnie łzy, które powoli zaczęły spływać im po twarzach, kiedy śpiewali. Płakały wszystkie kobiety. Płakał Járosy. Płakali sceptyczni, z trudem poddający się wzruszeniu »kabareciarze« - Lawiński, Minowicz, Znicz. Patrzyłem na miejsce na scenie, gdzie powinien stać siwowłosy porucznik Marian Rentgen. Odjechał przed paroma dniami, już zmobilizowany. Płakali przy fortepianach Boruński i Gimpel. Wszyscy.

Wielu z nich widziałem tego dnia po raz ostatni”.

Pierwszego września nad ranem obudziły nas huki. Jak cała Warszawa przypuszczaliśmy, że to ćwiczenia. Jurek włączył radio.

**AGRESJA NIEMIEC NA POLSKĘ STAŁA SIĘ FAKTEM DOKONANYM.**

Pierwsze bomby zapalające spadły na Sielce. Przez radio wzywano ochotników do pomocy strażakom. Po paru chwilach ogłoszono, żeby już nie przychodzić. Ochotników było za dużo.

Pobiegliśmy do moich teściów na Złotą 75. Uspokajaliśmy rodziców, jak mogliśmy, powiedzieliśmy parę głupich dowcipów, zostawiliśmy im bilety na jutrzejszą premierę i pognaliśmy do teatru.

Na Złotej nie zastaliśmy już młodszej siostry Jurka, Zochy. Była to wspaniała dziewczyna.

Utalentowana studentka Akademii Sztuk Pięknych, działaczka harcerska. Zaraz po komunikacie poszła spotkać się z koleżankami z gromady starszoharcerskiej „Wilcze gniazdo”, aby od pierwszej chwili włączyć się do akcji ratowniczej.

Wspominam tu o niej specjalnie, chcąc skorzystać z okazji, aby tę piękną postać wydobyć z zapomnienia. Járosy byłby jej chętnie użyczył gościny w tej opowieści, nadzwyczaj lubił i cenił naszego „okularnika”.

Przytoczę fragment wspomnienia o Zosi, przysłanego Jurkowi w kilka lat po wojnie przez jej towarzyszy walk.

„Od pierwszych miesięcy okupacji pracowała w szeregach Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej na coraz bardziej odpowiedzialnych szczeblach. Przez pracę w konspiracji rozłączona z rodzicami i bratem, przeżywała z dala tragedię męczeńskiej śmierci rodziców. W Powstaniu Warszawskim pełniła żołnierską służbę na Starym Mieście pod pseudonimami »Ziółkowska« i »Zawadzka«. W dniach kapitulacji Starego Miasta pozostała w ostatnim oddziale »straceńców«, złożonym z żołnierzy różnych ugrupowań. Mieli oni zadanie osłaniać wyjście swych towarzyszy kanałami. Zginęła od pocisku granatnika”.

Miała wtedy 24 lata.

W teatrze pomimo wczesnej pory zebrał się cały zespół z wyjątkiem kolegów zmobilizowanych, którzy udali się już do swoich jednostek. Dla wszystkich pozostałych było zupełnie naturalne, że w takich chwilach biegnie się do teatru, jak do najbliższej rodziny. Powstało w nas poczucie wspólnoty, klanu. A może zesłiliśmy się tu, podświadomie poszukując choć odrobiny normalności? Ulice były nie te same: chodzili po nich przerażeni ludzie, część sklepów zamknięto (otworzono je potem na apel Starzyńskiego, który od pierwszej godziny wojny czuwał nad swoim miastem). Z nielicznych otwartych sklepów już zaczęto wykupywać żywność. Na ulicach co chwila tworzyły się grupy otaczające kogoś, kto „miał wiadomości”. Najczęściej można było usłyszeć, że nasze samoloty bombardują Berlin, że hasze wojska weszły w głąb Niemiec. I ci sami przerażeni wpadali w euforię.

- Do diabła, nie mam przydziału do wojska, to wszystko się skończy, zanim zdążę włożyć mundur! - wykrzykiwali młodzi ludzie.

- A dosoliłoby się szwabom! - wtórowali inni.

Co jakiś czas odzywały się syreny alarmowe, radio nadawało szyfrowane komunikaty, latały samoloty, słychać było cienką strzelaninę artylerii przeciwlotniczej. Wszystko to razem tworzyło jakąś niesamowitą mgławicę, coś obcego, nierealnego szło przez Warszawę.

Wpadliśmy wszyscy do teatru, aby schronić się - nie przed bombami, lecz przed tym opadającym na nas koszmarem, przed tą zmianą: przecież wczoraj wieczór była jeszcze próba!

W teatrze panował spokój. Nawet najwięksi tchórze zachowywali się poprawnie.

Wszyscy patrzyliśmy wyczekująco na Járosyego.

- Idę do Starzyńskiego, muszę się z nim porozumieć w sprawie premiery. Jeśli się zgodzi, gramy dziś.

- Nikt nie przyjdzie!

- Trudno. Ale nie będziemy dezertkami.

- Starzyński cię nie przyjmie. Wyobrażasz sobie, co się u niego dzieje?

- Starzyński przyjmie każdego.

Járosy miał rację.

Wyszliśmy z teatru, aby się rozejrzeć po mieście. Mężczyźni przepychali się przed różnymi urzędami, dopytując się o punkty mobilizacyjne, za dużo jednak było chętnych. Gdziekolwiek ogłaszano zbiórkę ochotników, w ciągu kilku minut stał nieprzebrany tłum. W końcu zatrzymywano kilkadziesiąt lub kilkaset osób, a reszcie kazano się rozejść.

Nic nie zwojowawszy, po kolei wracaliśmy do domu. Od tego pierwszego dnia domem naszym na nieokreślony czas stało się mieszkanie Zosi i Fryderyka. Było ono dość obszerne, na pierwszym piętrze dużego, masywnego domu. Nasze piąte piętro na Poznańskiej było ostrzelane już 1 września, kawałki wybitych szyb zaścielały podłogę. Prócz paru reprezentacyjnych gmachów zabudowa Warszawy była trzy- lub czteropiętrowa, na skutek czego nasze piąte piętro wystawało obnażone ponad okoliczne dachy. A tak się wyklóciliśmy, kiedy przy wynajmowaniu administrator proponował nam trzecie piętro... Koniecznie chcieliśmy mieszkać jak najwyżej, żeby mieć piękny widok. I mieliśmy.

Słowem, wprowadziliśmy się na ulicę 6 Sierpnia. Járosy nie byłby Járosym, gdyby z miejsca nie zaczął organizować. Mężczyźni (dziś powiedzielibyśmy - aktywiści) z kilku najbliższych domów zebrali się, omówili co najpilniejsze, wybrali komendanta bloku, czyli wszystkich tych domów (no, kogo wybrali, można zgadywać do trzech razy), i komendantów poszczególnych domów. Naszym domem miał się opiekować Jurandot.

Część zebranych poszła zdobywać worki z piaskiem, kilku wyszło na dachy zorientować się, jak tam wygląda, aby wyznaczyć miejsca dla dyżurujących, inni zajęli się wynajdywaniem najdogodniejszych i najszybszych przejść na dach, wewnątrz domu i do schronu. Tu czekała wspaniała niespodzianka: w podziemiu znajdowało się ogromne pomieszczenie, jakby specjalnie w tym celu zbudowane. Zebrała się brygada pań ze szczotkami i szmatami, i wkrótce nasz schron pachniał czystością. Zrobiły też zbiórkę krzesel i materacy. Teraz schron był naprawdę palce lizać, tylko czekać na porządne bombardowanie, którego zresztą nie będzie, bo niedaleko ustawiono stanowisko przeciwlotnicze, a w ogóle nasze myśliwce nie dopuszczą jakiegóż znaczącej ilości niemieckich bombowców.

Co do mnie, byłam śmiertelnie obrażona. Nie odpowiadało mi mycie podłogi w schronie. Chciałam mieć stałą funkcję, a zwłaszcza nęciło mnie siedzenie na dachu. W tamtych czasach jednak nie było zwyczaju zatrudniania pań na niebezpiecznych stanowiskach. I oto w samym środku patriotycznego porywu, kiedy nikt nie szczędził wielkich i patetycznych słów, ja zostałam wyłączona.

- Sama znajdę sobie przydział. Myślicie, że tylko wy macie prawo bronić Warszawy? Walczyć? - pyskowałam.

- Zamknij się, szarpio -- powiedział komendant bloku.

Dom był zamieszkały nie przez żadną cyganerię jak Poznańska 12, lecz przez dobre towarzystwo (macie pojęcie, mieszkania - szczyt luksusu, i to tuż przy placu Zbawiciela), i jak nam później doniesiono, część lokatorów sarkała, że komendantami wybrano artystów. Że to niepoważne.

- Zgoda, bardzo ich lubimy, ale to nie kabaret.

No i co? Bardzo szybko okazało się, że nasz blok był najwcześniej i najlepiej zorganizowany. Po paru dniach, kiedy prawdziwa już groza zaczęła zaglądać do oczu, burzuje nareszcie zrozumiwały, że wygrały wielki los w postaci tego komendanta bloku. Szybkość i samodzielność decyzji, odwaga, troska o każdego lokatora z osobna i autorytet, jaki od razu zyskał, sprawiły, że u nas w najgorszych chwilach mniej było hysterii niż gdzie indziej, bo potrafił gasić zaczątki paniki, że utworzyła się więź między ludźmi, że większość zajmowała się jakąś pracą dla innych. Niestety, jeden zarzut okazał się słuszny. Ten komendant był nieco niepoważny...

Tu na chwilę wyskoczę z toku opowiadania..

Otóż, powinnam się pilnować, pisząc o faktach historycznych. Jeżeli podam, że to a to wydarzyło się w ten wtorek, kiedy specjalnie dużo pocisków spadło na ulicę Sienną, przyjdzie kilkaset listów od emerytów ze sprostowaniem, że Sienną bombardowano w sobotę. Odezwą się właśnie emeryci, bo po pierwsze - tylko im chce się jeszcze walczyć o ścisłość, a po drugie - ci, co wiedzą, to już emeryci. Wiem coś o tym - jako emerytka.

Drodzy Czytelnicy! To nie kronika ani dziennik. Opisuję to, co zostało w mojej pamięci. Mogę się mylić w datach. Nie chciałabym jednak, żeby to podważyło Wasze zaufanie: same wydarzenia i ich klimat są autentyczne, tyle że widziane wówczas przeze mnie. Bardzo subiektywnie.

Już pierwszego września zorientowaliśmy się, że oprócz problemów natury ogólnej wiszą nad nami kłopoty osobiste. Jak już wielokrotnie wspominałam, nikt z nas nie miał pieniędzy. Przecież od jutra powinniśmy byli zarabiać krocie, tak też obliczaliśmy nasz budżet. I słusznie. Starczyło nam do dziś włącznie. A nawet gdybyśmy mieli zacząć grać (Starzyński zlecił wstrzymanie premiery o parę dni, kiedy będzie lepsze rozeznanie sytuacji), nie było co się łudzić, że w tym czasie ktokolwiek nam wypłaci zaliczki.

- Czekajcie - powiedział Fryderyk - stary Járosy pójdzie do miasta. Tymczasem oddajmy wszystkie pieniądze Jurkowi, niech kupi coś do jedzenia.

Jurek obrał nas skrupulatnie nawet z bilonu i poszedł, a ja znów pobiegłam do teściów, wykradłszy dla nich z lodówki Zosi kawałek kiełbasy. Jak słusznie się obawiałam, mieli jeszcze mniej niż my. Pocieszyłam ich, że Jurek kupi, co trzeba i jutro przyniesiemy.

Wieczorem zeszliśmy się w domu. Járosy miał niezłą minę, ale z opowiadaniem postanowił czekać na Jurka, który dziwnie długo się nie zjawiał. Wreszcie wszedł ciężko dysząc i dał znak Fryderykowi, żeby z nim zejść.

Po jakimś czasie drzwi wejściowe otworzyły się szeroko i Fryderyk z Jurkiem wtoczyli ogromną blaszaną beczkę.

- Wszystko w mieście wykupione. Puste sklepy otwarte, bo boją się Starzyńskiego. Ale ktoś na ulicy mi powiedział, że można coś kupić u Pakulskich.

Był to jeden z najelegantszych sklepów, tak zwany kolonialny, dziś powiedzielibyśmy „delikatesy”, na Chmielnej, dziś powiedzielibyśmy „Rutkowskiego”.

- Poszedłem tam - opowiadał Jurek - była ogromna kolejka. Sprzedawano już tylko jeden artykuł. Każdy wychodził ze sklepu, tocząc przed sobą takie coś - wskazał beczkę czy raczej olbrzymią puchę. -

W jednych były śledzie, a w innych konserwowe ogórki. Ale wyglądały jednakowo i nikt w sklepie nie wiedział, co jest w której.

Z wielką emocją otworzyliśmy puszkę w kształcie beczki. Ogórki. Z okrzykiem radości zaczęliśmy wyjadać tak jak stały.

Dobrze, że nie śledzie! Jak nie będzie chleba, to doskonale można je jeść bez wszystkiego.

Roześmieliśmy się na samą myśl, że może nie być chleba. To wszystko skutek nagłej paniki, samo się unormuje.

- Jak to przyniosłeś? - spytał Fryderyk.

- Po prostu toczyłem przed sobą przez pół miasta. Ale nieźła zdobycz, co?

Duma Jurka była usprawiedliwiona. Tyle tylko, że do końca życia nikt z nas nie może patrzeć na konserwowe ogórki.

- Dobrze się spisaleś - pochwalił Járosy. - ale i ja nie przyszedłem z pustymi rękami.

Wyciągnął z kieszeni marynarki plik banknotów i położył je na stole.

Zasypaliśmy go pytaniami.

- Mniejsza z tym - odpowiedział - ale Uspokójcie się, nie zostawiłem śladów. Kto będzie skarbnikiem?

Wybór padł na Zosię jako najgospodarniejszą. Fryderyk nie był zadowolony.

- Ten harpagon będzie nam wydzielał każdy grosz!

Tak było istotnie. I dzięki harpagonowi tajemniczy fundusz wystarczył na całe oblężenie. Podobno nie należy pozostawiać w książkach nie rozwiązanych zagadek, więc informuję, że Járosy po prostu sprzedał swe smokingi-

Mijały pierwsze dni wojny, lecz już nie dni, już godziny znaczyły błyskawiczną drogę upadku. Nie sposób było śledzić, a cóż dopiero przyjąć do wiadomości niewiarygodnych, straszliwych wieści z frontu. Na własne oczy widzieliśmy ogólny bałagan, nieporadność, brak jakiegś myśli przewodniej tu na miejscu, w Warszawie. Jeżeli cokolwiek trzymało się kupy, jeżeli piekarze piekli chleb, była woda, światło, gaz (do czasu porozbijania wszystkich urządzeń przez artylerię), zawdzięczaliśmy to wszystko jednemu jedyemu człowiekowi - Stefanowi Starzyńskiemu.

Ostatni wielki moment przeżyliśmy w niedzielę 3 września, kiedy ogłoszono, że Anglia i Francja przystąpiły do wojny. I my biegliśmy pod obie ambasady, aby wiwatować w tłumie, i my wracaliśmy przez szalone z radości miasto.

Tymczasem trzeba było żyć. Aby kupić chleb, należało ustawić się w kolejce w środku nocy. Sklepy spożywcze otwierano o szóstej, ale wtedy nie było już po co stawać. Nigdy chleba nie starczało dla wszystkich. To była moja funkcja. Stały same kobiety. Mężczyźni byli zajęci w służbach obronnych, wtedy rzucano głównie bomby zapalające i jeżeli nawet nie trafiły w dom, to wystarczyła firanka powiewająca z wybitego okna i już się paliło. Na straż nie było co liczyć. Tylko natychmiastowe ugaszenie zaczątku pożaru własnymi siłami mogło uratować dom. W naszym domu takie pożarki, jak

je pieśczośliwie nazywaliśmy, zdarzały się nieraz parę razy dziennie i wszystkie aż do końca oblężenia sprawnie gaszono.

Samo stanie w kolejce przez parę nocnych godzin nie było dokuczliwe, noce były ciepłe i pogodne. Ale jak tylko zaczynało dzień, nadlatywał. Bez żadnych przeszkód, jak na ćwiczeniach, opuszczał się tak, że widzieliśmy jego twarz. I on nasze. Przelatywał nad kolejką, ostrzeliwując z karabinu maszynowego nie jakiś teoretyczny cel, ale kilkaset rozpoznawalnych kobiet, wciskających się w ścianę, która jednak ani razu się nie rozstała. Przeleciawszy nad nami, oddalał się, aby wykonać swoje właściwe zadanie. Na szczęście, ostrzeliwanie kolejek było prywatną, choć nagminną zabawą lotników. Z reguły przelatywał tylko raz, a i to w pośpiechu. Temu przypisać należy, że nas ostrzeliwał był jak, bez większego powodzenia. Kilka razy zdarzyło się, że któraś z kobiet padała ranna, ale tylko dwa razy udało mu się zabić na miejscu. Jak na prawie miesiąc, nie były to imponujące rezultaty.

W pierwszych dniach bałyśmy się potwornie, ale potem zrobił się z tego rodzaj sportu. Przyleci dziś czy nie przyleci? Chwila strachu, ściana...

- Znów nie trafiłeś, ty sk...! Żebyś spadł!

Byłyśmy już ostrzelane, jak się mówi o frontowych żołnierzach. Trudno powiedzieć, że bym to lubiła, ale kiedy wracałam do domu z bochenkiem gorącego, pachnącego chleba, było mi bardzo przyjemnie.

Tymczasem nasi panowie siedzieli na stanowiskach obrony przeciwlotniczej i wspaniale sobie radzili ze swoimi pożarkami. Duch bloku nie był jeszcze w upadku.

Na naszej ulicy, kilka minut od nas, mieścił się szpital wojskowy imienia Józefa Piłsudskiego. Jak inne warszawskie szpitale, przyjmował wszystkich rannych. Wkrótce jakoś sama przez się utworzyła się w bloku grupa pań współpracujących z tym szpitalem. Zaglądałyśmy tam codziennie i zawsze było coś do roboty dla naszych - wtedy jeszcze nieporadnych - rąk. Po każdym bliskim nalocie, a potem w czasie artyleryjskiego ostrzeliwania przyprowadzałyśmy tam rannych czy zszokowanych, mogących się poruszać o własnych siłach. Zadomowiliśmy się, znałyśmy personel i wielu pacjentów. Znacznie więcej nauczyłam się wtedy jako sanitariuszka niż później na konspiracyjnym kursie.

Pewnego ranka wyjrzałam przez okno. Od strony szpitala szła łuna. Pobiegliśmy w tamtą stronę. Ochotnicy już wynosili rannych z łózkami.

Dla tych, którzy przeżyli powstanie, taki pożar to niewart opisu epizod. Przecież dokoła jeszcze była Polska, łóżka i nosze z rannymi można było stawiać po bramach. W rezultacie, dzięki licznej i szybkiej pomocy, uratowano wszystkich, choć dużo było ciężkich poparzeń. Ale nie porównujemy oblężenia z powstaniem. Wtedy nie byliśmy zahartowani pięcioma latami okupacji, większość z nas pierwszy raz w życiu widziała rany i śmierć. Właśnie wróciliśmy z wakacji...

Kiedy biegłam w tamtą stronę, wołali mnie po imieniu wyniesieni z pożaru „moi” ranni. Cóż mogłam dla nich zrobić? Jak zawsze miałam przy sobie chlebak (mój chlebak z tatrzańskich wędrowek), a w nim środki opatrunkowe i ogromną butlę nieśmiertelnej waleriany. Poiłam rannych tymi kroplami i z zazdrością podglądałam pielęgniarki tak wprawnie zakładające opatrunki.

Fryderyk i Jurek wrócili do domu lekko osmaleni, ale w całości.



Sporo jednak wybiegłam w przyszłość. Jeszcze nie było niemieckiej artylerii na przedmieściach, koszmar dopiero się potęgował. Dobiegały już nas pogłoski o ewakuacji niektórych urzędów, ale staraliśmy się ich nie słuchać. To niemożliwe, aby zostawiono nas samych.

## Nie chcieli być w tołpie<sup>3</sup>

Wieczorem 6 września radio wezwało ludność do kopania rowów dokoła miasta. Już oficjalnie wiadomo było, że Niemcy przerwali front i zbliżają się do Warszawy. Jak zawsze, warszawiacy stawili się tłumnie. I jak zawsze akcję źle zorganizowano. Brakowało łopat, szpadli, na niektórych punktach nie było kierownictwa. Fryderyk z Jurkiem wrócili pełni jak najgorszych myśli. Nad ranem radio przemówiło głosem pułkownika Umiastowskiego. Ulice zaroily się od „mężczyzn zdolnych do noszenia broni”, jak ich nazwał komunikat. Wszyscy, według rozkazu, kierowali się w stronę mostu Poniatowskiego.

- Czekaj - powiedział Járosy do Jurka, który zerwał się, aby przygotować się do wyjścia - teraz rusza największy tłum. Zapamiętaj sobie: nigdy nie trzeba być w tołpie. Nie ma nic gorszego niż tołpa... Zobaczmy, co będzie później.

- Przecież idziemy do wojska!

- Zdążymy. Wojsko nie ucieknie.

Po nie przespanej nocy położyliśmy się. Odgłosy kroków na schodach, rozmowy za ścianami, szum na ulicy uświadomiły mi nagle, co oznacza wezwanie. Że w mieście zostaną tylko kobiety i dzieci. Że opuszczą nas Fryderyk i Jurek. Ale z terenów zajętych szły straszliwe wieści o postępowaniu hitlerowców z mężczyznami. Niech więc wyjdą, niech wyjdą jak najszybciej.

Wstali dosyć późno i kazali sobie dać duże śniadanie, bo nie wiadomo, kiedy będą znowu jedli. Po zjedzeniu spokojnie i ze smakiem zapalili sobie papieroska.

- Łazić kilometrami w moim wieku... - narzekał Fryderyk.

- A ja mam platfusa - dorzucił Jurek.

- Szarpió, ty lubisz spacerować, idź zamiast nas. My spokojni ludzie, wolimy grać w karty.

Prawdę mówiąc, obaj mnie strasznie denerwowali. Byłam ledwie żywa z niepokoju, ulice pełne mężczyzn z plecakami i tobołkami, wydaje się, że nikt w mieście nie został, a ci palą sobie i dowcipkują! Doprawdy, zachowywali się niezgodnie z powagą chwili. Wreszcie poszli.

Zostałyśmy z Zosią. Wczorajszy dzień, ciężki wojenny dzień wydał nam się utraconym szczęściem. Zosia popłakiwała. Járosy, żegnając się ze mną, szepnął:

- Opiekuj się Zosią. Ty jesteś silniejsza.

Gówno byłam silniejsza. Trzęłam się ze strachu zupełnie tak samo jak ona, tylko chciałam imponować odwagą.

Co robią kobiety w takich chwilach? Biorą się za sprzątanie. Właśnie tak postąpiłyśmy. Uptynęła najwyższej godzina od ich wyjścia, kiedy ogłoszono alarm. Wyłączyłam radio.

---

<sup>3</sup> Tołpa – po rosyjsku tłum.

- Nie słuchajmy. I tak nic im nie możemy pomóc.

Myśl o nich, zupełnie bezbronnych, idących w tłumie, który aż się prosi o ostrzeliwanie, była trudna do zniesienia. Zaparzyliśmy sobie resztkę kawy.

- Lepsza niż w Ziemiańskiej. Szkoda, że ostatnia.

To nie było wspomnienie sprzed wojny. Od paru dni otwarta była kawiarnia „Ziemiańska” na Mazowieckiej, ta słynna kawiarnia, gdzie zbierali się po próbach aktorzy, gdzie na półpięterku stał stolik Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Magdaleny Samozwaniec, Pawlikowskiej. Na pięterku zaś od dwóch lat mieścił się teatr „Małe Qui pro quo”, w którym Jurandot był kierownikiem literackim.

Pan Albrecht, właściciel kawiarni, otworzył ją już drugiego dnia wojny. Podawano zbożową kawę i kawał ciemnego chleba ze smalcem w cenie kosztu. Wpadało się tam z dwóch powodów: aby w tej oazie zakosztować atmosfery tak niedawno utraconych dni i żeby zjeść ten chleb ze smalcem. Wszyscy byliśmy głodni, a chleb porządnie nasmarowany stanowił wielki rarytas.

Siedzieliśmy więc z Zosią przy tych najostatniejszych resztkach naszej prawdziwej kawy i kalkulowaliśmy, gdzie też oni mogli już dojść.

- Podobno najbardziej ostrzeliwany jest most Poniatowskiego. - Ta z góry mówiła, że zginęła tam Szmolcówna.

Ty tylko słuchaj, co mówią. Każdy coś wyssie z palca, a potem wszyscy powtarzają.

Halina Szmolcówna, żona wielkiego dyrygenta Grzegorza Fitelberga, długoletnia primabalerina i pedagog Opery Warszawskiej istotnie zginęła w czasie ostrzału mostu.

- Na pewno są już daleko za Warszawą.

- O Boże, czy chociaż żyją? - westchnęła Zosia.

- Uspokój się, żyją, żyją.

Żyją? Przestałyśmy rozmawiać. Czas włócił się nieznośnie, a patrzenie co chwila na zegarek było bez sensu.

- Nie możemy tak siedzieć. Musimy czymś się zająć. Wiesz, zajrzyjmy do schronu w teatrze, tam parę osób wciąż dostaje hysterii. Powiemy im, że Ameryka przystąpiła do wojny, chcesz?

Zaczęliśmy się zbierać, kiedy nagle ktoś obrócił klucz w zamku. Do pokoju wpruły te dwa cholerne dranie, zdrowe jak konie, w świetnej formie i niesłychanie zadowolone z wywołanego efektu, a przy tym najzupełniej żywe.

- Siadajcie... odpocznijcie...

Rzuciliśmy się podsuwać im fotele, zdejmować z nich plecaki, głaszcząc ich i całując. Poddawali się bez oporu tym zabiegom. -- Teraz mówcie, co się stało!

- Nic się nie stało. Już przed Alejami Jerozolimskimi zakorkował nas taki tłum, że w ogóle nie mogliśmy się ruszyć.

Wtedy Fryderyk powiedział: „I oto mamy tołpę. To nie jest dla nas towarzystwo, wracamy”. Próbowaliśmy się przepchnąć w odwrotnym kierunku, co było beznadziejne.

- Ale ogłoszono alarm, słychać było, że nadlatują i zrobiła się panika. Ludzie rzucali się na ziemię, uciekali nie wiadomo gdzie i dzięki temu udało się nam wydostać z głównego nurtu.

- Co myśmy tu przeżywały... Gdzie byliście tak długo?

- Na kawie.

- Gdzie?!...

- Gdzie. Jak wam się zdaje, gdzie się idzie na kawę? Do składu amunicji? Nie. Na kawę idzie się do kawiarni. Najłatwiej nam było dostać się do „Polonii”. Przysiadł się do nas bardzo sympatyczny pan, zaczęliśmy gawędzić, wyciągnął piersiówkę z dobrym koniakiem i czas przeszedł nie wiadomo kiedy.

- My tu rozpaczamy, szalejemy, myślałyśmy, że co najmniej nie żyjecie, a wy... - Tu Zosia zaczęła płakać.

- Płaczesz, że żyjemy? - zdziwił się Fryderyk.

- Najważniejszego, oczywiście, nie powiedział - odezwał się Jurek. - Ten facet błagał, żeby Fryderyk poprowadził mu samochód. Ich kierowca w ostatniej chwili dał się przekupić i teraz są bezradni.

Tu przerwę relację Jurka, aby wyjaśnić, że w tych czasach umiejętność prowadzenia samochodu była niesłychaną rzadkością. Nawet wśród nielicznych posiadaczy aut prawie wszyscy mieli szoferów. Tego dnia za miejsce w samochodzie dawano majątki, za rowery płacono tysiące. Zapowiadał się przecież parusetkilometrowy marsz w upale, z ciężkim tobołem na plecach.

Fryderyk, zgodził się, oczywiście - ciągnął dalej Jurek - dodając jednak: „Nas jest dwóch”. Tamten miał komplet i nikogo więcej nie mógł wziąć. „No, to dziękuję”, mówi Fryderyk, „mam zwyczaj trzymać się tego towarzystwa, z którym wyszedłem”.

Golgotę wrześnieowych wędrowców opisano setki razy. Gdzieś za Garwolinem nastąpiło pierwsze masowe załamanie. Część zdziesiątkowanych przez naloty uchodźców powlokła się z powrotem. Ranni, chorzy, wyczerpani do ostateczności.

- W każdym razie my wróciliśmy pierwsi, to fakt historyczny - chwalili się nasi cynicy.

Ileż jeszcze razy w czasie wojny Fryderyk ratował życie sobie i innym dzięki niekonwencjonalnemu sposobowi myślenia, własnej logice i wierze w swój instynkt samozachowawczy.

- Mam tu sejsmograf - mawiał, wskazując okolice górnej części mostka.

## Komendant bloku

W tym czasie zaczęła się współpraca Járosyego i Jurandota z radiem.-

Po opuszczeniu Warszawy przez wszystkie władze, zupełnie nie troszczące się o los miliona mieszkańców, zostały nam dwie instytucje: Starzyński i Warszawa druga. Dzięki nim życie w coraz straszliwszych warunkach miało swoją codzienność. Radio nadawało określone audycje w określonych godzinach. Słyszeliśmy głosy naszych spikerów, naszych aktorów, a raz dziennie całe miasto zastygało przed odbiornikami. Przemawiał prezydent Starzyński. „Przemawiał” to nieodpowiedni termin. Raczej rozmawiał z nami o naszych dzisiejszych kłopotach. Ale najważniejsze, że był. Kategoriecznie odmówił wyjazdu z władzami. Został z nami.

Warszawa druga zwróciła się do Jurandota z propozycją pisania wierszy na aktualne warszawskie tematy, które miałyby wykonywać Járosy. Odtąd aż do kapitulacji Fryderyk przedzierał się wśród coraz gwałtowniejszego ostrzeliwania do radia, gdzie bardzo pięknie czytał wiersze Jurandota, które powstały tego samego dnia.

### *Warszawa druga*

Halo, tu mówi Warszawa druga  
Na fali 211!  
Halo, Londyn, Budapeszt, Paryż,  
Halo, Madryt, Rzym, Kopenhaga,  
Jak ziemia szeroka i długa,  
Uwaga:  
Tu mówi Warszawa druga!  
Tak dotychczas dźwięczące donośnie  
Śpią na skali polskie rozgłośnie,  
Zamilkł Poznań, Katowice i Kraków,  
Milczy Wilno i Łódź, i Lwów,  
Woła jeszcze mową Polaków,  
Wieje jeszcze sztandarem słów  
Ostatnia wyspa na falach potopu,  
Warszawa druga.  
Warszawa druga.  
Nie ta dawna, lekkomyślna, beztroska,  
Nie ta Warszawa kawiarniana ni wiechowska,  
Nie ta dawna, szukająca szczęścia  
W alkoholu, w piosence i tańcu,  
Może dużo, może mało warta,  
Ale druga:  
Ta o mocno zaciśniętych pięściach,  
Warszawa barykad i szańców,  
Zawzięta, twarda, uparta

I wyniosła jak chorągiew na maszcie.  
Halo!  
Tu mówi Warszawa druga  
Na fali 211!  
Ta Warszawa druga, ta nowa,  
Którą kiedyś tam, kiedyś tam potem  
Będą słać i opiewać w pieśniach,  
Urodziła się z pierwszym nalotem  
Pierwszego września.  
Urodziła się Warszawa nowa  
W ów poranek słońcem roześmiany,  
Gdy przez radio padły twarde słowa:  
AGRESJA NIEMIEC NA POLSKĘ  
STAŁA SIĘ FAKTEM DOKONANYM!

Kiedy teraz przeglądam ten cykl wierszy Jurandota, słyszę je wypowiedane głosem Járósyego. Trudno wyrazić, jak bardzo to było poruszające: takie wiersze mówione z tym akcentem, głosem, który dotychczas wiązał się z wesołością, przyjemnością, humorem, właśnie z tą Warszawą „dawną, lekkomyślną, beztroską”. Járósyego zaczepiano, pytano, o czym będzie następny wiersz. Jak zwykle, cała chwała spływała na wykonawcę, tym razem wyjątkowo ku wielkiej i szczerzej radości autora.

I jeszcze jedno pomyślałam sobie czytając te wiersze na świeżo przy pisaniu tych wspomnień: o ile lepiej wyrażają one klimat oblężonej Warszawy, niż mogłaby to zrobić moja pisanina, z konieczności powielająca każdemu znane opisy, dokumenty, pamiętniki. Zresztą, przecież moje wspomnienia poświęcone są Fryderykowi, a on tak bardzo te wiersze lubił i recytując je, odkrył swojej publiczności zupełnie nową stronę wspinałego talentu. Sądzę więc, że dobry miałam pomysł, aby tę część opowiadania wspomóc utworami pisanymi na gorąco w dniach września.

Jak w precyzyjnym scenariuszu, jednocześnie z wyjściem setek tysięcy osób na wschód, do Warszawy płynęły tysiące i tysiące uchodźców z ziem zachodnich. Oni nie mieli już nic. Bombardowane, wygłodniałe miasto musiało ich przyjąć.

Rozproszeni po ulicach, zmieszani z ostatnimi wychodzącymi i pierwszymi wracającymi z absurdałnej wędrówki podopiecznymi pułkownika Umiasłowskiego, szukający jakiegokolwiek dachu nad głową wśród świeżych i dogasających pożarów, stanowili nowy, tragiczny akcent krajobrazu upadku.

I znów w naszym bloku zatryumfowała dobra organizacja. Polegała ona po prostu na tym, że każdy wiedział, co ma robić.

- Jeśli dałem sobie radę, mając w teatrze jednocześnie koleżanki X i Y, to tutaj jest bułka z masłem - mówił komendant bloku.

Razem z kilkoma naszymi paniami zajmowałam się uchodźcami w naszym schronie. Staraliśmy się głównie upychać matki z dziećmi. Miałyśmy najwięcej dzieci ze wszystkich okolicznych domów. Mnie specjalnie przypadł do serca Andrzejek, o którym wspominałam przy okazji dygresji o pani Kazi. Kiedy

go zobaczyłam pierwszy raz płaczącego w ramionach wyjątkowo niezaradnej matki, zrozumiałam, na czym polega coup de foudre osoby, wybierającej dziecko do adopcji: to i tylko to, żadne inne.

W porządnej powieści Andrzejek powinien po tym wstępie zginąć w czasie nalotu, najlepiej na moich rękach. Nic z tego. Andrzejek w pierwszym akcie wisiał na ścianie, ale w trzecim nie wystrzelił. Mam nadzieję, że mając teraz czterdzieści kilka lat, jest sympatycznym, z lekka tysiącym panem.

W czasie alarmu w schronie robił się niesamowity tłok, bo schodzili lokatorzy. Zresztą, od razu można było odróżnić mieszkańców naszego domu. Nabraliśmy odruchu zajmowania się innymi, co niezmiernie sprzyja opanowaniu własnego strachu. Atmosfera panująca w domu nie pozwalała na wpadanie w panikę czy inne uzewnętrznianie stanu ducha. Tylko najmniej odporni siedzieli cały czas w schronie wystraszeni. Nasi goście natomiast zachowywali się okropnie, krzyczeli, pchali się, a co najgorsze, bez przerwy wpadali we wzajemne zatargi, narzekali, mieli do wszystkich pretensje. Nawet wzięwszy pod uwagę ich o tyle gorsze położenie, wszystko, co przeżyli i warunki bytowania, było tej kotłowniny za wiele. Sytuację pogarszało jeszcze nagromadzenie dzieci, co uważaliśmy za taki dobry pomysł. Bachory darły się i dokuczały, powodując dodatkowe konflikty między matkami.

Nie chcę uchybić waszej pocziwej akcji z tym pakowaniem do nas dzieci - mówił komendant bloku - ale szczerze mówiąc, wolałbym na przykład kaleki.

Żadne z nas ani razu nie zeszło do schronu w czasie alarmu. Nie z odwagi, ale wręcz przeciwnie, ze strachu. Járosy i Jurek i tak mieli najwięcej obowiązków właśnie podczas nalotów, a ja zaraziłam Zosię panicznym wprost lękiem przed zasypaniem. Dla kobiet też zawsze było coś do roboty, a spałyśmy doskonale w mieszkaniu. Jednak w ostatnich dniach przed „czarnym poniedziałkiem” 25 września nie było już można pozostawać nawet na pierwszym piętrze. Szyby wyleciały, a pewnego dnia od wstrząsu spadła z sufitu lampa. Nie miało sensu się upierać.

- Ale do schronu nie wejść - oświadczyłam.

Jurek wpadł na genialny pomysł.

- Winda!

Rzeczywiście, że też nikt dotąd tego nie wymyślił! Winda, od dawna nieczynna, stała na parterze, podłoga kryta grubym chodnikiem, sam komfort. W tym czasie ostrzeliwano, już bez nocnej przerwy, z dział stojących na przedpolach Warszawy. Wieczorem weszłyśmy z Zosią do windy, położyłyśmy się na miękkim chodniku i przespałyśmy całą noc w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa. Dopiero rano zauważyłyśmy, że dach windy jest szklany, a nad nim widać niebo. Zapomnieliśmy, że kiedyś urwało właśnie ten kawałek dachu.

Ale na razie do „czarnego poniedziałku” było jeszcze daleko. Ostrzeliwanie artyleryjskie dopiero się zaczynało. Jakże wzdychaliśmy do dobrych czasów, kiedy bomby leciały tylko z samolotów, tylko w dzień i w dodatku uroczyście zapowiadane przez radio. A na ulicach pojawił się najboleśniejszy ze wszystkich dotychczasowych widoków. Opisał go w radio Járosy wierszem Jurandota.

*Jadą żołnierze*

Nędzną chłopską podwodą, wąską i drabiniastą  
Jadą z frontów żołnierze poprzez walczące miasto.

Rozbitki dalekich bitew, brudni, brodaci, obdarci,  
Łachman munduru na grzbiecie, sierocy karabin w garści.

Pod okrwawionym bandażem, na twarzach białych jak płótno  
Apatią ponurą się znaczą Prusy, Pomorze i Kutno.

Przystają znużeni przechodnie z trwożną w sercu nadzieją,  
Patrzą długo, długo - i już zapytać nie śmieją.

Podają garść papierosów i idą za podwodami.  
Tak by się chciało coś wiedzieć, może powiedzą sami...

Milczą posępni żołnierze na drabiniastych wozach,  
W dalekich, dalekich spojrzeniach zastygła śmiertelna groza.

Kiedy w latach powojennych padło hasło odbudowania Zamku Królewskiego, należałam do przeciwników tej akcji. Jak wielu innych warszawiaków uważałam, że kiedy na miejsce w szpitalu chorzy czekają tygodniami, kiedy dzieci chodzą do szkoły na kilka zmian, odbudowa Zamku nie jest pierwszą potrzebą. Pewnego dnia szliśmy przez plac Zamkowy do Związku Literatów. Jurandot zatrzymał się przed ruinami Zamku.

- Pamiętasz, jak przybiegliśmy tu z Fryderykiem we wrześniu? Pamiętam. Staliśmy oboje przed bramą domu na 6 Sierpnia, obserwując nalot. Nadbiegł wzburzony Fryderyk: „Zamek się pali!”

Pobiegł dalej. Dołączyliśmy się. Drogę z placu Zbawiciela do placu Zamkowego przebyliśmy biegiem. Przechodnie pytali: „Co się stało?” „Zamek się pali!”

Niektórzy się przyłączyli. Zblazowani pożarami - jeśli wolno się tak wyrazić - warszawiacy biegli zdyszani: może pomożemy, może uda się coś uratować...

Zamek płonął. Nie byliśmy pierwszymi ochotnikami, ale tak jak tamci mogliśmy tylko bezradnie patrzeć.

- Gdyby wtedy ktoś spytał, czy po wojnie go odbudować... -mówił dalej Jurandot, kiedy to ponad dwadzieścia lat później staliśmy w tym samym miejscu.

To gmaszysko rzeczywiście budzi mocne uczucia - powiedziałam sucho, bo nie znoszę przyznawać racji.

Wspomnę jeszcze jeden pożar, który z zupełnie irracjonalnych względów tak bardzo zabolął warszawiaków. Szliśmy we czwórkę do „Ziemiańskiej”, gdzie byliśmy umówieni z paroma kolegami nie przesiadującymi w schronach i tak jak my choć chwilami usiłującymi tworzyć sobie normalne życie. Idąc Marszałkowską, już z daleka zobaczyliśmy łunę i zgromadzonych ludzi. To ówczesny



Dworzec Główny. Palił się tym razem obiekt bez żadnej wartości, a ludzie stali dokoła w ciszy, jak na pogrzebie kogoś bliskiego. Tu niech mnie znów wyręczy Jurandot, jedyny z naszej czwórki prawdziwy - od urodzenia do śmierci – warszawiak:

*Piosenka o wieżyczce z zegarem (fragmenty)*

Ponad brzydkim dworcowym budynkiem  
Była brzydka wieżyczka z zegarem,  
Ponad brzydkim dworcowym budynkiem  
Niebo szare tak jak miejski klinkier,  
Jak dni w mieście codziennym i szarym.  
A pod dworcem przedsionek przygody:  
Srebrne szyny, tory i perony,  
A pod dworcem przedsionek przygody  
I tęsknota porywała młodych  
W świat daleki i nieogarniony.  
A przy każdym powrocie z daleka  
Miasto nowym ożywało czarem,  
A przy każdym powrocie z daleka  
Już się z góry wiedziało, że czeka  
Ponad dworcem wieżyczka z zegarem.  
Ona pierwsza na progu witała,  
Co by w świecie się zdarzyło komu,  
Ona pierwsza na progu witała,  
Wciąż ta sama, w chaosie jak skała,  
Jak drogowskaz: że znów jest się w domu. (...)  
W czerni dymów żałobna Warszawa,  
Poszły skarby bezcenne z pożarem,  
W czerni dymów żałobna Warszawa,  
A mnie - wstyd się po prostu przyznawać -  
Żał tak bardzo wieżyczki z zegarem...

Gdyby mnie ktoś spytał, co z oblężenia najsilniej wryło mi się w pamięć, bez wahania odpowiedziałabym - - zapach. Swąd spalenizny nie opuszczał nas ani na chwilę, na ulicy ani w domu. Do dziś, kiedy coś się pali lub dogasa, ten zapach natychmiast przenosi mnie w tamte dni. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego staję i wdycham. Lubię ten odór. Fascynacja śmiercią? Niebezpieczeństwem? Wspomnienie oblężenia nie jest dla mnie jednoznacznie nienawistne. Może dlatego, że oblężenie mimo całego koszmaru to była jeszcze wolność. Bez gazu, bez elektryczności, a co najstraszniejsze, w ostatnim okresie bez wody. Głodni spragnieni, otoczeni ludzkim nieszczęściem, pod ustawicznym ostrzałem, ale jeszcze wolni. Kiedy 27 września nagle umilkły strzały, przerwało się bombardowanie i palenie zupełnie bezbronnej ludności, tego dnia pisał Jurandot:

*Kapitulacja (fragment)*

Nie... my nie po to... tak nie można...  
Warszawo, zbudź się!  
Warszawo, przemów.  
Łoskotem zenitówek, grzechotem cekaemów,  
Grzmotami salw armatnich...  
Warszawo, tyś przecież Warszawa,  
Zbudź się, wstań, zęby zatnij  
I walcz!  
Jeszcze my jesteśmy,  
A i my jeszcze nie ostatni...  
Nie masz prawa!  
Na jedno Starzyńskiego słowo  
Zamiast kilkuset przyszło tyle tysięcy -  
Jeszcze można parę miesięcy,  
A choćby tygodni parę...  
Zdobędziemy się na każdą ofiarę,  
Niech się tylko zacznie na nowo,  
Niech się tylko zacznie na nowo!  
Niech znów walą w miasto szrapnelami,  
Niech- się piekło rozpęta nad nami,  
Niech znów dach nam płonie nad głową,  
Niech sypie się gruz i szkło  
Byle nie to! Byle nie to!

Ale do kapitulacji zostało jeszcze sporo czasu, kiedy palił się kościół Zbawiciela. Nasz dom był naprzeciwko, przedzielony tylko narożnikiem Mokotowskiej. Później okazało się, że spaliła się jedna wieża, ta od Mokotowskiej, ale wtedy wyglądało na to, że spłonie cały kościół. Było to w nocy, ogień buchał wysoko w niebo, oświetlając cały plac, szumiąc i buzując. Ludzie tkwili przed swoimi domami, nie mogąc oderwać wzroku od ogromnego czerwonego słupa. Nagle rozległ się krzyk:

- Ludzie! Bóg się pali!

Kobieta wybiegła, rzuciła się krzyżem na jezdnię przed kościołem.

- Ludzie! Ludzie! wrzeszczała. Bóg się pali! Koniec świata! To za nasze grzechy!

Po chwili była już otoczona przez inne kobiety. Krzyczały, modliły się na głos, zapowiadało się na zbiorową histerię. Z płonącego kościoła odrywały się jakieś szczapy, kawałki ognia fruwały w powietrzu i opadały, zagrażając kobietom.

Járośy chwycił za ręce dwóch stojących obok mężczyzn.

- Ratujmy te wariatki!

Podbiegli do kobiet, krzyczących już chórem:

- Bóg się pali! Bóg się pali!

Nie można było ich odciągnąć; Wyrwały się, pchały, kopały. To nie Bóg się pali, tylko wieża kościoła!  
- - ryknął wreszcie Járosy. - Spieprzajcie, panie, do wszystkich diabłów, nie chcemy się spalić razem z wami!

Nie wiadomo, czy tak podziałało wezwanie diabła w tych okolicznościach, czy widok Járosyego, czarnego, z ogromnymi czarnymi oczami, który na tle płomieni sam wyglądał jak stu szatanów, czy jego świetnie postawiony głos, dość, że oszalałe baby ostępiały, zamilkły i dały się zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

Wszyscy rzuciliśmy się do Járosyego z wyrazami uznania, ale on stał ponury i nic nie odpowiadał.

- Czy coś się stało? Poparzył się pan? - - zaniepokoił się ktoś. - Bo pan taki nieswój.

- Nic mi się nie stało. Tylko zastanawiam się, co to za obłąd, ratować takie brzydkie kobiety.

Nigdy mi dosyć podkreślenia, że moje wspomnienia nie są kroniką ani żadnym innym dokumentem. Wydarzenia, które opisuję, są żywe we mnie, żywym człowieku. Mogę się mylić w jakiejś dacie czy w kolejności wypadków. Nie należy na tej książce uczyć dzieci historii.

Ponieważ już zaczęłam się usprawiedliwiać, odpowiem na wątpliwość, która nasunęła się jednemu z moich prywatnych lektorów, czytających po kawałku w miarę mojego pisanie.

- Przytaczasz rozmowy, różne ciekawe powiedzenia Járosyego, chyba część zmyślasz. Nie można pamiętać takich szczegółów przez czterdzieści pięć lat.

- Nie zmyślam, najwyżej porządkuję. A w zapamiętaniu pomogły mi dwie okoliczności. Pierwsza - - że większą część wojny przemieszkaliśmy razem i przegadaliśmy całą noc. Uciekając od rzeczywistości, wspominaliśmy wiele razy nasze poprzednie życie. A takie wałkowanie doskonale utrwała. Stąd zapamiętałam lata przedwojenne.

Druga okoliczność była smutna. 26 marca 1973 roku Jurandot bardzo ciężko zachorował i po pobycie w szpitalu wrócił do domu ze świadomością, że już z niego nie wyjdzie.

Kiedy go przywiozłam sparaliżowanego, w ciężkim stanie, powiedział ze zwykłą swoją dzielnością i poczuciem humoru:

- Nareszcie posiedzimy w domu i będzie można pogadać. Istotnie, posiedzieliśmy w domu. Sześć i pół roku.

Tak samo, jak przez całe wspólne czterdzieści trzy lata, nigdy nie zabrakło nam tematu. I znów ucieczka od rzeczywistości, dla nas równie strasznej jak wojenna. Tym razem jednak wspominaliśmy głównie czas wojny. Była to nasza wspólna pasja. Przypominaliśmy sobie nawzajem różne przeżycia, mówiliśmy skrótami, bawiliśmy się w najdramatyczniejszych miejscach.

- Gdyby ktoś nas usłyszał, to pomyślałby, że jesteśmy nienormalni powiedział Jurek, kiedy uśmieliśmy się serdecznie, wspominając pewnego znajomego, który nie chciał pić bimbrowi przy jakiejś okazji, bo:

„To trucizna, sami skracacie sobie życie!” Wracając trzeźwy do domu, wpadł w łapankę, po czym zginął w Oświęcimiu.

Na skutek wspólnego naszego, trwającego sześć i pół roku nieszczęścia miałam okazję odświeżyć wiele wspomnień. Jurandot miał fenomenalną pamięć, która nie zawodziła go nawet w tak tragicznej sytuacji.

Staram się opanować pokusę opisywania dzień po dniu przebiegu oblężenia, chociaż z trudem mi to przychodzi.

W drugiej połowie września warunki życia stawały się coraz trudniejsze, ale my byliśmy bardziej zahartowani czy raczej po prostu przyzwyczailiśmy się.

Potrafiłam już od biedy zrobić opatrunek, pomimo to w „moim” szpitalu, gdzie przyprowadzałam lekko rannych z ulicy, nie przestawano nazywać mnie „ta z walerianą”. Járosy i Jurandot wymyślali wciąż anegdoty na mój temat i już nie byłam „szarpio afrikanske”, tylko „szarpio samaritanske”. Kiedy wracałam do domu, witały mnie pytania:

- Ilu upolowałeś?

- Dobry miałaś dzień?

- Ty wierzysz, że ona chce komuś pomóc? - pytał Fryderyk Jurandota. - A skąd! Ona to zwyczajnie lubi. To mała sadistka.

Cały dom zaśmiewał się z opowieści Járosyego, jak to ja nie pozwoliłam zabrać na nosze chłopca z urwanymi nogami, dopóki mu nie dam kropelek. Tymczasem był to rozkapryszony smarkacz, którego odłamek skaleczył w łydkę, a wrzeszczał jak dziesięciu umierających. Dałam mu w łeb i wlałam na siłę stołową łyżkę waleriany. Taka była prawda, ale nikt mnie nie chciał słuchać.

Trudno mi rozstać się z Wrześniem.

Była to szkółka osvajania się z brakiem wszystkiego, co dotąd wydawało nam się niezbędne. Uczyliśmy się odganiać myśli o kłęsce, o tym, co dalej. To było przedszkole, a czekały nas uniwersytety.

## Sikiewicz z masłem

W środę 27 września, dwa dni po strasliwym „czarnym poniedziałku” szliśmy z Jurandotem po Marszałkowskiej. Bazyli Sikiewicz, twórca i dyrektor rosyjskiego teatru w Warszawie, dał znać Járosyemu, że ma dla nas ćwiartkę masła. Blisko było z placu Zbawiciela na Szucha 4, gdzie mieszkał Sikiewicz. Po „czarnym poniedziałku” i, nieco lepszym wtorku panowała dziwna cisza. Na ulicy przekazywano sobie najbardziej fantastyczne wieści, a wszystkie optymistyczne: Anglia i Francja zaatakowały zachodnie granice Rzeszy, Ameryka przystąpiła do wojny. Hitler zginął w zamachu. Na Szucha przyszliśmy rozpromienieni.

Sikiewicz otworzył nam drzwi z masłem w ręku i powiedział:

- Kapitulacja. Koniec.

Był to wyjątkowo piękny mężczyzna około pięćdziesiątki. Widzę go: stoi w progu w granatowym jedwabnym szlafroku, podaje nam to masło i mówi:

- Kapitulacja. Koniec.

Szliśmy z powrotem z masłem. Na Marszałkowskiej coraz większy ruch. Na ulicę wyszli gremialnie nawet schronowicze.

Bardzo wysoko krążyły spokojnie jakieś samoloty, znaków nie można było rozpoznać, ale wyglądały tak przyjaźnie...

To nasze! - zawołał ktoś i wszyscy powtarzali: - - To nasze!

Pierwszy raz w tej wojnie to nie my byliśmy bezdennie głupimi optymistami. My wiedzieliśmy. Nam powiedział Bazyli Sikiewicz z masłem w ręku: „Kapitulacja. Koniec”.

Wbiegliśmy na pierwsze piętro do mieszkania, które tak gościnnie przyjęło nas w pierwszych dniach września. Położyłam masło na stole, a Járosy powiedział:

-- To kapitulacja. - Skąd wiesz? - spytał Jurek.

Tu mam sejsmograf - wskazał okolice trzeciego od góry guzika koszuli.

Jednak do najdramatyczniejszego alarmu Fryderykowego sejsmografu na dzień przed 17 marca 1944 roku jeszcze dużo czasu: trzy i pół roku.

A tymczasem - kapitulacja. Koniec.

Wybaczcie. Zatkaną się. Istnieje prawo Grodzieńskiej-Jurandota, które brzmi: „Jeśli się zatkałeś, to powodu szukaj od początku utworu”.

Piszesz, piszesz i nagle - bums! Patrzyć w kartkę i beznadzieja. Bywa, myślisz sobie. A to pogoda nie taka, a to głowa boli, a to u sąsiada wrzeszczy telewizor. Jutro będzie lepiej. Nazajutrz siadasz do pracy jak zawsze. Brrr! Widok kartki wywołuje mdłości. Zamiast pchać się do przodu bez sensu, należy zastosować prawo G-J.

Zrobiłam tak i tym razem. I co powiecie? Znalazłam. Wręcz nieprawdopodobne w swej banalności wspomnienie dnia kapitulacji.

Oczywiście, wyrwałam z brulionu dwie ostatnie kartki, podarłam i wrzuciłam do kosza, po czym z uczuciem ulgi spróbowałam pisać na nowo.

Zaraz... Ten Sikiewicz z masłem może zostać. O Sikiewiczzu z masłem nikt jeszcze w związku z kapitulacją Warszawy nie pisał.

Po dwugodzinnych zmaganiach wyjęłam kartki z kosza, poskładałam i przepisałam. Trudno.

Znalazłam jednak głębszą przyczynę nagłej niechęci do kontynuowania wspomnień. Oto przyszedł czas pożegnania z pojęciem „Fryderyk Járosy”. Niedługo powitamy siwiejącego starszego pana o lasce, przystrzyżonego na krótkiego jeża (moje dzieło!), z małym, niemodnym, siwawym wąsikiem. Nazywa się Franciszek Nowaczek i mówi cudzoziemskim akcentem. Nic dziwnego, skoro z pochodzenia jest Czechem. Z postury i zachowania wygląda na emerytowanego oficera, na oko jest starszy o ponad dziesięć lat od rozstrzelanego przez gestapo Járosyego.

Już nigdy nie miałam zobaczyć wytwornego, pięknego bruneta o wspaniałych, gładkich, błyszczących włosach uczesanych z przedziałkiem z lewej strony. Najbardziej fascynujące były w jego twarzy ogromne, czarne oczy. Franciszek Nowaczek natomiast z za staroświeckich okularków w drucianej oprawie patrzył przymrużonymi, nieciekawymi oczkami. No dobrze, powiecie, włosy można ostrzyć i posiwieć, sylwetkę zmienić, ale oczy? Ktoś, kto miałby podejrzenia, zaniechałby ich właśnie dzięki oczom. Namordowałam się bardzo, odbarwiając mu brwi i rzęsy. Trzęsłam się z tremy, smarując je. Franciszek jednak dodawał mi otuchy:

- Śmiało, szarpio! Jeżeli oślepnę, to będzie wspaniale! Ociemniały starzec z białą laską, no, czy może być coś lepszego?

Ostatni raz widziałam Fryderyka Járosyego we własnej postaci pewnego wiosennego dnia 1940 roku, kiedy przysłała do nas Stefcia Górka, aby nas zaprosić do swoich rodziców na Marszałkowską 42. Nic nie przeczuwając, wybraliśmy się tam po południu, na drugim piętrze zadzwoniliśmy do drzwi i otworzyła nam pani Górka (Stefcia miała występ w kawiarni). Fryderyk, w naszej obecności zabrany ze swego mieszkania przez gestapo dnia 24 października 1939, czyli pół roku temu, czekał na nas w pokoju. Staliśmy naprzeciwko siebie, ja z Jurkiem pod drzwiami, a Fryderyk obok brązowej szafy - i patrzyliśmy. Nie wiem, jak długo tak staliśmy i być może stalibyśmy tak do dzisiaj, gdyby Járosy się nie odezwał:

- A ty, szarpio, dalej jesteś taka kretinka?

Po dwugodzinnej naradzie urodziliśmy Franciszka Nowaczka.

Wyprzedziłam czas o ponad pół roku, żeby wytłumaczyć, dlaczego tak trudno mi rozstać się z Gustawem, aby mógł się narodzić Konrad.

Niejednokrotnie będę wracała do prawdziwego Járosyego, a będzie po temu dużo okazji. Ale to już będzie baba w babie, bo razem z „Franusiem” (tak go potem wszyscy nazywaliśmy) wspominać się będzie Fryderyka. Wiadomo, w czasie okupacji pogawędki dotyczyły głównie czasów przedwojennych, a przegawędziliśmy setki godzin, bo bardzo długo mieszkaliśmy razem.

Ten wypad w przyszłość chciałabym udokumentować. Otóż Kazimierz Koźniewski, ostatni kurier przysłany z Londynu do Warszawy, stale przebywał w domu przy Filtrowej 68, gdzie o piętro wyżej, nad Franciszkiem Nowaczkim, mieszkała ówczesna jego narzeczona (obecnie żona) Lusja Winiarska z matką. W książce „Zamknięte koła” Koźniewski wspomina:

„Járosy ukrywał się naprawdę. W Warszawie ukrywano się rozmaicie. (...) Znakomita warszawska anegdotka zanotowała głośną rozmowę dwóch znajomych w tramwaju: »Co robisz?« - poprzez głowy pasażerów pyta jeden. »Ukrywam sie!« - krzyczy drugi z odległego końca wozu. (...) Środki bezpieczeństwa osobistego były honorowane nader lekkomyślnie. Niektórzy jednak - wśród nich Járosy - ukrywali się bardzo starannie. Járosy zapuścił wąsy, nosił okulary, zmienił sposób czesania się i ubierania. (...) Czeskim nazwiskiem przezornie usprawiedliwiał odrębność swej polskiej wymowy. Nie była to zabawa - faktycznie poszukiwało go gestapo. Franczek - jak go nazywaliśmy - aresztowany był nazajutrz po wejściu Niemców do Warszawy. (...) Ukrywając się, cały czas pracował w konspiracyjnej propagandzie BIP-u i jeżeli słowo patriota nie jest wytartym liczmanem, to ten węgierski Żyd był prawdziwym polskim patriotą”.

Tak było. Tyle że, wbrew utrwalonej dziś legendzie, wcale nie był Żydem. Co prawda, w najczarniejszym okresie wymordowywania getta powtarzał, że teraz wstyd nie być Żydem.

I oto zamiast pożegnania Fryderyka, urządziłam powitanie Franciszka... Tak to bywa, kiedy materiał panuje nad autorem, zamiast odwrotnie. Wróćmy więc do Fryderyka.

Uosobienie elegancji i wytworności, a jednocześnie swobody. Poważnej mądrości, a jednocześnie prawdziwie wesołego dowcipu. Nie miał regularnych rysów, ale ta nieregularność stanowiła część jego uroku. Kochano go w Polsce, a w paniach powszechnie budził nie całkiem platoniczne uczucia. Wtedy to się nazywało sex appeal, teraz modna jest charyzma. Bo jak nazwać ten dar współczesnym słowem? „Seksowny” to wręcz odwrotne pojęcie. Mieści się w tym eksponowanie siebie, pewna nachalność, jakaś podejrzana aktywność. W żadnym razie to określenie nie pasuje do Járosyego. Na scenie zachowywał się niemal ascetycznie, żadnego kokietowania, wydawało się, że nie robi nic, aby się podobać. Nie musiał. Wyptywało to z samej jego obecności. I oto kiedyś Hemar wymyślił sobie taką zabawę, że napisał specjalnie dla Fryderyka piosenkę na melodię pięknego tanga. Tekst daleko odbiegał od zainteresowań scenicznych Járosyego. Hemar podobno (tak mi opowiadano, było to jeszcze zanim ja nastąpiłam w teatrze) zaszantażował go twierdząc, że z takim tekstem nikt nie potrafi uniknąć kiczu. Tylko tego było trzeba Járosyemu: sugerować, że on czegoś nie potrafi?

Oto refren:

To musi być cudowna rzecz  
Być z tobą tak we dwoje  
Przechylić głowę swoją wstecz  
I całować usta twoje...  
Ustami ciało tve poznać  
I w oczach mgłę zobaczyć  
I poprzez krzyk twej rozkoszy usłyszeć  
Ze kochasz mnie!

Sądzę, że nawet dobry wykonawca nie odmówiłby sobie łóżkowego żaru, czyli tak zwanej przysapki. Járosy całą piosenkę śpiewał tak, jakby na jakimś przyjęciu czy balu, wśród tłumu ludzi mówił te bezczelne słowa do przed chwilą poznanej kobiety tonem obojętnej, towarzyskiej rozmowy, tak że nawet blisko stojący mąż nie mógłby być zaniepokojony. To dopiero był numer, ludzie! Dziewczyny, żałujcie, że was wtedy jeszcze nie było na świecie. Ja to widziałam „z publiczności”. Podczas całej piosenki panowała nieprzyzwoita cisza. Kiedy po zakończeniu zrywały się brawa, zatrzymywał je natychmiast ruchem dłoni, oczekiwał chwilę, jakby chciał jeszcze coś dodać do piosenki, tym samym tonem mówił „Kazimierz Krukowski” - - i schodził. Dla osób niezawodowych wyjaśnię, że podwójny efekt - niespodzianki i autoparodii - wywoływał długotrwały śmiech i wzmacniał jeszcze brawa.

Ale to są bardzo stare dzieje.



W ostatnim okresie przed wojną Járosy sam czuł, że powinien odświeżyć formę konferansjerki. Miał pomysł, do którego szukał wykonawczynie. Potrzebna była młoda dziewczyna z vis comica, a przede wszystkim z darem kontaktu z publicznością i partnerem. Mając w zespole Jadzię Andrzejewską, upewnił się, że nic lepszego nie może znaleźć.



W latach powojennych, już jako Jadwiga Andrzejewska, najpierw występowała z ogromnym powodzeniem w naszej „Syrenie” łódzkiej, a następnie warszawskiej. Po powrocie do Łodzi aż do końca była aktorką teatrów dramatycznych, zarówno wielką tragiczką, jak świetnym komikiem. W opisywanym przeze mnie czasie, po niesłychanym sukcesie w teatrze Adwentowicza, kiedy mając lat 18 zatrzęsła teatralną Warszawą w „Dziewczętach w mundurkach”, występowała w „Cyruliku” i w kabarecie „13 rzędów”. W tym samym okresie była znakomitą Maliczewską w „Ateneum” u Jaracza i grała główną rolę w Teatrze Narodowym. Jadzia należała do aktorów, którzy rodzą się z wszystkimi umiejętnościami, z techniką, gestem i z gotową indywidualnością. Urodziła się w teatrze i zadebiutowała jako wnoszony na scenę niemowlak. Zabrała ją z teatru dopiero śmierć.

Przy wybitnej inteligencji i lotności, była mało odczytana. Będąc pyszną aktorką szekspirowską i fredrowską, niewiele mogłaby o tych pisarzach powiedzieć. Na cztery lata studiów nie miała czasu, nie mówiąc już o braku matury. I niby czego ją uczyć? - pytali jej teatralni przywódcy: Adwentowicz, Jaracz, Járosy. Po pierwsze - była gotowa, a po drugie - nigdy by do szkoły aktorskiej nie zdała z jakiegokolwiek teorii. Kilka razy przystępowała do egzaminu eksternistycznego i zawsze oblewała, otrzymując prawo angażowania się na rok, do następnej beznadziejnej próby. Ogromnie to bawiło jej wielkich partnerów scenicznych (m. in. Junoszę-Stępowskiego) i dyrektorów teatrów, którzy ją sobie wyrwali.

Teraz miała zostać partnerką Járosyego, który ją uwielbiał, jak wszyscy zresztą.

Wspomniałam już, że mieszkaliśmy wtedy w tym samym domu, na Poznańskiej 12. Jadzia bardzo lubiła popijać i wiadomo było, że kiedy zapraszała do siebie, abstynenci nie będą tam mieli nic do roboty. Zresztą zapraszając, pytała: „Pijesz?” Kiedy kandydat odpowiadał, że raczej nie, mówiła uczciwie: „To lepiej nie przychodź, będziesz nas nudził”.

Jadzia pochodziła z prostego środowiska, ale miała taką wrodzoną kulturę, że nawet w jej pijaństwach nie było nic wulgarne i przepite u niej noce zostawały we wdzięcznej pamięci uczestników, a jedyny przykry zgrzyt to poranne kace.

Nie była piękną, ale w jej wdzięku kochali się wszyscy. W oczach i sercach panów (nasi znajomi nie byli nigdy żadnymi „chłopcami”, byli panami, no, najwyżej chłopami) Jadzia tłukła uznane ślicznoty, a dziewczyny (bo my bywałyśmy dziewczynami, jak najbardziej) przepadały za jej bezpośredniością i serdecznością. „Ona nic z siebie nie robi” - mówiłyśmy, kiedy nasza rówieśnica była sławną gwiazdą filmową i teatralną, a my bezimiennymi giralasami. Jadzia w ogóle nie zauważała tej różnicy. Powodzenie, sława, sukcesy istniały jakby obok niej. Za wieczór wśród przyjaciół, przy kielichu, bez mrugnięcia zrzekała się najbardziej intratnej chałtury. Jednocześnie potrafiła przyjmować występy w lokalach wbrew ostrzeżeniom kolegów, że jej już nie wypada. Dziwiła się: „O co chodzi?” i w ogóle nie zastanawiała się nigdy nad swoją karierą. Taka została do końca życia.

Járosy postanowił zrealizować swój dawny pomysł, bo nareszcie znalazł dziewczynę, jaką sobie do tej roli wymarzył.

Otóż mniej więcej w połowie pierwszej części programu, w czasie jego konferansjerki włączyła mu na proscenium pensjonarka - wypłosz w szkolnym mundurku, z kucykami (wyglądała w tym na dwanaście lat) - i przeszkadzała, zadając głupie pytania i nie dając się nakłonić do opuszczenia sceny. Była niesamowicie urocza i śmieszna. Już drugie jej wejście witano oklaskami. Wreszcie bezradny

Járosy schodził z proscenium, a Jadzia śpiewała piosenkę specjalnie do tej roli napisaną przez Jurandota. Oto fragmenty:

Ach, tyle jest zwierzątek,  
Lwy, kaczki i te de.  
Poznajmy ich zwyczaje  
I pokochajmy je!  
Kochajmy zwierzęta, kochajmy zwierzęta,  
A one będą kochały nas.  
Żubr będąc pod ochroną,  
Z państwowych żyje dóbr.  
Niejeden też tak robi,  
Pomimo że nie żubr.  
Kochajmy zwierzęta itd.  
A orzeł, jak wiadomo,  
Królewski jest to ptak,  
Wśród urzędników Sztuki  
Na ogół orłów brak.  
Kochajmy zwierzęta itd.  
Struś nie odczuwa strachu,  
Bo chowa głowę w piach.  
A jeśli nie ma piachu,  
To struś odczuwa strach.  
Kochajmy zwierzęta itd.

Kiedy wydarzyła się jakaś sensacja, to Jurandot natychmiast dopisywał aktualną zwrotkę i Jadzia śpiewała ją tego samego dnia.

Miała zaledwie dwa czy trzy wejścia, ale wystarczyło, żeby stały się ulubionym punktem programu. Przyczynił się do tego Járosy, który znakomicie podbudował rolę Jadzi. Niestety, ku ogólnemu, szczeremu żalowi był to jej ostatni program w „Cyruliku”. Poszła tam, gdzie powinna: do teatru dramatycznego. Odejście jej odczuła nie tylko publiczność i dyrekcja. I dla nas, w niełatwych „Cyrulikowych” warunkach zakulisowych, była to strata.

W naszym teatrze nie rozpieszczano aktorów garderobami. Właściwie były tylko trzy: damska, męska i baletowa, wszystkie w piwnicy bez okien. Járosy jednak dobrze wiedział, co go czeka, jeśli czegoś nie wykombinuje. I wykombinował. Kazał ze wspólnej damskiej garderoby wydzielić dwie kliteczki z dykty i mianował je garderobami Ordonówny i Żelichowskiej. Cała reszta siedziała jedna na drugiej w zupełnej ciasnocie. Dla piplaj był to chleb powszedni, ale razem z nami tłoczyły się Zosia Terné i Jadzia, nasze wielkie gwiazdy. Siedziała też z nami Stefcia Górską, Hela Grossówna, przeurocza koleżanka i jedna z czołowych aktorek filmowych, i inne liczące się panie. Wszystkie przyjmowały to wspaniale, były koleżeńskie i równe, a trzeba pamiętać, że w tych warunkach spędzałyśmy codziennie po sześć godzin, bez żadnych dni wolnych.

- Z wami weselej - odpowiadały na nasze nieco lizusowskie ubolewania.

Nie odmawiały sobie jednak głośnych uwag w rodzaju: - Musieliby mi nieźle dopłacić, żebym się zgodziła siedzieć w klatce jak małpa w zoo.

Było to doskonale słyszalne w „osobnych garderobach”, ograniczonych dyktą na wysokość człowieka. Na szczęście, zarówno Ordonówna, jak Żelichowska miały poczucie humoru. Odpowiadały:

- W zoo małpy siedzą w zbiorowych klatkach.

Trudno opisać, czym była obecność Jadzi w naszej garderobie, toteż wiadomość o jej odejściu bardzo nas wszystkie zmartwiła. Byłabym jednak nędzną hipokrytką, gdybym się nie przyznała, że zaszła okoliczność, która mnie zupełnie pocieszyła.

Wspomniałam już, że od zaangażowania jako tancerki solistki Járosy próbował przestawić mnie również na aktorstwo. Dawał mi małe rótki w skeczach i do śpiewania zwrotki w finałach. Nie wiem dlaczego, ale ogromnie go śmieszyłam. Dodam, że na razie mimo woli. Zaczęło się właśnie od Jadzi. Potrafiła ona na zawołanie, bez dania racji płakać prawdziwymi łzami. Kiedy Járosy miał kłopoty i chciał się rozbawić, wołał Jadzię i mówił: „Płacz!” Jadzia z miejsca wybuchła gorzkim płaczem, a Járosy nie posiadał się z radości. Kiedyś byłam świadkiem takiej właśnie sceny za kulisami.

- Ja też to potrafię - odezwałam się.

- No, to płacz.

- Ale ja muszę mieć powód. Spojrzał na mnie drwiąco.

- Kretinka! Jak jest powód, to żadna sztuka. Każdy płacze.

- Niech dyrektor mnie obrazi.

- Dobrze. Jesteś głupia.

Z oczu popłynęły mi natychmiast potoki łez. W przeciwieństwie do Jadzi, która łkała na głos, ja reprezentowałam cichą rozpacz.

- Teraz obie razem - rozkazał szef.

Zaczęłyśmy płakać razem, obejmując się i pocieszając wzajemnie.

- To bardzo dobre. Zapraszam was z tym numerem na mój pogrzeb.

- Dyrektor nigdy nie umrze! Dyrektor nam tego nie zrobi! Dyrektor nas nie zostawi sierotami! -: wrzeszczałyśmy, zalewając się łzami.

Jadzia pierwsza, a ja za nią rzuciłyśmy się na kolana i objąwszy nogi Járosyego, płakałyśmy jak zarzynane, ciesząc się z powodzenia u zebranych dokoła kolegów.

Właśnie wtedy zdecydowała się moja nowa droga zawodowa, jak się później dowiedziałam od Járosyego. Twierdził, że przy okazji wygłupów zauważył we mnie tę bezwstydną, bez której nie uznawał aktorstwa.

I kiedy Jadzia zgłosiła przejście do innego teatru, Járosy kazał mi w przerwie przyjść do swego gabinetu. Weszłam. Siedział za biurkiem z oficjalną miną.

- Pani Grodzieńska, jestem zmuszony pomówić z panią poważnie.

Cały ten sztafaż nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak owa „pani Grodzieńska”.

- Co ja zrobiłam?! -jęknęłam. - Proszę nie mówić mi „pani Grodzieńska”, niech mnie lepiej dyrektor zabije!

- I to przyjdzie w swoim czasie. A na razie dostaniesz rolę w konferansjerce.

Wydałam dziki okrzyk i rzuciłam się Járosyemu na szyję. Tylko bez erotycznych ekscesów - - powiedział, brutalnie mnie odpychając. - Jestem porządnym mężczyzną i jeśli pani ma zamiar mnie napastować, będę wołał o pomoc.

Właściwy udział w konferansjerce przewidziany był od nowego sezonu 1939/40. Na razie dał mi na próbę jedno wejście. Miałam grać młode nauczycielkę francuskiego: uciekła mi wychowanka, a podejrzewałam, że do teatru. Umiałam wtedy dobrze mówić po francusku, bo moja matka stale mieszkała w Paryżu - i na tym oparty był pomysł Járosyego.

Przebiegałam środkiem widowni, wdrapywałam się na scenę i wygrażając, a nawet trącając go parasolką, krzyczałam, akcentując ostatnie sylaby:

- Gdzie jest Żadziu (Jadzia), ti chował Żadziu! Ti sposzeniec (zbocheniec), ti zgwałtował dziewsinka!

Járosy usiłował uspokoić nauczycielkę i dialog, w którym oboje kaleczyliśmy polszczyznę - on z węgierska, a ja z francuska - brzmiał naprawdę śmiesznie.

- Ja miała iść z Żadziu do theatre, tam monsieur Żaracz (Jaracz) gra dobra pies od Molière (piece - sztuka), się zwie „Świntuszek”.

Jaracz grał wtedy w Ateneum „Świętoszka”.

Objaśnienia w nawiasach są oczywiście dla czytelników, bo w wymowie były zrozumiałe.

Istniał zwyczaj robienia kawałów na ostatnim przedstawieniu. Nasza publiczność zjawiała się wówczas tłumnie, specjalnie dla niespodzianek. Odważyłam się i ja, pokusa była zbyt wielka. Umiałam dobrze naśladować jedyny w swoim rodzaju akcent Járosyego. Na ostatnim przedstawieniu zamiast z francuska, całą rolę odegrałam „Járosym”.

Od razu pierwszą kwestię, ja francuska nauszelka” zmieniałam na „ja węgierska nauczycielka”. Publiczność zorientowała się i ryczała ze śmiechu, ale największym moim sukcesem było absolutne ugotowanie się Járosyego. Usiłował grać dalej, ale jego odezwanie się po moim naśladownictwie spotęgowało jeszcze komizm, więc zrezygnował i śmiał się na głos razem z publicznością. Był to sezon 1938/1939.

Niegdyś modny był śmieszny taniec „Kongur-trott”. Polegał na tym, że robiło się duży krok naprzód i dwa małe skoki do tyłu, potem dwa małe skoki do przodu i duży krok do tyłu. Właśnie tak jest z moim pisaniem. Chronologicznie dobrnęliśmy do dnia kapitulacji 28 września 1939. Potem skoczyłam do

przodu i przedstawiłam Franciszka Nowaczka. Następnie skoczyłam do tyłu i wspomniałam ostatnie programy „Cyrulika”.

Uczono mnie w szkole, żeby nie zaczynać od „więc”. Więc bez „więc”. Wróciliśmy z tym masłem od Sikiewicza. Usiedliśmy przy stole w mieszkaniu uprzątniętym przez Zosię z gruzu i czekaliśmy na jakieś choćby maciupeńkie bombardowanko, na tyciuteńki ostrzałik. Że może z kapitulacją to nieprawda. Ach, jak bardzo nie chciało się w to wierzyć... Że wszystko na nic? Że „kapitulacja, koniec”, jak powiedział Sikiewicz z masłem? Byliśmy jednak tylko ludźmi i musieliśmy odczuć ulgę, że nie strzelają. Rozmawialiśmy leniwie i wciąż rzucaliśmy spojrzenia w niebo. Chcieliśmy? Nie chcieliśmy? Nikt z nas nie potrafiłby uczciwie odpowiedzieć. Nie mieliśmy złudzeń co do hitlerowców. A jednak dobre, co tu dużo gadać, bardzo dobre było poczucie chociaż chwilowego bezpieczeństwa po miesiącu obcowania ze śmiercią.

Napięcie minionych tygodni chroniło nas dotychczas przed myśleniem. Teraz trzeba się zastanowić, co dalej. Jak mamy żyć i za co? Zerwałam się pierwsza.

- No i co tak siedzimy? Trzeba pobiec do rodziców, trzeba zdobyć jakieś żarcie; trzeba zajrzeć do schronu, co tam się dzieje, musimy zobaczyć, czy nam wszystkiego nie wynieśli z Poznańskiej...

- Szarpio, nie bądź megalomanką. Najwyżej wynieśli stare krzesło i walizkę do siedzenia.

Fryderyk wracał do formy. Przynajmniej zewnątrz. Ale ja nie mogłam się uspokoić. Co zrobić z babcią, która wracając z wczasów zahaczyła o Warszawę, ale do siebie do Łodzi nie mogła już dojechać? Przez całe oblężenie była u przyjaciół, ale co dalej? Czy zgodzi się zamieszkać w naszej kawalerce bez szyb, z wyrwanymi futrynami, na piątym piętrze, teraz bez windy? Babcia mnie wychowała, a w ostatnich latach zajmowałam się nią i pomagałam z moich chudych gaź. Od dwóch lat Jurek przyłączył się i mogliśmy o nią zadbać dość przyzwoicie. Była całkowicie sprawna, ale nic nie miała. A rodzice Jurka? Siostra? Ile obowiązków... Podczas oblężenia raz dziennie któreś z nas biegło pod ostrzałem ha obchód, jak to nazywaliśmy. To wystarczyło. Ale teraz?

- Przestań się kotłować - odezwał się Fryderyk. - Dopóki jest z wami stary Járosy, jakoś będzie.

- Macie własne zmartwienia - powiedział Jurek. Járosy skoczył od stołu.

- Jasne, mamy własne zmartwienia, to Jurandotów won, co oni nas obchodzą! Mamy własne zmartwienia, to waszymi możecie się wypchać. I żeby to ta kretinka powiedziała, dobrze, od tego jest kretinką. Ale ty? Normalny człowiek?

Fryderyk darł się na cały dom. Było mu to potrzebne.

On sam miał mniej doraźnych kłopotów: cała jego rodzina przebywała za granicą, a Zosi - na terenach wschodnich, więc podjął się pomóc nam w tym, co najpilniejsze. Przede wszystkim poszedł do mojej babci i to był wspaniały pomysł. Babcia nie miała łatwego charakteru, a ja jej zawsze działałam na nerwy, natomiast przy Járosym stopniała jak wszyscy. Przy tym wizyta jego była obfitą rekompensatą dla naszych przyjaciół za zajmowanie się babcią przez cały wrzesień, na co dotąd wciąż przed nami narzekali. Potem przez całe lata chwalili się wizytą samego Járosyego: co i jak opowiadał. Nie wątpię, że czarował jak mógł, ale gdyby rzeczywiście opowiedział to wszystko, co narosło we wspomnieniach

państwa E., musiałyby tam przesiedzieć rok. Tymczasem, kiedy wróciliśmy od teściów, był już w domu, bardzo zadowolony.

- Możecie się nie martwić, -państwo E. z przyjemnością przetrzymają babcię u siebie, aż się sytuacja ustabilizuje, a w razie potrzeby zajmą się jej przewiezieniem do Łodzi.

Babcia nie chciała zostać z nami. Marzyła tylko o powrocie do sublokatorskiego pokoiku na Piotrkowskiej i do swoich starych znajomych. Tam była u siebie.

- Jak to załatwiłeś? - spytał Jurek z podziwem.

- Jak załatwiłem? Zgodziłem się wypić z nimi wyciągnięty spod podłogi koniak.

No i?

- No i nie był najlepszy. Francuski, ale drugorzędny. A prawda, jak załatwiłem. Wszystko w porządku. Całowałem panią E. w rękę, a pana E. w twarz. Wątpię, czy oni w ogóle zgodzą się kiedykolwiek wypuścić babcię.

Rzeczywiście, od wizyty Fryderyka państwo E. stali się dla babci wprost serdeczni i dotrzykali słowa: po wznowieniu komunikacji z Łodzią załatwili jej przejazd do domu, co nie było łatwe, bo Łódź należała do Reichu.

Wtedy przy odjeździe widziałam babcię po raz ostatni. Umarła we śnie na serce dokładnie w dniu wkroczenia Hitlera do Belgii i Holandii, 10 maja 1940 roku.

Drugiego dnia po kapitulacji Zosia została, żeby doprowadzić mieszkanie do stanu używalności, a Fryderyk poszedł zorientować się w możliwościach.

- Cholerny świat - wzdychał, wychodząc - wszyscy moi milionerzy na pewno puciekali. Jak ich potrzeba, to ich nie ma.

A jednak po kilku godzinach wrócił z pieniędzmi. Nie było tego wiele, ale w naszym położeniu oznaczały ratunek.

- Ze starym Járósym tak prędko się nie ginie - - powiedział, rzucając niedbale na stół cały łup.

My tymczasem odwiedziliśmy naszą kawalerkę. Była w rozpaczliwym stanie, ale była. Pracowaliśmy ciężko, żeby móc się sprowadzić. Najgorsze było latanie bez przerwy z kubłami gruzu z piątego piętra. Sąsiad usłyszał, że jesteśmy, wbiegł, przyniósł swoje kubły i pomagając sprzątać, opowiadał nowiny o innych mieszkańcach. Pani z III piętra - taka ruda - zginęła na rogu Wilczej, tuż koło domu. Sąsiadka, która mieszkała pod nami, została ciężko ranna, zabrano ją i nie wiadomo, co się z nią stało. Całe nasze piętro, jako ostrzelane od razu pierwszego dnia, opustoszało zupełnie. Zwykle warszawskie nowiny z tego okresu.

Uczynny pan, tak ucieszony naszym powrotem, to był ten sąsiad, który niegdyś przyniósł nam młodzieńca z windy.

Kiedy jako tako ochajtnęliśmy pokój, sąsiad zaprosił nas do siebie. Postawił na stole swoje ostatnie zapasy błagając, żebyśmy z nim zjedli, bo on pierwszy raz od tygodni jest w towarzystwie. Nie byłby

Polakiem, gdyby nie przyniósł z łazienki pół litra razem z dużym odłamkiem, który przewrócił butelkę, ale jej nie rozbił.

Po godzinie obejmowaliśmy się, przyrzekając sobie przyjaźń na całe życie. Kiedy wychodziliśmy, domagał się, żebyśmy się jak najprędzej sprowadzili. Obiecał nawet przynieść dyktę na nasze okna, rarytas wówczas nie do zdobycia.

- Jak on się nazywa? - spytałam Jurka, pożegnawszy sąsiada.

- Nie mam pojęcia.

Ostatni nasz, wieczór na 6 Sierpnia zaczął się smutno. Nazajutrz mieliśmy się przeprowadzić na Poznańską. W karuzeli wypadków nie zauważyliśmy, jak bardzo zżyliśmy się ze sobą. Przeczuliśmy, że czekają nas o wiele straszniejsze próby, niż kończący się wrzesień. Tego wieczora jednak zadawaliśmy sobie przede wszystkim pytanie, z czego będziemy żyć. Zdobyte w tajemniczy sposób i równo podzielone przez Fryderyka pieniądze musiały wystarczyć na najbliższe dni.

Na nasze natarczywe pytania, skąd je wziął, Járosy powiedział:

- Jeżeli już koniecznie chcecie wiedzieć, to wam powiem. Szedłem Marszałkowską, modląc się głośno: „Święty Antoni, spraw jakiś cud!” Nagle podbiegł mały, dotychczas nie zjedzony piesek, złapał mnie za nogawkę i pociągnął za sobą. Pod murem leżał kamień. Piesek doprowadził mnie tam, usiadł i czekał. Uniosłem kamień. Pod nim był zwitek pieniędzy i kartka: „Fryderyku, pamiętam o tobie i twoich przyjaciółach. Na razie weź te parę złotych, chwilowo nie jestem przy forsie, potem zobaczymy. Św. A.” Tylko nie rozpowiadajcie, bo zaraz wyśmieją, że jestem blagier.

- Zresztą, podpisał się tylko pierwszą literą, znaczy, że nie życzy sobie rozgłosu - powiedział Jurek.

- A co z pieskiem? - spytałam.

- A, prawda! Zapomniałem powiedzieć, że piesek miał skrzydełka. Kiedy wziąłem pieniądze i obejrzałem się, zobaczyłem już tylko mały punkcik na niebie.

- Co za brednie - wzruszyła ramionami pragmatyczna Zosia.

- Nie potrafisz normalnie odpowiedzieć?

- A gdybym się przyznał, że poszedłem do Saszy C. z prośbą, żeby mi oddał te pieniądze, co mu pożyczylem przed rokiem na tydzień, i że on mi je oddał?

- Sasza oddał? - krzyknęła Zosia. - Nie, takich cudów nie ma.

- No, widzisz.

Nazajutrz rano poszliśmy z Jurkiem pożegnać się z rodziną właściciela domu na 6 Sierpnia. Byli to bardzo bogaci, a przy tym skromni ludzie, którzy wiele dobrego robili dla uchodźców w schronie. A jeśli już mowa o państwie Hoffmannach i schronie, nie mogę nie przytoczyć wydarzenia, dobrze charakteryzującego Járosyego.

Zaraz na początku września dogadało się czterech zapalonych brydżystów: Járosy, Jurandot, pan Hoffmann i jego syn. Odtąd panowie uprzyjemniali sobie nocne dyżury w schronie partyjką brydża. Od czasu do czasu wstawali, szli na obchód domu, sprawdzali, co trzeba, i grali dalej.

Pewnego wieczora właśnie rozdano karty i rozpoczęto licytację.

- Dwa bez atu - odezwał się młody Hoffmann.

Rozległ się straszliwy huk, wielka, masywna kamienica zatrzęsała się, posypał się gruz, karty wypadły Hoffmannowi z ręki. Járosy zajrzał, wskazał ręką niebo i powiedział:

- On ma rację. To nie było dwa bez atu.

Okazało się zresztą, że pocisk artyleryjski właśnie urwał kawał narożnika naszego domu.

Wracając do pożegnania z państwem Hoffmannami: pani Hoffmannowa zaproponowała mi prowadzenie u niej lekcji gimnastyki dwa razy w tygodniu dla niej i dla kilku przyjaciółek. Oprócz wynagrodzenia w pieniądzech miałam zostawać na wspólnych śniadaniach. Propozycja była oszałamiająca! Będę zarabiać, i to w tak przyjemny sposób! Z dobrą miną wróciliśmy do Zosi i Fryderyka. Martwiłam się tylko, że z takiego śniadania nic się nie da ściągnąć do domu.

Nie będę miała sumienia sama tego jeść. Nie pomogą dziejowe kataklizmy - - westchnął Járosy - kretinka zawsze zostanie kretinką. Masz jedyną okazję, być może na długo, żeby dwa razy w tygodniu porządnie się najeść. Żryj te buły, te sery i nie myśl o rodzinie. Niech ci się zdaje, że wszyscy wyginęli.

Ile razy zasiadałam do zastawionego stołu w towarzystwie o wiele starszych ode mnie, zamożnych, szczebioczących uczennic, odrzucałam myśl o najbliższych i z wielką rozkoszą żarłam, ile tylko wypadało, nawet boję się, że trochę więcej. Jedyne, co robiłam dla rodziny, to nie jadałam poprzedniego dnia kolacji ani rano śniadania.

Z Járosym przeszłam na „ty” w dość specjalnych okolicznościach. Jednego z ostatnich dni września, kiedy on jako komendant bloku znajdował się w sąsiednim domu, na nasz dach spadła bomba zapalająca. Wprawdzie nasi już wprawni panowie natychmiast pobiegli na górę gasić, ale zauważyłam ogień w paru mieszkaniach. Był alarm i wszyscy nie będący w akcji siedzieli w schronie. Mój cienki głos i brak autorytetu nikogo nie poderwał, pobiegłam więc po Járosyego.

- Dyrektorze! Prędko do nas, palą się mieszkania!

Járosy już pędził, ja za nim.

- Dyrektor zwoła mężczyzn ze schronu, sam dyrektor nie da rady - wołałam, biegnąc i sapiąc.

Fryderyk odwrócił się, zwolnił i krzyknął do mnie:

- Zamknij się z tym dyrektorem! - i zbiegł na dół.

Na szczęście okazało się, że paliły się tylko firanki powiewające z wybitych okien. Zerwano je i tym razem nie było gorszych konsekwencji pożaru.

Kiedy znów zapanował chwilowy spokój, zeszedliśmy się w mieszkaniu.



- Dyrektor odpoczął? - spytałam.

- Dopiero wypiliśmy bruderszaft - mruknął.

Wracam do przeprowadzki na Poznańską. Cieszyliśmy się z powrotu do naszego mieszkania, ale ciężko było się rozstawać. Járosy samą obecnością dawał poczucie bezpieczeństwa. Najlepiej można to było zaobserwować, kiedy pokazywał się w schronie. Może działało jego zachowanie, spokój, pogoda, a może jeszcze bardziej elegancja: zawsze czysta koszula z krawatem, odprasowane spodnie (starym sposobem: składał je pod poduszkę i spał na nich), wyczyszczone buty. Wkraczała z nim jakaś przedwojenność, samo jego ukazanie się zmieniało nastrój. Chciałam go naśladować i tak samo schodziłam zawsze uśmiechnięta, starannie ubrana i żartująca. A gdzie tam! Schronowicze owszem, lubili mnie, ale uważali za lekką debilkę, która po prostu nie zauważyła, że jest wojna.

Zabraliśmy manele i poszliśmy na Poznańską. Po wczorajszym sprzątnięciu nasz pokój stał się podobny do siebie. Co więcej, wspaniały sąsiad postawił nam pod drzwiami dyktę na okna. Cały dzień poświęciliśmy naprawom i krzątaniu się. Dało nam to dużo radości i powoli żyliśmy się z nową sytuacją.

Pod wieczór usiedliśmy przy stole. Ja na naszym starym krześle, Jurek na naszej starej walizce na sztorc. Na stole leżał obrus, w koszyczku chleb, a w słoiku domowy truskawkowy dżem od pani Hoffmannowej.

Do późnej nocy kręciliśmy się po naszej kawalerce, nie mogąc się nią nacieszyć.

- Ilu jest takich, którzy nie mają do czego wrócić...

I myśleliśmy o tych ze zbombardowanych i spalonych domów.

## Koniec Poznańskiej

Rano zapukał sąsiad.

- Niestety, przychodzę ze złą wiadomością. Podobno mają nas wszystkich stąd wysiedlić.

- Jak to?

- SS bierze ten dom dla siebie.

- Akurat ten?

Tak, odpowiadają im kawalerki. No i mają blisko. O kilka domów od nas, na rogu Poznańskiej i Hożej, jest siedziba SS. Dozorca mówił, że oglądali okoliczne domy, ale pewnie zdecydują się na nasz.

- E, to jeszcze nic nie wiadomo! - - zawołaliśmy, zawodowi optymiści.

Możliwe. Ja na wszelki wypadek zaczynam wynosić meble do rodziny. A w razie czego proszę liczyć na moją pomoc.

Po jego wyjściu poszliśmy obejrzeć esesmanów. Idąc Poznańską, już z daleka zobaczyliśmy ogromny, czerwony sztandar z dwiema czarnymi błyskawicami, wywieszony dokładnie na rogu. Po chodniku kręcili się esesmani. Szliśmy wolno drugą stroną ulicy. Jeden w drugiego wysocy, piękni blondyni o długich nogach. Bryczesy opinały im wąskie kolana, mundury musiały być szyte przez dobrych krawców.

- Amanci filmowi - powiedział Jurek.

- Pamiętasz film w „Palladium”, cośmy byli z Zosią i Fryderykiem?

- Oczywiście! Teraz widać, jak dobrze byli zrobieni ci z filmu! To był sam kwiat esesmaństwa, pierwszy sort, wysyłany do świeżo zdobytych krajów, żeby zademonstrować piękno aryjskiej rasy. Późniejsi już wyglądali inaczej.

Pewna znajoma młoda niearyjka o „średnim”, w okupacyjnej nomenklaturze, „wyglądzie” kupowała coś w sklepie papierniczym. W pewnym momencie wkroczyli dwaj esesmani i zaczęli ją podrywać. Dziewczyna oganiała się jak mogła, ale nic nie pomagało. Jeden z natrętów, kręcony brunet z długim nosem, złapał ją za rękę. Wyrwała. Chcąc jej dokuczyć, zawołał:

Du siehst wie eine Jüdin aus! Vielleicht bist du Jüdin?

Und du? - krzyknęła dziewczyna i sama się przeraziła, a sprzedawczyni o mało nie zemdląta.

Reakcja na bezczelność była nieoczekiwana. Kolega bruneta zaczął ryczeć ze śmiechu i powtarzać:

- Sie haben Recht, Fräulein, er muss ein Jude sein!

Niearyjka wzruszyła ramionami i wyszła z wielką godnością.

Dopiero za rogiem ulicy zaczęła zmiatać co sił.

Wiele razy spotkałam się z przedziwnymi wypadkami uratowania się przez kontrę. Esesmańskie i tym podobne towarzystwo bywało prymitywne i głupiało, kiedy natykało się na nietypową reakcję. Opowiadano w czasie okupacji popularną anegdotę. Gestapowiec widzi na „aryjskiej” ulicy Żyda z brodą i pejsami.

- Bist du Jude?! - krzyczy.

- Nie, Turek! - odpowiada starzec najprawdziwszym szmoncesem.

- Verzeihung.

I poszedł dalej.

Na rogu Poznańskiej i Hożej zobaczyliśmy ich po raz pierwszy, ale nie ostatni. Gawędzili, często wybuchając śmiechem, jak normalna grupa normalnych młodych chłopców.

Zrobiliśmy zwykły nasz obchód: odwiedziliśmy babcię, która od wizyty Járosyego miała się świetnie, i zaszliśmy do rodziców Jurka, zanosząc im dżem pani Hoffmannowej. Nikomu nie powtórzyliśmy pogłoski o wysiedleniu, po prostu w to nie wierzyliśmy. Należy wziąć pod uwagę, że po raz pierwszy spotkaliśmy się z możliwością wyrzucenia, z dnia na dzień wszystkich lokatorów dużego domu z ich własnych mieszkań i ciężko nam to wchodziło do głowy.

W drzwiach na Poznańskiej czekał zwięzły list: „Tylko łobuzy tak robią. Z. i F.”

Fakt. Nie byliśmy u nich od wczoraj! Postanowiliśmy pobiec nazajutrz. Nie wiedzieliśmy, że skończyły się czasy robienia jakichkolwiek planów.

Kiedy rano szykowaliśmy się do wyjścia, zapukał sąsiad.

Dali dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie domu. Mebli nie wolno zabierać, tylko rzeczy osobiste. - - Sąsiad ze zdenerwowania ledwie mówił. - Pomogę państwu przenieść się, ubrania wolno zabrać...

Nagle Jurandot wybuchnął śmiechem. Śmiał się jak wariat.

- W porządku, nic mi nie jest - wyjąkał wreszcie, widząc minę sąsiada - tylko myślę o sukni...

Zrozumiałam w mig i zaczęłam tak samo ryczeć ze śmiechu.

- Pan myśli, że zwariowaliśmy ze zmartwienia? I opowiedziałam mu o tej sukni.

- I dlatego nie mamy żadnych mebli.

- Ale mają państwo suknię, którą można wynieść. Rzeczywiście, dobrze się stało - przyznał z powagą.

Nigdy nie rozstrzygnęliśmy, czy sąsiad jest wyprany z poczucia humoru, czy ma go wiele, i to w dobrym gatunku. W każdym razie poprosił, żebyśmy przyszli do niego na pożegnalne śniadanie. I dodał: „Cieszyłbym się, gdyby pani zaszczyciła mnie swoim widokiem w tej pięknej sukni”.

Zgodziliśmy się z entuzjazmem. Nie było co się śpieszyć. Mieliśmy dwadzieścia cztery godziny...

O wpół do dziewiątej rano, kilka minut po katastrofalnej wiadomości, już na samym początku okupacji pozbawieni dachu nad głową, siedzieliśmy u zupełnie obcego człowieka, którego nazwiska nie znaleźliśmy: ja w najpiękniejszej sukni, jaką kiedykolwiek miałam, w kapeluszu i białych rękawiczkach do łokcia, z pomalowanymi rzęsami, pachnąca resztką „Arpège” Lanvin, a Jurandot w smokingu.

- Jutro idę go sprzedać - powiedział - niech się nanoszę. Sąsiad przypatrywał mi się miło i szepnął do Jurka:

- Miał pan rację. Ja też raczej kupiłbym suknię. Na stole stała ćwiartka i kilka starych herbatników.

- Częstoście się państwo - zachęcał gospodarz - przedwojenne!

Tego dnia po południu przenieśliśmy rzeczy na Złotą 75, do moich teściów, którzy oddali nam jeden pokój, a w drugim stłoczyli się razem z Zochą. Sąsiad pożyczył nam wspaniały worek żeglarski, w którym wspólnie z Jurkiem przenieśli nasz dobytek. Całą resztę niosłam ja w słynnej starej walizce, na której siadywało się przy stole.

- Myśli pan, że mamy prawo ją zabrać? Zawsze to mebel.

- Śmiało, droga pani. W razie czego będziemy udawać, że to zwykła walizka.

Na noc wróciliśmy na Poznańską. Tapczan został, mogliśmy wykorzystać te dane nam dwadzieścia cztery godziny do ostatka. Wszyscy lokatorzy już się wyprowadzili. Byliśmy sami w pięciopiętrowym budynku, dawniej tak rojnym i hałaśliwym.

Bardzo trudno mi nie zatrzymać się przy opuszczaniu Poznańskiej. Od urodzenia zamieszkiwałam z mamą coraz inne sublokatorskie pokoje, potem wzięła mnie babcia i znów to nie był dom, jaki mają inne dzieci. I dalej wieczna sublokatorka. Kiedy wprowadziliśmy się na Poznańską, kiedy weszliśmy, żeby już tu mieszkać, uklękałam i pocałowałam podłogę. Może ktoś zrozumie moje szczęście wtedy i moje zmartwienie teraz. Usiadłam na zupie pomidorowej (tak nazywaliśmy nasz tapczan z powodu koloru) i zaczęłam płakać. To był jedyny wypadek przez całą wojnę, że siedziałam i płakałam, choć spotykały mnie później gorsze ciosy. Miałam dom tak krótko: niecałe półtora roku. Przez półtora roku nie musiałam nikogo pytać, czy można wstawić czajnik.

Kiedy nazajutrz rano wychodziliśmy ostatecznie, Jurek wrzucił do pokoju pieniędzy jak do fontanny Trevi, ale się nie sprawdziło.

Zamieszkaliśmy z moimi teściami i szwagierką na Złotej. Rodziny bałam się zawsze i kiedy przed dwoma laty Jurandot zaproponował mi legalizację związku, uprzedziłam:

- Tylko żadnej rodziny, nie jestem przyzwyczajona. Ty to masz szczęście, bierzesz samotną.

- Zgoda - odpowiedział Jurek - żadnej rodziny. Jeden warunek: pójdziemy do nich w niedzielę na obiad i to będzie jedyna próba. Jeżeli ci się nie spodoba, wyrznię ich w pień.

Byłam ciekawa, czy naprawdę ich zabije, czy tylko tak mówi, więc zgodziłam się pójść, ale ten jeden jedyny raz. Miałam tremę, bo przez rodzinę poprzedniego pana, który chciał się żenić, zostałam potraktowana jako okropny mezalians i obrzydł mi ten cały pan. I tym razem, idąc z ciastkami i kwiatkami na niedzielny obiad do domu solidnego, choć bezrobotnego urzędnika bankowego, czułam się jak dama kameliowa.

Zadzwoniliśmy do drzwi mieszkania w starym domu, drugie podwórze, trzecie piętro bez windy. Usłyszałam okropną kotłowaninę, drzwi się otworzyły, zostałam wciągnięta do malutkiego przedpokoiku, złapana w objęcia przez tęgą, niedużą panią, stamtąd wylądowałam w ramionach okrągłutkiego pana o niebieściutkich oczach i bieluteńkich włosach, wyglądającego zupełnie jak pan Pickwick, i zostałam wyrwana przez dziewczynę o ślicznych szarozielonych oczach. (Teraz je mają moja córka i mój wnuk).

Wszyscy krzyczeli jednocześnie:

- Nareszcie jesteś, wiemy, wiemy, Jurek musiał ci obiecać, że nas wymorduje!

Wtoczono mnie do pokoju. Kiedy odezwałam się „proszę pani”, rozległ się chór protestów:

- To Sabcia, mów do niej „Sabcia”!

- Żadne z moich dzieci inaczej mnie nie nazywa, pamiętaj!

Sabcia została Sabcią, tatę przemianowałam na pana Pickwicka i gdyby nie Jurek, spóźniłabym się do teatru, tak trudno mi było wyjść z tego domu.

Podczas kotłowaniny przy wychodzeniu Jurek spytał uroczyście:

- Zamordować?

- Nie trzeba -I odpowiedziałam i wszyscy dziękowali mi za ułaskawienie.

Jeżeli pytacie, co to wszystko ma wspólnego z Járósym, to wkrótce się przekonacie.

W ciągu najbliższych tygodni z Fryderykiem widywaliśmy się sporadycznie. Musieliśmy zdobywać z dnia na dzień środki do życia, na razie sprzedając, co się dało. Niewielkie sumy, które zarabiałam za lekcje u pani Hoffmann owej, szły do rąk Sabci i to wystarczało na obiady. Do Jurandota zaczęli zgłaszać się znajomi aktorzy z prośbą o repertuar. Na dłuższą metę jednak trzeba było myśleć o jakimś stałym zajęciu. Z całą naturalnością oczekiwaliśmy pomysłów od Járósyego, który nie zawiódł. Zaczął już rozmowy z jakąś kawiarnią i na 24 października zaprosił kilkoro kolegów, aby odbyć naradę i wspólnie coś zorganizować.

Umówionego dnia przyszliśmy punktualnie na jedenastą. Byliśmy pierwsi. Zaproszeni koledzy szybko się zebraли i w momencie wejścia ostatniej z oczekiwanych osób Járósy zaczął:

- Mam zupełnie dobry pomysł... Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Kogo tym razem diabli niosą - mruknął Fryderyk i poszedł otworzyć.

Tym razem diabli przynieśli całą ekipę gestapo. Kilku wyglądało tak, jak sobie mały Kazio wyobraża gestapowca: paskudne, ordynarne typy, za to jedyny oficer był podobny do tych amantów z rogu Poznańskiej i Hożej. On zajął się Járósym. Zwracał się do niego grzecznie per „Sie” i przeszedł z nim do drugiego pokoju, zostawiając nas w rękach małpoludów.

Nie będę szczegółowo opisywać przebiegu tej wizyty, bo w zasadzie nie różniła się specjalnie od podobnych, tyle razy opisywanych i pokazywanych w filmach. Tyle że nie bili, tylko cały czas wrzeszczeli. Kazano nam wyrzucić na ziemię wszystko, co mamy w kieszeniach i torebkach. Byłam bez

torby i nic nie miałam przy sobie. Stałam spokojnie pod ścianą, gdzie mnie postawiono. Podczas gdy małpoludy oglądały wyrzucane drobiazgi, jeden z nich rzucił się w moją stronę i zaczął wrzeszczeć, czy jestem głucha, że nie opróżniłam kieszeni. Odpowiedziałam, że nic nie mam. Gestapowiec wsadził mi łapy w obie kieszenie. Z jednej wyciągnął łódeczkę z bibułkowej serwetki, którą zrobił dla mnie Jurandot podczas naszej pierwszej randki w kawiarni „Ziemiańskiej” na Marszałkowskiej. Przyjrzał się z obrzydzeniem, warknął „Dreck!” i rzucił ją na podłogę. Schyliłam się i podniosłam. Nie wynikało to z żadnej odwagi, bo trzęsłam się jak wszyscy, ale brutalność skierowana przeciw tej małej, przezroczywej łódeczce, którą od dwóch lat miałam zawsze przy sobie, pozbawiła mnie instynktu samozachowawczego. Mój szympanś ryknął i złapał mnie za rękę. I oto łódeczka znalazła nieoczekiwanego obrońcę. Okazało się, że oficerek, który właśnie wszedł razem z Járósym, zainteresował się tą sceną. Zaszwargotał do małpoluda i ten puścił mnie, a ja włożyłam łódeczkę do kieszeni.

Ten incydent zajął mnie i zdenerwował tak, że niezbyt uważnie śledziłam przebieg wypadków. Jurek stał przy mnie już zrewidowany, oficer spokojnie rozmawiał z Járósym przyciszonym głosem i wszyscy zaczęliśmy mieć nadzieję, że sobie pójdą.

Tak się nie stało. Tłumacz z piórkiem przy kapeluszu (też jak na filmie) pozabierał wszystkim dowody osobiste i polecił przyjść jutro rano na Szucha, drugie piętro z frontu, aby je odebrać. Oficer skinął i wyprowadzono Zosię z Fryderykiem. Jak nam później opowiadali państwo Hoffmannowie, wsadzono każde z nich do osobnego samochodu i pojechali.

Nas po chwili puszczono.

Aresztowanie Fryderyka i Zosi było zupełnie nieoczekiwanym ciosem. Wciąż jednak mieliśmy nadzieję, że ich zwolnią. Na razie przed nami była perspektywa jutrzejszej wizyty na Szucha. Część uczestników kotła postanowiła przeczekać, a za parę dni się zobaczy...

- Samemu dobrowolnie tam się pakować? Stamtąd się nie wychodzi.

My nie mieliśmy wyboru. Niepójście oznaczało konieczność ukrywania się, zdobycia fałszywych papierów czy ucieczki na rosyjską stronę. Dla nas nie wchodziło to w rachubę. Musieliśmy pracować, ukrywać się nie było gdzie ani jak: mieliśmy obowiązki. Później było inaczej, ale to działo się dopiero 24 października 1939.

Nazajutrz lał deszcz, a Jurek miał dziurawe buty. Pożyczył od ojca kalosze. Były nieco za duże, ale dało się iść.

Weszliśmy do legendarnego już wówczas gmachu, rzucając pożegnalne spojrzenie na ulicę.

Od frontu wiodły szerokie, marmurowe schody pokryte czerwonym chodnikiem. Wbiegali po nich i zbiegali oficerowie i urzędniczki, a wszyscy oglądali się za nami: od razu było widać, że jesteśmy nie z tego towarzystwa. Nagle Jurek zatrzymał się.

- Spadł mi kalosz.

- Zejdź i podnieś.

- Wyobrażasz sobie to widowisko? Będę udawał, że nie zauważyłem.

- Chcesz, żeby za chwilę leciał za nami gestapowiec ze starym kaloszem twego ojca? Jeszcze pomyślą, że tam jest bomba.

Jurek zszedł kilka stopni, podniósł kalosz i włożył go z miną „nic się nie stało”. Stałam i czekałam, obserwując zaciekawienie przechodzących pracowników. Powędrowaliśmy dalej. Prawy kalosz spadał co kilka stopni. Wreszcie Jurek zdjął oba i niósł je w ręku. Kiedy dobrnęliśmy przed wielkie drzwi na drugim piętrze, stanęliśmy niezdecydowani. W końcu Jurek postawił jednak kalosze na podłodze i włożył je. Musiało to dziwnie wyglądać: niesie człowiek kalosze w ręku i wkłada je wchodząc do pokoju.

Za biurkiem siedział wczorajszy oficerek. Na schodach bardzo nas rozładował kalosz, za to teraz myśleliśmy oboje, że trzeba było szaleńców, żeby tu przyjść.

- Nazwiska? - spytał po niemiecku. Podaliśmy. Otworzył szufladę i dał nam dowody.

- Das ist alles.

Miał tyle taktu, że nie powiedział „auf Wiedersehen”.

Nawet się nie ucieszyliśmy. Nawet to było ponad nasze siły. Skierowaliśmy się do wyjścia. W drzwiach ten kalosz spadł. Jurek wziął go do ręki i tak opuściliśmy biuro gestapowca.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, długą chwilę staliśmy, nie mogąc uwierzyć. Bo jeszcze schodząc z drugiego piętra spodziewaliśmy się, że nas zatrzymają. Wreszcie Jurek zdjął drugi kalosz, podszedł do pojemnika i zdecydowanym ruchem wrzucił oba do śmieci.

Po powrocie na Złotą opowiedzieliśmy, skąd wracamy. Jurek dodał, nie wchodząc w szczegóły, że pożyczyl sobie kalosze taty i że je wyrzucił.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział Pickwick - one wciąż mi spadały.

Mieszkanie na 6 Sierpnia ostemplowano. Chodziłam dwa razy w tygodniu na lekcje do pani Hoffmannowej, za każdym wejściem w znajomą bramę odczuwając skurcz serca. Ale i oni niczego nie mogli się dowiedzieć, choć starali się, pod pozorem zainteresowania właścicieli domu mieszkaniem.

Wreszcie zjawił się u nas Wacek Kucharski, nasz sufler i aktor, który też był w kotle. Dowiedział się, że Zosia została wypuszczona z warunkiem natychmiastowego wyjazdu na tereny wschodnie (pochodziła z Równego, niedaleko Lwowa). Odstawiono ją na granicę, zakazując komunikowania się z kimkolwiek. Sprawa Járosyego natomiast była nadal tajemnicza, zwłaszcza że nie figurował w żadnej ewidencji. Wiadomość, że żyje, pochodziła od jednego z warszawskich pastorów, który się z nim zetknął na Daniłowiczowskiej, ale Wacek nie znał nawet nazwiska pastora.

W czasie wojny okazało się, że można wszystko znieść i normalnie żyć dalej. Ani na chwilę nie opuszczała mnie myśl o Járosym w więzieniu. Zwolennicy egalitaryzmu oburzą się na pewno, jeśli powiem, że Járosyego było mi bardziej żal niż innych. Kiedy wspólnie głodowaliśmy, to też jego więcej żałowałam niż nas, bo my tyle razy w życiu bywaliśmy biedni, nie mieszkaliśmy łazienki, bywaliśmy pozbawieni tylu koniecznych rzeczy. A jego nie mogłam sobie wyobrazić inaczej, niż jako wielkiego pana. Nie chciałam jego i siebie ośmieszyć tym określeniem, ale on taki był. A że był taki w

głębszym znaczeniu, niż ja mu przypisywałam, miało się okazać właśnie w czasach, kiedy znalazł się w sytuacji pariasa.

Gubiliśmy się w domysłach, o co może chodzić w jego sprawie. Była poważna, to nie ulegało wątpliwości. Niezwykle traktowanie przez gestapo, czego byliśmy świadkami, z drugiej strony fakt, że nie istniał w ewidencji - wcale nie wróżyły dobrze. Wyglądało, że prowadzą z nim jakieś pertraktacje. W naszych rozważaniach wciąż wracaliśmy do jego austriackiego obywatelstwa.

Mijały miesiące. Mieliśmy nawiązany dość luźny kontakt z ZWZ, natomiast Zocha coraz rzadziej bywała w domu, pochłonięta przez sprawy konspiracji.

Jurek zarabiał niewielkie sumy za teksty dla kolegów, co jakiś czas sprzedawało się coś z ubrania, Sabcia dokonywała cudów gospodarności i tak żyliśmy na pograniczu głodu, co w tym czasie nie było niczym nadzwyczajnym.

O Járosym krążyły wciąż jakieś sensacje: a to, że został rozstrzelany, a to, że go wysłano do Reichu, a to, że na wschód.



## Dni na Złotej

I oto przyszedł wiosenny dzień 1940 roku, o którym już pisałam. Zaproszeni przez Stefcie Górską do jej rodziców, zastaliśmy tam Járosyego.

Okazało się, że jako obywatela austriackiego namawiano go, żeby skorzystał z przywilejów (i zapewne obowiązków) Reichsdeutscha. Szantażowano go wypominaniem antyhitlerowskich programów w „Cyruliku”. Dla nas miał ważną wiadomość: gestapo dokładnie wiedziało nie tylko, kto wykonywał te numery (Sempoliński ukrywał się przez całą okupację, ponieważ był poszukiwany za słynną parodię Hitlera), ale znali nazwiska autorów. Jurandot miał wiele na sumieniu. Zaczęliśmy się starać o lewe dokumenty.

Járosyemu zarzucano odpowiedzialność za „napaści i paszkwile”, a groziła mu za to śmierć. Powtarzano, że jego błędy zostaną zapomniane z chwilą przyjęcia warunków. Będzie mógł otworzyć teatr i dać zarobek kolegom. Jarosy długo udawał, że się namyśla, wypytywał o szczegóły. Niemcom bardzo na nim zależało: mieć takiego ulubieńca po swojej stronie! Co tam przy nim Igo Sym! Uspokajano go argumentami, że nigdy nie był Polakiem, więc nikt nie będzie mógł zarzucić mu zdrady.

Przy okazji wyjaśniła się plotka o zastrzeleniu Járosyego w Krakowie podczas naszego tournée. Piątej kolumnie zależało na wytworzeniu koło niego famy podejrzanego politycznie, aby tym skuteczniej go szantażować.

Ucieczkę umożliwiło mu wyjątkowe traktowanie. W ciągu stałych wędrówek między więzieniem na Daniłowiczowskiej a Aleją Szucha zaprzyjaźnił się z żandarmami, którzy go konwojowali. Uważali go za rodaka, będącego chwilowo w jakichś opałach, co zresztą podtrzymywał. Pewnego dnia wzruszył ich niemal do łez, skarżąc się na brak komfortu, do którego był przyzwyczajony. Chciałby raz być porządnie ostrzyżony i ogolony w normalnych warunkach. Żandarmi weszli z nim do „Hotelu Europejskiego” i zostali przy drzwiach zakładu fryzjerskiego; na jego prośbę nie weszli, aby nie wywoływać sensacji. Járosy golił się tam codziennie przez prawie dwadzieścia lat. Wystarczyło, że wchodząc dał znak swemu fryzjerowi, aby przejść spokojnie przez salon, wyjść innym wyjściem i znaleźć się na ulicy po drugiej stronie „Europejskiego”. Po kilkunastu minutach dzwonił do drzwi na Marszałkowskiej 42, gdzie mieszkali rodzice Stefcie Górskiej, jednej z trzech żon dwudziestolecia (Ordonówna - Górską - - Terné). Słusznie rozumował, że to ostatnie miejsce, gdzie będą go szukać.

Tymczasem gestapo zadowolilo się puszczeniem ostatecznej wersji o jego rozstrzelaniu. W 44 roku dowiedzieliśmy się, że wypytywano o niego kilka osób.

Jakie zaufanie musiał wzbudzać ten człowiek, że w tych warunkach zatrudniono go w konspiracji! A można było go poważnie podejrzewać: kocioł na 6 Sierpnia, dobre traktowanie na Szucha, potem dziwna, udana ucieczka. Nie wykluczam drobnych nieścisłości i fantazji w opowiadaniu Járosyego, ale któż by sobie przy takiej okazji pożałował! Faktem jednak były powody uwięzienia i faktem była ucieczka, tak samo jak ponad półroczny pobyt na Daniłowiczowskiej. Zresztą... Dowiodłam już wiele razy, że właśnie najmniej prawdopodobne jego opowieści były prawdziwe... A zaufanie sprawdziło się w całej rozciągłości.

Postanowiliśmy zabrać Fryderyka - - nie żadnego Fryderyka, tylko Franciszka - na Złotą. Warunki tam nie należały do luksusowych. Jedynym miejscem dla Franusia mogło być rozkładane łóżko w naszym pokoju. Nie miało to znaczenia. Przeżywaliśmy dni wielkiej radości, i to wszyscy, z Sabcią i Pickwickiem na czele. Wiedzieli oni dobrze, że pobyt Franciszka był śmiertelnym zagrożeniem dla nas wszystkich, ale na pytanie, czy może mieszkać, potwornie się obrazili.

Teraz trzeba było postarać się o papiery. Bardzo się przydał dotychczas nie sprzedany aparat fotograficzny. Zrobiłam Franciszkowi zdjęcie, które może uchodzić za ukoronowanie mojej jakże skromnej kariery fotograficznej. Spoglądał z niego zmrużonymi oczkami zza druczianych okularów niesympatyczny starzec z ponurą miną i z małym, przykrym wąsikiem. Sprokurowano mu dowód osobisty i po niewielu dniach stary pan Nowaczek miał wszystko co potrzeba.

Tymczasem na Złotej nastąpiła rewolucja. Dotychczas to ja byłam pupilką, rozpieszczaną jak tylko można. Franciszek tu właśnie stał się Franusiem i wygryzł mnie z przodującego miejsca w sercach Sabci i Pickwieka. Zocha też, naturalnie, zakochała się w nim, ale ona już w domu nie mieszkała, zajmując wynajęty dla niej przez szefów z konspiracji pokój sublokatorski na Humańskiej, przy rogu Słonecznej. Znajomych (bo tę książkę będą czytali głównie znajomi) zainteresuje fakt, że z okna mojego mieszkania widzę jej dawne okno na Humańskiej. Nikt nie miał prawa znać jej adresu, nam zdradziła go w najcięższym okresie, w 1943 roku, z zastrzeżeniem, żeby z niego korzystać tylko w razie znalezienia się bez noclegu po godzinie policyjnej. Dwa razy nam się to zdarzyło i było bardzo śmiesznie, bo wobec gospodarza Zochy musieliśmy uprawiać fałszerstwo do trzeciej potęgi: w kennkarcie miałam nazwisko Grabowska, a tu musiałam udawać, że naprawdę nazywam się Grabowska, ale u nich na Humańskiej, gdyby przypadkiem mnie nakrył ktoś z ich szefostwa, nie mam się do tego przyznawać, tylko wymyślić jakieś inne nazwisko. Nie warto tłumaczyć całej kombinacji, bo zajęłoby to wiele czasu. Kiedy więc gospodarz (wspaniały stary pan z wielkimi, białymi wąsami) poprosił, żebym sobie wymyśliła jakieś nazwisko, powiedziałam:

- Czyja wiem... może Grodzieńska?

Kiedy przychodzi mi na myśl głupi żart, to jestem bezsilna.

Wolałabym nie powtarzać, co powiedziała mi spokojna, zrównoważona Zocha, kiedy znalazłyśmy się w jej pokoju.

Kiedy w roku 1956 oglądaliśmy mieszkanie na Słonecznej, nic nam się nie skojarzyło. Byliśmy związani ze Śródmieściem i Ochotą, tych stron nie znaleźliśmy. Jakiś czas już mieszkaliśmy tutaj, kiedy pewnego letniego wieczora staliśmy z Jurkiem w oknie, wyglądając na ulicę. Zapatrzyłam się na stojący naprzeciwko dwupiętrowy domek.

- Skąd ja znam ten dom? - spytałam. Przypomnieliśmy sobie. Dlaczego akurat wtedy? Może dlatego, że była ta sama pora roku i ta sama pora dnia, co wtedy, kiedy w 43 wypatrywaliśmy okna Zochy, stojąc dokładnie w tym miejscu, gdzie za trzynaście lat miał stanąć nasz dom.

U Zochy chroniliśmy się trzy lata później, na razie na Złotej uczyliśmy się nowego Fryderyka, czyli Franciszka.

Chociaż z jego zjawieniem się przybyło jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo, nasze życie nabrało kolorów. Dla historyków chcę przekazać informację, że Franuś wspaniale gotował. Nauczył

Sabcię i mnie mnóstwa kombinacji z kartofli, kaszy i brukwi oraz tym podobnych delikatesów. Gotował kilka odmian zup śmieciowych: śmieciowa zielona, śmieciowa czerwona, kaszowa ze śmieciami, a każda miała inny smak i była naprawdę dobra. Ciastka z brukwi, pieczone bez tłuszczu, stanowiły bardzo lubiany deser. W dni uroczyste, jak imieniny czy inne święta, piekł piernik z marchwi, który wydawał się nam tak wspaniały, że postanowiliśmy jadać go i po wojnie. Zawsze byłam niezwykle słaba w gotowaniu, pewnie dlatego, że nigdy dotąd nie prowadziłam domu, i to była pierwsza moja nauka. Przez całą wojnę szkoła Franciszka święciła wielkie triumfy, bo zachwycono się nią w innych domach, gdzie w późniejszym czasie pracowałam jako gosposia czy osoba do dzieci. Moja sława pękła dopiero po wojnie, kiedy musiałam gotować w normalnych warunkach. Wypieki z pszennej mąki, jajek i masła nigdy mi tak dobrze nie wychodziły, a co do mięsa, to jestem beznadziejna. Nie było na czym się uczyć.

Miał zdumiewające pomysły praktyczne. Wymyślił sposób na łatwe przerobienie dwóch podartych koszul na jedną całą, ponasadzał do doniczek różne zielska, które miały moc zastosowań. Trudno wyliczyć, jakie jeszcze wprowadzał wynalazki. Na szczęście ręce miałam zawsze dość zręczne i w ten sposób on był mój, a ja ślepą siłą fizyczną.

Nie to jednak decydowało o dobrym wpływie jego obecności na nasze życie. W zupełnie niezwykłych warunkach potrafił zatrzymać nie tylko wszystkie swoje zalety, ale i wady, co było jeszcze trudniejsze. Jego sytuacja skłaniałaby raczej do cichego „udawania, że mnie nie ma”: czy nie przeszkadzam? czy można? Tymczasem taka postawa, którą potem nieraz obserwowałam u ludzi ukrywających się w cudzych domach, właśnie utrudniała życie, prowadziła do ciągłego certowania się, zmuszała gospodarzy do zastanawiania się nad każdym słowem i postępkim: czy nie będzie mu przykro? czy nie pomyśli, że nam przeszkadza? Franciszek został sobą, i to od pierwszego dnia. Brał udział w domowych naradach, żył z nami bez żadnych kompleksów, bywał apodyktyczny, wytkócał się, a do głosu w podejmowaniu ostatecznych decyzji w ważnych sprawach dopuszczał tylko Jurka. Pickwick bywał zawsze wysłuchiwany z szacunkiem i nawet wciskano mu, że jest tak, jak on postanowił. Natomiast mnie i Sabcię zbywał słówkami w rodzaju „Pan Bóg stworzył piękne kobiety dla naszej przyjemności, a nie nam na złość”, mnie zwykle dodatkowo kapnęła „kretinka”. Dzięki niemu uniknęliśmy rozdrażnienia, które jest najgorszym wrogiem wspólnie mieszkających, nie wyłączając małżeństw. A przecież on nie tylko nie mógł wychodzić z domu. Na każdy dzwonek do drzwi czy chociażby ruch na klatce schodowej musiał zamykać się w łazience. Rozkład mieszkania był taki, że po wejściu już z przedpokoju widziało się oba pokoje. Specjalnie nie chcieliśmy zamykać drzwi do drugiego pokoju, żeby stworzyć wrażenie otwartego, nic nie ukrywającego domu. A przychodziły sąsiadki, zaglądał dozorca w różnych sprawach, nie mówiąc już o znajomych. Było to bardzo ważne. W razie jakichkolwiek plotek mogli oni wszyscy przysiąc, że obejrzeliby całe mieszkanie.

Tymczasem Franciszek siedział na brzegu wanny i czytał Balzaka. Był cały komplet w tłumaczeniu Boya i Franuś uznał, że to jedyna okazja, aby przeczytać całość. Na ściennej apteczce w łazience stale leżał czytany właśnie tom i wspólnie obliczaliśmy, na ile lat wojny starczy cała Komedia Ludzka. Pół biedy, gdy ktoś przygodny zaglądał na chwilę, ale nie mogliśmy się odciąć od wszystkich znajomych naszych i Sabciów. Kiedy zanosilo się na długie odwiedziny, Franciszek brał koc i poduszkę, układał je w wannie na ceratowym obrusie i rozsiadał się wygodnie z papierosem. Widok był wspaniały! Leżał w wannie wsparty o poduszki i czytał Balzaka z miną pasażera Orient-Expressu. Kiedy goście się wynosili, otwieraliśmy drzwi jego celi, wołając:

- Niżnij Nowgorod, wysiadać!

Niżnij Nowgorod był ulubionym hasłem Franciszka jeszcze z czasów Járosyego. Odczuwałam to na sobie, kiedy zwykł mawiać:

- Ty jesteś najgłupsza na świecie. Owszem, w Niżnim Nowgorodzie była jedna głupsza, ale umarła przed tamtą wojną.

Ze Złotej pamiętam jeszcze tragedię Sabci, która zachomikowała kilo prawdziwej perłowej kaszy, jakiej już dawno nie widzieliśmy. Chowala ją na urodziny Franusia, kupiła w tajemnicy przed nami, sprzedając na ten cel coś z własnej garderoby.

W uroczystym dniu rano wyciągnęło kaszę ze schowka. Nagle usłyszeliśmy w naszym pokoju jej płacz. Wszyscy troje zerwaliśmy się i pobiegliśmy do kuchni.

Nasza dzielna, niezwalczona Sabcia siedziała nad wysypaną na półmisek kaszą i płakała: kasza była stęchła i nie wydawała się jadalna nawet dla tak niewybrednego towarzystwa jak my.

Franciszek w mig zorientował się w sytuacji i zaczął wołać z zachwytem:

- Mamy nareszcie stęchłą kaszę! Ile razy byłem w Paryżu, szedłem do Tour d'Argent na stęchłą kaszę. Pierwszy raz zaprosił mnie księżę Jusupow. Od niego dowiedziałem się, że właśnie tamtejszy szef kuchni najlepiej stęcha kaszę. Okazało się, że oni mieli specjalną aparaturę do stęczenia kaszy. Dziękuję, Sabciu, nic lepszego nie mogłaś wymyślić na mój urodzinowy obiad!

Rzucił się ją ścisnąć i całować, ale Sabcia i tak już od połowy jego przemówienia śmiała się razem z nami. A kaszę zjedliśmy za zdrowie księcia Jusupowa.

Franciszek, który pracując po kilkanaście lat z aktorami był z większością z nich na „pan”, teściom moim od razu zaczął mówić po imieniu, na co oni bez żadnych wygibasów odpowiedzieli „Franusiem”.

Zaraz na początku pobytu Franciszka uzgodniliśmy taktykę. Postanowiliśmy potwierdzić i rozpowszechnić wersję, że został rozstrzelany. Do dnia dzisiejszego spotykam wiele osób przekonanych, że tak było. Doszły jeszcze filmy, zupełnie fałszywie przedstawiające jego postać i losy, toteż kiedy mówię, że umarł na serce w 1960 roku, budzi to sensację. Wtedy nieźle się bawiliśmy, opowiadając Franusiuwi najrozmaitsze wersje jego śmierci, które przynosiliśmy z miasta.

W związku z tym zachciało nam się zrobić kawał. Nasze zatrute nałogiem wiecznego żartowania organizmy łaknęły żeru. Mijały dni, tygodnie i miesiące pobytu Franciszka na Złotej. Baliśmy się, żeby z nudów nie popadł w depresję i obmyślaliśmy różne rozrywki, o których opowiem.

Na razie wymyśliliśmy wystrzałowy żart. W tym celu jednak należało znaleźć osobę, która w rezultacie zostanie wtajemniczona w sprawę Franciszka. Musiał to być ktoś negatywny, a przy tym sympatyczny i pasujący do nas, aby mógł potem nas odwiedzać. Nie warto wspominać, do jakiego stopnia musiał być godny zaufania.

Jurek rzucił kandydaturę Żeromskiego, przyjętą przez aklamację.

Tadeusz Żeromski był kiedyś aktorem, ale straciwszy zamiłowanie, rzucił z dnia na dzień zawód, który mógł uprawiać do spokojnej emerytury. Zaczął pisać piosenki i spotkawszy się przypadkiem z Jurkiem, zachęcił i jego. Dużo napisali wspólnie. Tadeusz był od niego o jedenaście lat starszy, co nie miało znaczenia, tak samo jak to, że Járósyego i mnie dzieliła różnica dwudziestu pięciu lat. Był to co się zowie duch niezależny, wolny od wszelkich więzów materialnych, ponieważ zależało mu jedynie na tym, żeby robić to, co mu się podoba. Miał zawsze tylko jedno ubranie i wytarty paltocik, jadł cokolwiek, a pracował wtedy, kiedy już musiał coś zarobić. Liczne małżeństwa nie były w stanie go zmienić.

W czasie okupacji pracował jako stróż w zakładach Haberbuscha i Schielego. Nie dał się skusić propozycjom lepszej pracy. Twierdził, że to jego ideał: siedzi sobie w budzie cały dzień, dostaje zupę, nikt od niego nic nie chce i może nareszcie czytać książki. Brał udział w pracach konspiracji i trafił do Oświęcimia, skąd wyciągnęła go jako Francuza (studiował we Francji, stąd znakomicie znał język) obozowa organizacja podziemna.

- Nie mogłem zginąć w Oświęcimiu - mawiał - - nie nadaję się na bohatera.

Oprócz totalnej abnegacji i zamiłowania do gry w brydża ponad stan, nie miał chyba wad. Był to człowiek mądry, wykształcony, obdarzony wielkim wdziękiem i poczuciem humoru. Jako przyjaciel sprawdzał się tak, jak tylko mogą się sprawdzać ludzie pozbawieni wszelkiej drobiazgowości.

- Doskonale, niech będzie Żeromski - ucieszył się Franciszek

- tylko pozwólcie mi działać. Zaproście go, nic nie mówcie, ja położę się za parawanem na moim łóżku.

- Powiemy, że tam leży pościel.

Dobrze. Naprowadzicie rozmowę na mój temat, a ja postąpię, jak podyktuje sytuacja.

Tadzio już kilka razy chciał nas odwiedzić, ale zawsze znajdowaliśmy wymówkę. Tym więcej ucieszył się z zaproszenia. Uściskawszy Sabcię i Pickwicka, wszedł do naszego pokoju. Było tak ciasno, że siedząc przy stoliku co chwila potraçał plecami cienki, kretonowy parawan. Pozostanie tajemnicą Franciszka, co zrobił z oddychaniem.

Rozmowy nie trzeba było naprowadzać.

Nie mogę przestać myśleć o tym Járósym - zaczął Tadeusz, ledwie się usadowił. - Jakie to okropne, że go zamordowali, jaka wielka szkoda dla nas wszystkich. I w ogóle nie można sobie wyobrazić Warszawy bez niego.

Mamy wciąż nadzieję, że to plotka - - odezwał się Jurek.

- Kto może wiedzieć na pewno?

Niestety, nikt nie ma złudzeń. Podobno to wiadomość z gestapo. Nie przyjaźniłem się z nim tak jak wy, ale czuję się, jakby mi zabili kogoś bliskiego.

- Chcieliby - rozległ się głos zza parawanu i ukazał się Franciszek.

Żeby opisać minę Tadeusza, trzeba by być Gogolem i Szczedrinem.

Odtąd Żeromski często przychodził i bardzo urozmaicił jadłospis towarzyski Franciszka. On też bawił się razem z nami, opowiadając o rozmowach na temat Járosyego.

- Udało mi się to, o czym każdy marzy - cieszył się Franus

- obserwuję reakcję na moją śmierć.

Śmierć śmiercią, ale spotkanie trzech oszalałych brydżystów nie mogło się dla mnie dobrze skończyć. Nienawidzę grać w karty, jest to najzupełniej sprzeczne z moim usposobieniem. Jeżeli już siedzę kilka godzin bez ruchu, to wolę czytać książkę, na co przez całe życie miałam za mało czasu, albo zrobić sweter. Niestety, cokolwiek kiedykolwiek robię, zawsze mam poczucie, że tracę czas i że powinnam właśnie zajmować się czymś innym, niż właśnie się zajmuję. W dodatku nie mam ani cienia ducha hazardu: kiedy przegrywam, obliczam z żalem, co mogłam za to kupić, a gdy wygrywam, jest mi jeszcze bardziej przykro, bo zabieram komuś pieniądze. Znam większość gier karcianych i przy zmyśle logiki mogłabym ostatecznie jakoś tam grać, ale po co?

Już w czasie tej pierwszej wizyty Tadeusza po godzinnej pogawędce Franciszek spojrzał na Jurandota, ten na Tadzia i wszyscy zatarli ręce. Jurek bez słowa poszedł po karty, a ja schowałam się w kuchni.

Po kilku minutach siedziałam przy stoliku. „Kretinki” i „debylki” nie były tak bolesne jak sceny pantomimiczne, wcale udatnie zresztą odgrywane. Franciszek zrywał się z krzesła, padał na kolana i cicho się modlił, od czasu do czasu rzucając na mnie złowrogie spojrzenia, żeby Pan Bóg nie miał wątpliwości, kogo ma ukarać. Innym razem mówił spokojnie:

- Otwórz okno. Prędeej. Tak. A teraz skacz. Po tych czterech pikach nie masz chyba zamiaru żyć dalej.

„Stoi przed mną fotografia Stefi -- ścierwo! 3 bez atu mówi się z taką kartą!!! - i już masz łzy w oczach” - pisał w liście z 20 listopada 46 roku. Spróbowałabym nie mieć łez w oczach, dopiero bym usłyszała.

Odbywało się to wszystko wśród coraz okropniejszych wieści, coraz groźniejszego terroru. Jak wszyscy młodzi ludzie garnęliśmy się do konspiracji. Obowiązywała jednak jeszcze wtedy twarda zasada niełączenia różnych zagrożeń. Nasz szef został oczywiście przez nas poinformowany, że mamy u siebie człowieka w najwyższym stopniu nielegalnego. To bardzo poważnie ograniczyło nasze możliwości.

Życie na Złotej toczyło się dalej, pogodnie mimo zagrożeń i biedy. Franciszek nie pozwalał popadać w depresję, żalić się, narzekać. Z biegiem czasu coraz trudniej było żyć w środku koszmaru, ale Franus pocieszał:

- Dziś mamy o jeden dzień mniej do końca wojny niż wczoraj. Zaczęły się jednak dolegliwości związane ze złym odżywianiem, a u Franciszka dodatkowo z brakiem mchu i świeżego powietrza. Co prawda, zarządził codzienne ćwiczenia gimnastyczne, ale nie mogło to zastąpić normalnego ruchu.

Jego pierwszego zaczęły dręczyć typowe choroby okupacyjne. Pojawiły się czyraki na karku i plecach. Na razie nie przychodził nam do głowy żaden lekarz, któremu można by pokazać Franciszka, a ten cierpiał z każdym dniem gorzej.

Wreszcie wyczekał, aż będziemy sami w domu.

- Szarpió, widziałaś kiedyś, jak chirurg myje ręce przed operacją? Weź szczoteczkę i myj.

Domyślałam się najgorszego, ale zrobiłam, co mi kazał.

- Teraz weź te nożyczki, są zdezynfekowane. Zdjął koszulę i usiadł tyłem do okna.

- Tu będzie widno.

- Błagam! Ja za nic... Dlaczego właśnie ja?

- Bo pan dyrektor tak obsadził. I ani słowa. I tak muszę cierpieć, bo mam do czynienia z amatorką, a wiesz, jak tego nie lubię.

- A jak zemdlejesz?

- Stary Nowaczek nie mdleje, kiedy nie trzeba. Poprzecinałam nożyczkami czyraki. Wieczorem spadła gorączka. Z jaką wdzięcznością wspominałam go, kiedy latem 44 roku mnie z kolei zrobiły się takie same czyraki na ramionach, a w dodatku pracowałam wtedy przy niemowlaku, którego wciąż nosiłam i który bez przerwy łąpał mnie za te ramiona swoimi cholernie silnymi łapkami. Wyczekałam aż „państwo” z dziećmi poszli na spacer i poprzecinałam sobie sama nożyczkami całą kolonię. Ulga z miejsca. Polecam.

Innym razem sprawa była poważniejsza. Franciszek ciężko zachorował na uszy. Żadne domowe sposoby nie pomagały. Gorączka przekroczyła 40 stopni i ból stał się nie do zniesienia.

- Słuchaj, szarpió. Trzeba mnie ratować, bo co zrobicie ze zwłokami? Masz tu na kartce adres. Ten lekarz był przed wojną człowiekiem godnym zaufania, ale nie wiem, jak z odwagą. Jeżeli już zdecyduje się z tobą pójść, to mogę mu się pokazać. Ale nie naciskaj! Gdyby bardzo się wahał, wymyślimy coś innego. Tylko nie mów, że to do mnie, już ja to załatwię.

Codziennie zawijałam go, żeby miał ciepło w uszy. Tym razem kazał mi owinąć całą głowę razem z twarzą.

Poszłam z wielką tremą. Czy lekarz się zgodzi? Każdy miał teraz powody, żeby byle gdzie nie chodzić. Na drzwiach widniała tabliczka z napisem: „Dr Józef Antonowicz”. A więc to był ten sam laryngolog, który miał dyżur w teatrze, kiedy na generalnej próbie skręciłam tę fatalną nogę! Dobrze, przynajmniej ja mogę się ujawnić.

Otworzył mi on sam. - W jakiej sprawie?

- Pan doktor mnie nie pamięta? Jestem...

- Pamiętam - uciął dość sucho. Nic dziwnego, Mata Hari też była tancerką. - W jakiej sprawie?

Wpakowałam się nie proszona do przedpokoju.

- Ciężki przypadek.

- Zawieźcie do szpitala.

- Nie nadaje się.

Doktor przypatrzył mi się uważnie.

- No, to przywieźcie do mnie.

- Nie nadaje się.

- Proszę zaczekać.

Po chwili zjawił się z torbą lekarską. W milczeniu odbywaliśmy daleką drogę. Sabcia już stała w otwartych drzwiach. Na łóżku leżała kukła z zawiniętą głową i twarzą.

- Kiedy to się stało? Opatrywał fachowiec? - myjąc ręce spytał lekarz. Zdradził się w ten sposób, do jakich wypadków bywał wzywany.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął odwijać bandaż. Powoli wyłaniała się twarz Fryderyka Járosyego, rozstrzelanego przez gestapo.

Doktor Antonowicz pozostał lekarzem. Żadnej reakcji. Wyjął narzędzia.

- Ostre uszy - mruknął.

Po skończonych zabiegach wstał.

- Zaraz wrócę - powiedział i wyszedł.

Franciszek, choć uspokojony po wizycie lekarza, był nieco speszony. Spodziewał się innej reakcji na spotkanie...

Po godzinie doktor wrócił. Otworzył znów torbę, ale nie było w niej żadnych narzędzi ani materiałów opatrunkowych. Wyciągnął dwie półlitrowki, bochenek chleba i pęto kiełbasy. Umierający Franciszek jęknął:

- Akurat teraz, jak mnie nie wolno...

- Co to znaczy „nie wolno”?! Lekarz każe. I jemu pierwszemu nalał ćwierć szklanki.

- Zobaczymy, jak działa bimber na ostre uszy - dodał, kiedy wszyscy, razem z Sabcią i Pickwickiem, wychylili się za zdrowie chorego. Okazało się, że bardzo dobrze.

Odtąd do końca wojny nasz drogi przyjaciel leczył nas wszystkich, a po latach do spótki z młodziutką wtedy doktor Tulczyńską uratował życie mojej córce, której wielcy profesorowie postawili mylną diagnozę.

Tak wyglądał nasz dzień powszedni. Noce były o wiele ciekawsze.

Ustalił się zwyczaj, niemal obrządek, że kiedy Sabcia i Pickwick szli spać, my zaczynaliśmy część rozrywkową. Franuś i Jurek kładli się do łóżek, a ja musiałam ich bawić.

Zaczęło się któregoś wieczora po cięższym niż zazwyczaj dniu. Wiadomości z miasta były coraz tragiczniejsze. Odsyłam do „Kroniki” Landaua i do „Okupowanej Warszawy dnia powszedniego”



Szaroty. Zdaję sobie sprawę, że co do nas to można odnieść wrażenie, jakoby troje błaznów, najzupełniej wyobcowanych z otaczającego świata, wygłupiało się na różne sposoby. Zgadza się, staraliśmy się przeżyć w ten właśnie sposób i nie trzeba przecież informować, że przez cały czas siedziała w nas rozpacz, której ujawnianie nic nikomu by nie dało.

Niezależnie od innych zmartwień, codziennie siadaliśmy do obliczania, ile jesteśmy komu winni, od kogo pożyczyć, żeby komuś oddać, i co sprzedać.

Tu opowiem pewną zabawną historyjkę. Otóż, kiedy miałam lat siedemnaście, zostałam zaproszona przez ojca, docenta na uniwersytecie genewskim. Było to zresztą moje jedyne w życiu spotkanie z ojcem. Podczas spaceru nad jeziorem wyjął z krawata szpilkę z perłą, dał mi ją i powiedział:

- To błyskotka bez wartości. Dostałem ją na pamiątkę od mego studenta z Meksyku, który z kolei otrzymał ją od narzeczonej, ale ta narzeczona i tak go rzuciła. Daję ci ją na pamiątkę tego spaceru.

Przypięłam sobie szpilkę do bluzki, potem włożyłam ją do przyborów do szycia i więcej o niej nie myślałam. Rzucana przez tułaczy sublokatorski żywot po różnych mieszkaniach, traciłam część dobytku przy każdej przeprowadzce, ale pudełko z przyborami do szycia wędrowało cierpliwie ze mną. Szpilka od ojca była wetknięta razem z innymi szpilkami i igłami. Posługiwałam się nią czasem do przypięcia czegoś przy szyciu: była długa, więc dobrze trzymała. Franciszek zauważył ją, kiedy coś szyłam. Opowiedziałam jej historię. A właśnie przerzucaliśmy rzeczy, szukając czegoś do sprzedania.

- Słuchaj, ta szpilka na pewno jest srebrna. Idź do tego waszego znajomego Rochackiego, może weźmie, on kupuje srebro.

Romuald Rochacki - - twórca „Orno” i w przyszłości ojciec świetnego złotnika - był z bożej łaski artystą. Wykształcony w innym kierunku, robił przepiękną biżuterię ze srebra. Poznaliśmy go i jego czarującą żonę Agnieszkę już w czasie wojny. Byli to wspaniali ludzie, o czym miał się przekonać Franciszek w niedalekiej przyszłości.

Wzięłam szpilkę i poszłam do Roma.

Mam tu taką pamiąteczkę od ojca, czy ci się do czegoś nie przyda?

Rom obejrzał szpilkę i kazał mi przyjść za parę dni.

- Już wszystko wiem - - powiedział, kiedy się zjawiłam. -Perła jest wyjątkowej urody i wartości, a szpilka i oprawa platynowa. Ekspert chce ją kupić dla siebie.

Suma uzyskana za szpilkę do krawata od meksykańskiego studenta prawa, którego rzuciła narzeczona, pozwoliła nam opłacić zaległe komorne, dług w sklepiu i wszystkie długi zaciągnięte u znajomych.

Nie wyżylibyśmy z tego, co dostawał Jurandot za piosenki dla znajomych aktorów, więc oprócz lekcji u pani Hoffmannowej zaczęłam zarobkować robotą na drutach i szydełkiem. Zgłosiłam się do dawnych klientek z czasów dzemperków, przyjęły mnie bardzo dobrze i dały masę starych swetrów, które tak jak kiedyś pruć, odświeżałam włóczkę i robiłam im nowe rzeczy. Panowała wojenna moda noszenia butów narciarskich z odwinętymi kolorowymi skarpetami. Moją specjalnością stały się komplety: czapka, szal, rękawiczki i skarpety. Wróciłam do dawnego proceduru: z każdego

zamówienia podwędzałam trochę włóczki i wkrótce wszyscy mieliśmy ciepłe rzeczy, których tak nam brakowało. Wpadłam nawet na racjonalizatorski pomysł: kiedy nie starczało włóczki na skarpetki, robiłam same mankiety na buty, zupełnie szykownie to wyglądało. Trudno jednak było z tego wszystkiego utrzymać pięć osób. Franciszek stracił wszystko w opieczętowanym mieszkaniu na 6 Sierpnia.

W domu biednie, na zewnątrz strasznie. Z tym większą zaciętością praktykowaliśmy Franciszka szkołę walki z depresją.

## Noce na Złotej

Nasze nocne przedstawienia zaczęły się po rozpaczliwie ponurym, zimowym dniu. Franuś i Jurek leżeli już w łózkach. Kiedy wróciłam z łazienki, oświadczyli mi, że są publicznością, a ja mam ich bawić.

Zaczęłam od duszszczyptaliwych romansów cygańskich. Umiałam je od mamy, która - w przeciwieństwie do mnie - ślicznie śpiewała, zawsze wtedy miałam łzy w oczach. Z całą dobrą wolą zabrałam się do występu. Tańcząc i powiewając jedwabnym szalem Sabci, nastawiałam mój mysi głosik na ciemny alt a la mama i zawodziłam rozlewne cygańskie walce. Do dziś uważam, że jak na mnie śpiewałam bardzo dobrze. Ale cóż... te chamy pękały ze śmiechu, więc zaczęłam udawać, że to miała być parodia. I tak powstał pierwszy, jak dziś powiedzielibyśmy, serial pod tytułem „Obóz cygański”. Z rzewnych pieśni, które potem już tradycyjnie rozpoczynały nocne programy, Franciszek najbardziej lubił postać starego Cygana na bani, który ochrypłym głosem śpiewał:

Wcioraj w noci e koszmari  
E mendli mnie znów  
Że zupełnie e zasnąć e nie mogłem...

Była to wierna kopia ormiańskiego śpiewaka, którego słyszałam w którejś z knajp, gdzie kiedyś tańczyłam.

Lubił też Franciszek wróżkę kabalarkę, ale wróżącą nie z ręki, tylko z nogi.

- Powróżyć. Cyganka prawdę powie, podaj nóżkę, łaskawy panie...

Łaskawi panowie podawali nóżki, a moje wróżby zupełnie nie nadają się do druku.

- Cyganka, postaw karty!

Wzięłam dwie karty, oparłam je o siebie i postawiłam. Nie były to wybredne żarty, ale oni się bawili. Zwłaszcza Franciszek lubował się w dawaniu mi trudnych zadań i złośliwie czekał, jak też z tego wybrnę. Okazało się potem, że nie była to czysta złośliwość. On mnie jednocześnie egzaminował i uczył.

- Słuchaj, szarpió. Masz szesnaście lat i nieśmiałego wielbiciela, ale wszędzie musisz zabierać nieznośnego braciszka.

Powstała w ten sposób Julcia, na której potem oparłam cykl felietonów do „Przekroju” („Z pamiętnika uprzejmej”).

- Jesteś królową, rządysz państwem, ale potajemnie kochasz dzikiego marynarza.

Odtąd co wieczór musiałam walczyć z problemami królowej Nowej Szkarlatyny. Odgrywałam wszystkie postacie, dobieierałam rekwizyty, był to w całym znaczeniu tego pojęcia teatr jednego aktora.

Oto fragment listu Franciszka z 46 roku, kiedy posłałam mu swoje zdjęcie.

„(...) patrzę na te tak drogie, bliskie mi «profesorskie» oczy, mrużone, kiedy po królewsku mówią z dzikim, namiętym marynarzem i beznadziejnie bezradne, kiedy należą do Julci z Piotrkowa, kiedy walczy ze swoim bratyszkiem w kino, i tak sercekrąjąco smutne, kiedy mnie się pytały (okrutny refren!): «Czy to znaczy, że można już spojcojnie chodzić po ulicy?»»,..

Najlepsza była jednak zabawa w Bronka Malinowskiego.

W ostatnim czasie przed wojną ogromną karierę zrobiła znakomita zresztą książka wybitnego etnografa Bronisława Malinowskiego „Życie seksualne dzikich”, gdzie bardzo plastycznie opisuje on obyczaje erotyczne na Wyspach Trobriandzkich. Franciszek kazał mi referować poszczególne rozdziały w różnych postaciach: jako naiwna młoda okularnica bez poczucia humoru, jako tancerka, jako snobistyczna dama, jako demoniczna uwodzicielka i już nie pamiętam co.

Kiedy nie wytrzymał i zaczął mi robić uwagi, wyszło na jaw, że nie traci czasu i usiłuje mnie ukształtować na przyszłą scenę.

- Myślałam, że naprawdę się bawisz - powiedziałam rozczarowana.

- Gdyby mnie to nie bawiło, nie zajmowałbym się. Pomyśl, szarpió, jakie masz szczęście, że jest wojna. Masz sama dla siebie swojego ukochanego direktora, rozumiesz?

Rozumiałam, i to jeszcze jak!

Dla mnie jednak te seanse miały największą wartość w tym, że na parę nocnych godzin rozptywał się Franciszek i miałam przed sobą prawdziwego Járosyego z jego uważnym, krytycznym spojrzeniem, że w szybkich, celnych uwagach odnajdywałam atmosferę pracy w teatrze, w ciągu dnia tak daleką i nierzeczywistą.

--Pamiętaj, że jesteś jednostronna i musisz zawsze grać siebie. Na szczęście, masz profesorskie oczy, co przy głupiej minie automatycznie da „granie z boku”.

Te problemy aktorstwa nie były tak przedyskutowane jak teraz, więc nie bardzo rozumiałam.

- Wolno ci grać wszystkie role, ale w cudzysłowie. Zresztą, o co pytasz? Jesteś Pan Jourdain: właśnie role w naszych nocnych programach grasz w ten sposób. Ale poważnie mówiąc, widzę twoją aktorską przyszłość głównie w tworzeniu własnych tekstów. Jeżeli potrafisz pisać dla siebie, potrafisz to zagrać.

Mówił to, kiedy byłam autorką jednego skeczu i jednej piosenki, i absolutnie nic prócz nocnych wygłupów nie wskazywało na jakiegokolwiek moje możliwości w tym kierunku. Coś jednak musiało w tym być, bo kiedy zaraz po wojnie, zwykłym zresztą przypadkiem, zaczęłam pisać, opierałam się często na ówczesnych moich improwizacjach. Przez cały czterdziestoletni okres pracy zawodowej aż do dziś przyłapuję się nieraz na wpływach tego krótkiego terminowania autorsko-aktorskiego na Złotej. Pomaga mi to zwłaszcza na spotkaniach z czytelnikami.

Franciszek miał na po wojnie plan, który - niestety, jakże słusznie - uważałam za zbyt cudowny, żeby miał się spełnić. Otóż, poza teatrem postanowił otworzyć „Kawiarnię Járosyego”, gdzie on byłby gospodarzem, natomiast ja czymś w rodzaju jego pomocnicy, a raczej, jak mówił, przeszkódniczy. Miałam grać zawsze tego samego typka, ale innego niż w teatrze. Tu mieliśmy oboje nawiązać kontakt z publicznością, co w kameralnych warunkach kawiarni powinno było się udać. Już na Złotej

bawiliśmy się, robiąc wprawki: on coś opowiadał, a ja wpadałam mu w słowo, nie rozumiałam dowcipów, kładłam mu żarty.

- Ja będę miał napisaną podstawę tekstu, od czego jest Jurek.

A ty będziesz improwizować, bo jak masz nauczone, od razu robią ci się tępe oczy.

Zostało mi to do dziś.

„Kawiarnia Járosyego” została w sferze marzeń, ale dla mnie przez całą okupację była jednym z ważniejszych celów przeżycia wojny. W najstraszniejszych chwilach wyobrażałam sobie, jak będzie urządzona, widziałam naszego drogiego zabiedzonego Franciszka w roli Járosyego, eleganckiego, najedzonego, pachnącego znów lawendą Yardleya, przeczekującego brawa, uśmiechającego się, prawdziwego, bez ohydneho wąsika, głupich okularów i kennkarty na nazwisko Nowaczek.

W owym czasie grupa muzyków organizowała program w jednym z lokali. Miał tam grać dziewięcioosobowy zespół złożony ze świetnych, w tym czasie bezrobotnych, instrumentalistów pod dyktando Iwo Wesby'ego, który prowadził niegdyś orkiestrę w „Qui pro quo”. Iwo pamiętał mnie jako dziewczynę w „Cyganiach” i w innych teatrach. Zaproponował mi udział z dwoma numerami tanecznymi. Zgodziłam się z entuzjazmem. Lokal miał charakter dancingu z alkoholem i befsztykami, co w tych czasach automatycznie wykluczało wszelką lepszą publiczność. W dodatku sala ogromna, zimna i niesympatyczna. Nie było co liczyć na cień choćby zadowolenia artystycznego i nikt na to nie liczył. Dla naszej rodziny jednak mógł to być odpoczynek od wieczornych narad, skąd jutro wytrasnąć na obiad. Chociaż obiecano mi ledwie najskromniejszy udział w procentach od biletów wstępu, w naszych warunkach i to było dobre.

Za radą Franciszka postanowiłam tańczyć moją starą, wypróbowaną „Plegarię” i rumbę z marakasami.

Nie powinnam się do tego przyznawać, ale pomimo wszystko cieszyłam się niechby choć taką perspektywą występów. Stęskniłam się za tańczeniem na scenie, była to moja pierwsza przerwa od czternastego roku życia. Co do chałtury w knajpach, nie bałam się tego. Poznałam je w okresach bezrobocia w teatrach. Umiałam oganiać się od pijaków i nie słuchać głośnych uwag podczas tańca. Wstyd powiedzieć... Były poważniejsze zmartwienia, ale naprawdę dziś nikt nie zrozumie, co wtedy dla mnie znaczyła nadzieja wychodzenia codziennie z domu na występy, siedzenia w garderobie. Bardzo potrzebowałam oderwania od mojego ówczesnego życia i jego problemów.

Odświeżyłam kostiumy, byłam na paru próbach i czekałam na premierę, a razem ze mną cieszyli się Sabciowie, Franciszek i oczywiście Jurek. Oni mnie rozumieli.

I oto na kilka dni przed premierą wezwał mnie Iwek Wesby. - Słuchaj, jest niedobrze. Pan Henio - tak nazywał się właściciel lokalu - domaga się refrenistki. Kalkulacja programu nie wytrzyma dodatkowej osoby. Sama zdajesz sobie sprawę, że ty jesteś z brzoza... Mówię tak, jak jest. Panu Heniowi nawet się podobasz, ale powiedział: „Gdyby ona wychodziła do gości, to co innego, ale tańczyć to u mnie goście sami tańczą”.

Ze łzami w oczach pobiegłam do domu. Franuś wysłuchał i spytał:

- Czy oni już mają refrenistkę?

- Nie wiem, bo co?
- Leć natychmiast i powiedz Iwkowi, że ty możesz śpiewać.
- Coś ty! Ja?
- Przecież ona nie umie śpiewać! - powiedział Jurek.
- Nie umie, to się nauczy - powiedział Franus.
- Za kilka dni premiera!
- Tym bardziej nie trać czasu... tylko pędź do Iwa. No, co stoisz?

Refrenistki jeszcze nie mieli i Iwo bardzo się ucieszył z mojej oferty. Nie dlatego, żeby pokładał wielkie nadzieje w moich talentach, ale wiedział, że za takie pieniądze w ogóle nikogo nie dostanie.

Wróciłam do domu z grobową miną.

- Aleś mnie wrobił! Od jutra mam przychodzić na próby orkiestry. Ciekawe, czy mnie wyrzucą od razu, czy dopiero po premierze.
- Może wyrzucą, ale postaraj się, żeby chociaż niesprawiedliwie - mruknął Franciszek z najbardziej sataniczną miną nieboszczyka Járosyego.

Tej nocy nie położyliśmy się spać, pracowaliśmy do rana.

- Wszystko jedno, czy masz śpiewać, czy myć podłogę. Jeżeli podejmujesz się robić coś, co nie jest twoją specjalnością, rozważ, co masz na swoją korzyść.
- Przecież ja nie mam głosu! Nie mówiłem: rozważ, czego nie masz, tylko - - co masz. No?
- Umiem się ruszać.
- Porządnie mówić umiesz?
- Umiem.

To dwa. Jesteś młoda i masz jakie takie warunki.

- Też komplement!

Potrafisz być śmieszna. Gospodaruj tym wszystkim. Tu wtrączę, że kiedy przyszły na mnie o wiele gorsze czasy i dostałam chałturę przy myciu podłóg w wielkich halach po remoncie, przypominałam sobie uwagę Franciszka. Przypatrzyłam się zawodowym sprzątaczkom, które już tu pracowały. One miały więcej wprawy, a ja inteligencji. Posłużyłam się nią, wynalazłam sposób na cztery ścierki i niewiele odstawałam od koleżanek. Dla ironistek zaznaczam, że to była zupełnie inna praca, niż umyć podłogę u siebie w kuchni.

W ciągu tamtej nocy Franciszek bez końca przesłuchiwał mnie z piosenek, których teksty dał mi Iwo. Były to najpopularniejsze przeboje, znałam je wszystkie. Nauczył mnie tuszować braki i wysuwać walory. Wtedy refrenistki nie dreptały i nie kręciły się tak jak teraz, no i nie było mikrofonu, więc

technika śpiewania była zupełnie inna. To, że ja podtańcowywałam przez cały czas, że śpiewając krążyłam wśród orkiestry, odciągało uwagę od moich braków. Dostałam też od Franciszka dobrą lekcję parlandowania, sposoby przechodzenia od zwrotki do refrenu i to wszystko rzeczywiście uratowało mnie od klęski. Nigdy nie zostałam dobrą piosenkarką, ale aż do choroby strun głosowych całkiem poprawnie wykonywałam wiele numerów muzycznych jeszcze w powojennej „Syrenie”.

Co jeszcze wymyślił Franciszek?

- Zaproponuj, że za te same pieniądze zatańczysz na początku „Plegarię”. Zrobisz sobie kredyt.

Przyjęto mnie. Co więcej, oszukany przez Franciszka pan Henio sądząc, że ma do czynienia z lepszą czy gorszą, ale zawodową piosenkarką, zaproponował mi w drugim programie występ „w swoim repertuarze”...

- To zamiast tego tańca na początku. Po co pani ma się tak męczyć?

Jeszcze biedak obiecał niewielką podwyżkę! Iwo zbladł, kiedy mu o tym powiedziałam.

- W swoim repertuarze... - jęknął.

Nie wiedział, że mam w domu własnego reżysera i osobistego kierownika literackiego.

Reżyser jak zawsze znalazł się na wysokości zadania. Nie płakał, nie drwił, tylko bez namysłu powiedział do kierownika literackiego:

- Piosenki Stefci Górskiej.

Zaczęło się ustawianie dwóch piosenek, które Jurek napisał dla Stefci w ostatnim sezonie „Cyrulika”: „Dał mi w mordę” i „Ja jestem pies na to”. Dla Stefci nie była to żadna konkurencja. Lokal podrzędny, wykonawczynie też. Zresztą, Franuś ustawił mi piosenki zupełnie inaczej niż Górskiej, której żywiołowości i talentu Bozia mi poskąpiła. Wspólny w obu koncepcjach był tylko taniec. Śpiewałam te piosenki potem w wielu okolicznościach, nawet na powojennych chałturach, ale zawsze zapowiadałam: „z repertuaru Stefci Górskiej”.

Choć dzięki własnemu domowemu kierownictwu wyszłam z tarapatów obronną ręką, lokal po drugim programie zbankrutował. W każdym razie mam pewność, że nie z powodu mojej gaży. Choć praca nie była wdzięczna, rozeszliśmy się z żalem.

Bardzo byłem zadowolony - oświadczył mi pan Henio. - Po wojnie otworzę taki sam lokal i zaangażuję panią na stałe. Tańczyć pani nie będzie musiała. Na razie otwieram sklepik z warzywami na Pradze, spokojniejsze życie i lepszy zarobek.

Przy okazji naszych prób i rozmów łowiłam czujnie wszystko, co mówił Franciszek na tematy zawodowe.

- Jak zobaczysz na scenie, a zwłaszcza na estradzie wykonawczynię, która ma łokcie przyklejone do boków i wszystkie gesty wykonuje przedramieniem, to żebyś wiedziała, że to amatorka.

Profesjonalistka ma gest od ramion, śmiały, otwarty, nawet jeśli ma być niewielki. Amator robi wszystko albo do połowy, albo na półtora. Za mało lub za dużo. Ruchu, mimiki, głosu. Albo się kuli, pochylony naprzód, jakby mu było zimno, albo się puszy z wypiętą piersią. W sam raz - to

profesjonalista. Zauważ, jak dialogują amatorzy lub bardzo początkujący: kiedy mówią do partnera, nie tylko wpatrują się, w niego, jakby go chcieli zjeść, ale jeszcze pochylają się w jego stronę.

Kiedyś Franciszek przypomniał nam, jak zaangażował piosenkarkę bardzo ładnie śpiewającą, ale zupełnie nie umiejącą się poruszać.

- Najtrudniej zresztą jest stać na scenie z normalnie opuszczonymi rękami i przy tym nie wyglądać, jakby się właśnie zgubiło torebkę.

Otóż owa piosenkarka bez przerwy machała rękami w różne strony, kiedy miała w tekście „skinął palcem”, to kiwała palcem, przy każdym „sercu” albo „miłości” kładła dłoń na lewej piersi. Járosy wezwał znakomitego scenografa wszystkich jego teatrów, Józefa Galewskiego:

- Masz zadanie. Wbuduj pannę X w dekorację.

Pan Józef „wbudował”, a że dziewczyna była przystojna i żeby nie wiem jak chciała, nie mogła drgnąć nie demolując swego portu gdyńskiego, wszyscy podziwiali wspaniały pomysł dekoracyjny i numer bardzo się podobał.

- Błagam cię jeszcze, żebyś przez całe swoje sceniczne życie pamiętała: jak ci doręczą list czy telegram, po przeczytaniu nie uderzaj w niego zewnętrzną stroną prawej dłoni!

Po kilku latach, kiedy miałam zaszczyt i szczęście pracować pod kierunkiem Stanisławy Perzanowskiej, poszliśmy razem na gościnny występ sławnego, wielkiego, znakomitego aktora spoza Warszawy. Dali mu list. Przeczytał i trzepnął go zewnętrzną stroną prawej dłoni.

- Po tym poznasz prowincję - szepnęła Stasia, dla której nie było bogów.

Utkwiła mi w pamięci jeszcze jedna uwaga, którą słyszałam od Járosyego i od Stasi.

Nieraz podczas naszych rozmów na Złotej plotkowaliśmy sobie o kolegach.

- Nie mogę na niego patrzeć - powiedział Franciszek o jednym z ulubieńców publiczności.

- Dlaczego?

- Bo na scenie wyciąga wciąż mankiety koszuli. Przypomniało mi się to, kiedy na generalnej próbie w „Syrenie” Stasia podniosła krzyk na bardzo dobrego zresztą aktora.

- Jak jeszcze raz wyciągniesz te mankiety, będziesz grał w smokingu na gołe ciało!

Franciszek miał obsesję na temat „spokojnego oka”.

- Wszystko jedno, czy śpiewasz piosenkę, czy recytujesz wiersz, czy mówisz monolog. Panuj nad oczami! Wielu niezłych nawet wykonawców ma latające oczy. Ktoś z boku odwija cukierek, już oko leci. Grozi dziura w tekście, już oko niespokojne. Ale pół biedy, jeśli jest powód. Najczęściej bez żadnych powodów i nawet bez świadomości oczy wciąż się ruszają, patrzą to tu, to tam, czyli nigdzie. Spokojnie i świadomie patrzące oczy to warunek utrzymania w ręku publiczności.

I pomyśleć, że wtedy nie było telewizji z bezlitosnymi zbliżeniami.



- Spojrzenie to nieoceniony środek porozumienia z widzami. Masz zdanie, które chciałybyś powiedzieć jak gdyby w zaufaniu. Nie musisz wcale zniżyć głosu ani, broń Boże, pochylać się w stronę publiczności. Wystarczy, że zwrócisz same oczy w bok pierwszego rzędu i już będzie to wiadomość tylko dla niektórych. Innym razem ma być dobitnie, ważnie. Nie potrzebujesz wrzeszczeć. Mów normalnie, ale patrz otwartym spojrzeniem na balkon. No i mówiłaś cały monolog z jednakowym natężeniem głosu, a widz przysięgnie, że raz szeptałaś, a raz krzyczałaś.

W czasie naszych nocnych „poleżeń” staraliśmy się przeciwdziałać codziennej ponurości naszego życia, wspominając różne wydarzenia, którymi niegdyś syciła się chronique scandaleuse naszego otoczenia.

Jedną z ulubionych historyjek była sprawa aktora P., który oskarżył ówczesnego prominenta o pobicie. Pan P. mieszkał we wspólnym pokoju z Edmundem Minowiczem, członkiem zespołów Járosyego nieprzerwanie od „Qui pro quo” aż do roku 39. Był to bardzo dobry aktor, a przede wszystkim lubiany, dobry, bezkonfliktowy człowiek, zawsze spokojny, pogodny, niezwykle koleżeński i bezinteresowny, ponadto - jak na aktora - pozbawiony wszelkiej drapieżności. Został zamordowany przez Niemców. Choć takie błahe, pewnie będzie to jedyne o nim wspomnienie...

Działo się to gdzieś na przełomie dwudziestych i trzydziestych lat. Pan P. miał romans z żoną wspomnianego prominenta. Niestety, piękna pani mogła przychodzić na romantyczne spotkania tylko w godzinach rannych pod pozorem bywania u kosmetyczki czy innej masażystki. Mundek Minowicz wychodził na próbę dopiero o dziesiątej, więc trudno było wymagać, żeby się kręcił po ulicy. Zresztą, para była tak zatokowana, że nie zwracała uwagi na współlokatora, siedzącego cichutko w swoim kąciku za szafą, czytającego albo uczącego się roli.

Pewnego dnia rozległo się walenie i kopanie w drzwi, po chwili zostały one wyważone i do pokoju wpadł mąż prominenta, zastając zakochanych w krytycznej sytuacji. Jak na prominenta przystało, zbił honorowo pana P., zabrał niewierną i poszedł.

Pan P. poddał się obdukcji i zaskarżył prominenta do sądu. Minowicz został powołany przez oskarżonego na świadka na okoliczność emocjonalnego powodu masakry.

- Czy świadek znajdował się w pokoju dnia tego i tego o godzinie tej i tej?

- Tak.

- Co świadek zauważył?

- Nic.

- Kto znajdował się w pokoju oprócz świadka?

- Nie mam pojęcia.

- Czy ktoś wszedł? A może przedtem walił w drzwi? A może je wyważył?

- Nie zauważyłem.

- Co świadek takiego robił, że był w pokoju i „nie zauważył”?

- Czytałem gazetę.

Jak już wspomniałam, Mundek był człowiekiem bezkonfliktowym. Zwrot „czytałem gazetę” zrobił karierę. Jeszcze w moich czasach używano go, kiedy ktoś udawał głupiego.

Parę lat później rozegrała się jeszcze smaczniej komentowana scenka, której bohaterem był sam Járosy.

Wbrew opinii był on w miarę wiernym i bardzo lojalnym partnerem swoich oficjalnych pań, co nie było takie proste, zważywszy jego wzięcie. Jeżeli nawet bywały przelotne skoki w bok, nie miały one znaczenia i gdy tylko dama nie rozgadała, zostawały na zawsze tajemnicą. Zdarzało się jednak, że po latach postanawiał związek zakończyć. Dokładał wtedy wszelkich starań, aby pani była przekonana, że to ona jego opuszcza. Udawało się to raz lepiej, raz gorzej, faktem jest, że pomimo ognistego temperamentu wszystkich jego partnerek pozostał z nimi w przyjaźni i wzajemnej życzliwości na zawsze.

Opisywane wydarzenie stało się właśnie w okresie poprzedzającym zamierzoną zmianę. Járosy miał już nawiązaną następczynię, ale było to w najwyższym stopniu nieoficjalne. Chciał postąpić z obecną elegancko jak zawsze, a na to potrzebował jeszcze czasu.

W „Cyruliku” był zwyczaj przychodzenia po próbie na przedobiednią kawę na Mazowiecką do pobliskiej „Ziemiańskiej”. Tego dnia przy „Cyrulikowym” stoliku siedziało kilka osób z teatru, między innymi Járosy i - oczywiście niezależnie - nie podejrzewana przez nikogo nowa. Była to naturalnie, jak zwykle, koleżanka z teatru. Járosy nigdy nie wiązał się z paniami „z publiczności”.

- To może być dobre, żeby raz pojechać za miasto na szampana - mówił - ale na stałe być za małpę to dla mnie zbyt męczące. Łączyć dwa różne towarzystwa, wpakować się w jakąś cywilną rodzinę, o nie.

No i siedzą sobie w tej „Ziemiańskiej”, siedzą, aż tu nagle (jak się mówi w bajkach) zjawia się... nie, nie wilk, ale znacznie gorzej. Zjawia się pani aktualna w dostrzegalnym na pierwszy rzut oka fatalnym humorze i z parasolką w ręku.

Do dziś nie wiadomo, w jaki sposób dowiedziała się o przyszłej. W każdym razie zbita ją parasolką w sposób o wiele mniej dotkliwy, niż ów prominent od Minowicza stłukł był pana P. Jednak nawet ten niewinny incydent wystarczył, żeby wywołać poruszenie na sali. Obie panie nie szczędziły sobie gorzkich wymówek, przy czym często padało imię Járosyego. Kiedy spacyfikowano zawodniczki, okazało się, że bohater zajścia ulotnił się po cichu, absolutnie do niczego się nie wtrącając.

W normalnych czasach nigdy nie odważyłabym się zahaczać o tę historię, ale na Złotej nie istniały tematy tabu.

- To było dla mnie jedyne możliwe wyjście z sytuacji - odpowiedział na moje wątpliwości. - Bo pomyśl: musiałbym przecież stanąć po czyjejś stronie. Gdybym bronił bitej, byłbym nielojalny w stosunku do mojej jeszcze wówczas prawowitej przyjaciółki, a niezależnie od tego oberwałbym i ja. Gdybym wyszedł z bijącą, do końca życia słyszałbym wymówki od tej, z którą zamierzałem się połączyć. Gdybym je rozdzielał, mówiąc słodko: „ależ, drogie panie”, obie zgodnie dałyby mi po łbie. Prawdziwy dżentelmen odznacza się tym, że potrafi zniknąć, kiedy to jest wskazane.

Okazało się później, że mieliśmy rozum wygłupiając się i starając się zachować pogodę przez cały, tak przecież ciężki czas Złotej, który potem wydawał nam się rajem utraconym.

## Reichsdeutsch w getcie

Niebawem z takim trudem stworzona i utrzymywana namiastka stabilizacji miała się skończyć. Dalsze wojenne losy rozwały małe mieszkanko na Złotej. Opisywanie ich byłoby zbyt skomplikowane, a czytanie opisu nużące. W dodatku dotyczyły one Járosyego tylko w skutkach. Trzeba było zatroszczyć się o rodziców i o siebie, ale przede wszystkim „sprzedać” Franciszka. Stała przed nami konieczność szybkiej likwidacji całej naszej dotychczasowej egzystencji i zupełny brak pomysłu, co zrobić ze sobą, a cóż dopiero z nim. Kolejne, trafiające w nas kataklizmy nakazywały pośpiech, tymczasem ewentualne lokum dla niego musiało spełniać surowsze warunki niż dla innych ukrywających się. Najpierw trzeba było znaleźć ludzi gotowych zaryzykować życie całej swojej rodziny dla obcego człowieka. Przyjaciele z teatru, jak choćby Stefcia Górka, nie wchodził w rachubę: za dużo tam się kręciło wspólnych znajomych. Doktor Antonowicz był lekarzem, niejednokrotnie przyprawiano go do niego osoby potrzebujące nagłej pomocy z najrozmaitszych powodów i nigdy nie było wiadomo, kto w ślad za takim pacjentem może się zjawić. Tadzio Żerowski siedział już wtedy w Oświęcimiu. Sprawa nie wyglądała wesoło.

Owszem, ukrywano z narażeniem życia nie zarejestrowanych oficerów i innych spalonych, a przede wszystkim Żydów. Jeśli jednak wygląd nie rzucał się w oczy, a dokumenty były jak prawdziwe, istniała nadzieja ocalenia. Niektórzy nawet pracowali pod fałszywymi nazwiskami, co do innych umawiano się, że na przykład gospodarze w dobrej wierze wynajęli pokój i w „szczęśliwym” wypadku ofiarą wyspy padał tylko winowajca.

Z Járosym takie numery nie miały żadnych szans. Nie można go było przedstawiać jako krewnego z prowincji ani w żadnym innym legalnym charakterze. Mimo zmienionego wyglądu miał wypisane na twarzy swoje sensacyjne personalia, a cóż dopiero, gdyby otworzył usta...

I tu następuje najzabawniejszy (choć nie jest to określenie całkiem adekwatne) okres jego przeżyć okupacyjnych.

Istniała w Warszawie dzielnica, gdzie życie wprawdzie było okrutne, a warunki najcięższe, ale gestapo na razie nie interesowało się pojedynczymi mieszkańcami. Jak łatwo się domyślić, chodziło o getto. Niemcy wiedzieli od początku, że całe to półmilionowe miasto zostanie wkrótce hurtowo zlikwidowane, więc nie zadawali sobie trudu tępienia pojedynczych mieszkańców, zresztą, pracę detaliczną pełnili na razie tyfus i głód. Stąd pozornie paradoksalny wniosek, że jeżeli trzeba znaleźć dla kogoś chwilowe schronienie, najpewniej będzie właśnie na tym dniu okupacyjnego upadku.

Franciszek, ani na chwilę nie tracąc poczucia humoru, powędrował więc przez Sądy na Lesznie - najczęściej wówczas używaną nielegalną drogą - do getta i zamieszkał u przyjaciół. Nie był on jedynym, który poszedł tam dobrowolnie.

Hitler stłoczył ortodoksów, osoby nie znające polskiego, tych, co w dowodach osobistych pisali „narodowość żydowska”, razem z Polakami, którzy dopiero przy tej okazji dowiadywali się, że jakiś dawno zmarły dziadzio czy babcia wyznawali religię mojżeszową. W getcie doskonale prosperowały dwa kościoły, a na niedzielnych mszach był taki sam tłok jak w całej Warszawie. Chodziły do kościoła również osoby zazwyczaj nie praktykujące. Było to zaznaczenie polskości, gdyż inne sposoby nie istniały. Możliwość dotarcia do pracy konspiracyjnej ukazała się dopiero znacznie później.

Dwaj bohaterscy księża - ksiądz Godlewski i ksiądz Puder (ten ostatni pochodzenia żydowskiego) - pomagali jak tylko mogli, i to nie tylko swoim parafianom. W getcie mieszkało wiele małżeństw mieszanych: jeśli współmałżonek „aryjczyk” nie był w stanie przechować męża czy żony „po tamtej stronie”, jak się mówiło, często szedł razem do getta, a były wypadki, że razem ginęli.

Tak więc, jak już wspominałam, nasz Franuś nie był jedynym dobrowolnym mieszkańcem tej strasznej dzielnicy.

Dlaczego ten okres jego biografii nazwałam zabawnym? Bo jak inaczej nazwać sytuację, kiedy wierzący i religijny katolik, posiadacz aryjskich przodków, uznany przez gestapo za Reichsdeutscha, nęcony obietnicą wszelkich dóbr w postaci otrzymania teatru, pakuje się do getta?

Franciszek nie miał już tam takich luksusów jak łazienka do chowania się. W jednopokojowym mieszkaniu łazienki ani kuchni nie było. Gospodarze przesunęli szafę przed małą kanapkę, tworząc w ten sposób ścianę. Wylot tej, nazwijmy to, celi z boku szafy zastawiono blaszaną umywalką z miednicą i dzbankiem, a potem specjalnie niestarannie zasłonięto skąpą kotarką. Kto tu wchodził, widział, że to kącik do mycia, i dyskretnie nie zaglądał.

Na tej kanapce spędził Franciszek długie tygodnie, wspominając idylliczne czasy, kiedy podczas pierwszej wizyty Żeromskiego martwiliśmy się, jak wytrzyma kilkanaście minut bez kichnięcia czy głośniejszego oddechu.

- Po wojnie będę mógł w filmach i sztukach kryminalnych grać trupa, który długo leży na widoku. Przez parę godzin mi się pierś nie poruszy, jestem rutyniarzem - chwalił się.

W okupację jak w okupację: żaden stan nie mógł trwać, każdy urywał się w sposób mniej lub bardziej dramatyczny. I tu nadszedł dzień, kiedy znów trzeba było upychać Franusia. Pauperyzacja rodzin inteligentnych w getcie rażno postępowała i gospodarze jego byli zmuszeni przyjąć do pokoiku trzyosobową rodzinę wysiedloną z Otwocka. W tej dzielnicy nie istniały granice pogarszania się warunków życia. Nie było mowy o dalszym ukrywaniu tam Franciszka.

## Różowa żyrafa z asem karo w pysku

Nadchodził trzeci rok wojny. Wszyscy znajomi tonęli we własnych tarapatach. Nie istnieli już wtedy godni zaufania ludzie, którzy mieliby „czyste” mieszkanie, którzy sami nie byliby wkręceni w nielegalność. A jeżeli ktoś do tej pory był absolutnie „czysty”, to nie był godny zaufania, nie mówiąc już o tym, że tacy ludzie nie wzięliby Franciszka.

Gdyby znaleźli się porządni i odważni ludzie, musieliby jeszcze mieć takie warunki mieszkaniowe, które pozwoliłyby na ukrycie Franusia przed najbliższymi, rodziną, przyjaciółmi. Osoba jego była zbyt interesująca, aby ten czy ów, nawet najlepszy człowiek nie zwierzył się z takiej sensacji w największej tajemnicy chociażby żonie.

Nie znaleźliśmy jeszcze wtedy domku Kijkowskich na ulicy Wiejskiej w Gołąbkach. Domku, nad którego wejściem powinna być widnieć parafraza Dantego: „Odzyskajcie nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie...”

W „Cyruliku” kiedyś miał wielkie powodzenie taki skecz: do sklepu z materiałami wchodzi klientka.

- Proszę o materiał w zieloną kratę na fioletowym tle.

Sprzedawca natychmiast ściąga odpowiednią belę z półki i rozwija na ladzie.

- Proszę bardzo.

- Nie. Wolę w niebieskie róże.

- Proszę. W niebieskie róże.

- Albo w zielone ptaszki.

- Uprzejmie proszę.

Kapryśnica wymyśla najdziwniejsze wzory, sprzedawca rozwija odpowiedni materiał. Wreszcie klientka syczy:

- W różowe żyrafy z asem karo w pysku!

- Proszę bardzo, szanowna pani - na ladzie zjawia się materiał w różowe żyrafy z asem karo w pysku.

Klientka wybuchła płaczem, wali sprzedawcę w mordę i wybiega ze sklepu.

Kiedy podczas jednej z narad nad kandydatami na przechowywaczy Franuś powiedział: „To musi być różowa żyrafa z asem karo w pysku”, od razu się zrozumieliśmy.

W okupowanej Warszawie, jak w sklepie ze skeczu, nie było rzeczy niemożliwych. Znalazła się różowa żyrafa z asem karo w pysku.

Jeszcze w pierwszym roku wojny przez naszego konspiracyjnego szefa poznaliśmy Romualda i Agnieszkę Rochackich. O Romualdzie była już mowa przy okazji sprzedaży perty od mojego ojca. Jego żona Agnieszka, młoda kobieta o wyjątkowym uroku, na tle chamiejącego społeczeństwa była

zupełnie niezwykła. Zwróciłam na to uwagę po raz pierwszy, kiedy powiedziałam o kimś „ten facet” i Agnieszka zareagowała:

- Nie mów tak, nie lubię grubiańskich słów. Sama mówiła ślicznie. Miała delikatny głos i kruchą urodę, robiła wrażenie kobieciątka, a była to osoba twarda, odważna i dzielna. Rom był niby nieco mrukliwy, ale kiedy uśmiechał się, miało się ochotę natychmiast pocałować go w policzek.

Mieszkali na Nowym Świecie 22, w samym niebezpiecznym centrum. W niedużym mieszkanku panował nieustanny ruch. Ile razy tam się wchodziło, zastawało się coraz innych ludzi. Siedzieli, pili eratzherbatkę, jedni wychodzili, inni wchodziłi, jedni mieli interesy do Roma, inni do Agnieszki, nikt nikogo o nic nie pytał, nikt się nikomu nie przedstawiał. Znałam takie domy, ale to były mieszkania konspiracyjne, było wiadomo, w jakich mniej więcej sprawach tam się przychodzi, obowiązywały ścisłe zasady, nie działo się nic z przypadku, no, raczej nie powinno, choć różnie bywało. Do Rochackich włąził, kto chciał. W kącie siedziało parę pań podających sobie przepisy na pachnącą jajecnicę ze śmierzdzących jajek, jakieś dziwne typy załatwiały z Romem sprzedaż potrzebnego mu srebra (co pachniało Oświęcimiem), w kuchni gorączkował się młody człowiek w kurtce ze skórzanym paskiem i w oficerkach - mundurku konspiratorskim. W tym wszystkim pływała uprzejmie uśmiechnięta Agnieszka, odprowadzając jednych, wpuszczając innych i regulując ruch z gracją milicjantki na skrzyżowaniu dwóch arterii. Ona jedna chyba orientowała się, kto po co, wszystkich pamiętała, nic nie pomyliła.

Kiedyś spotkała nas tam przemiła niespodzianka: przy stole siedziała Basia Ludwiżanka ze swym mężem, Władysławem Hańczą. Rzuciliśmy się sobie na szyję i potem spędziliśmy razem niejedną godzinkę u Rochackich, ale dotychczas nie wiem, co oni tam robili. Przychodził Konstanty Wojciechowski, zwany Kotem, ze swą byłą żoną Janką, która niebawem miała odegrać dużą rolę w życiu Franciszka.

Mieliśmy nóż na gardle. Powzięłam postanowienie. Ten dom, choć przeczący zasadom konspiracji, nie był domem idiotów i można było zawierzyć nie tylko ofiarności, ale i rozsądkowi gospodarzy. Zresztą, jak mówi stara anegdota: zapytać się nie wolno?

Młody człowiek z małego miasteczka przyjechał do stolicy, żądny przygód. Zaczepia pierwszą spotkaną kobietę i pyta:

- K...a?

- Ty chamie! - i dostaje tęgą policzek.

- Zapytać się nie wolno? - dziwi się młodzieniec.

Otóż ja zapytałam. A raczej, zamknąwszy się z Agnieszką i Romem w kuchni, powiedziałam:

- Mam do sprzedania jeden z najbardziej trefnych towarów w Warszawie.

- Coś czy ktoś? - spytał Rom.

- Ktoś. Musicie decydować na ślepo. Dotknięty będzie uważany za kupiony.

- Dziwny warunek... Sama rozumiesz, brać człowieka... ma dobre papiery?

- Znakomite. Ale tylko jak trafi na idiotę.

- Na długo?

- Do końca wojny albo do wpadki. Nawet dzielni Rochaccy łypnęli oczyma.

- Wiem, że wam się nie przelewa, ale wolę od razu uprzedzić, że on nic nie ma. Z każdego naszego zarobku będziemy przynosić połowę.

- Znaleźli się milionerzy - mruknął Rom. - Nie trzeba nam waszych nieuczciwie zarobionych pieniędzy. Agnieszka doleje wody do zupy.

- Zdaje się, że już postanowiłeś - wtrąciła gniewnie Agnieszka - a może ja też mam coś do powiedzenia? Wrzucasz mi na głowę obcego osobnika, jak go zobaczymy, to już nie będzie można się wycofać, karmić go, odziewać, a do tego może być przykry.

- Agnieszko, jeżeli masz wątpliwości -: zawołałam gorąco - to nie było rozmowy...

- A kto mówi, że mam wątpliwości? - oburzyła się. - Kiedy go przyprowadzisz?

- Choćby jutro.

- Tylko uprzedź tego, jak ty to mówisz?, faceta, że całe popołudnia będzie spędzał w łazience. Nie wiadomo, czy mu to będzie odpowiadało.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Mimo zdziwionych min Rochackich nie tłumaczyłam swojej wesołości. Umówiliśmy się co do godziny. Odchodząc, dodałam:

- Szykujcie się na miłą niespodziankę.

Z prowokowanych przeze mnie rozmów wiedziałam, jak uwielbiali Járosyego i jak boleją nad jego śmiercią.

Nazajutrz wczesnym rankiem weszłam do Rochackich pierwsza, żeby zobaczyć, czy ring wolny.

- W porządku?

- OK.

Skinęłam na Franciszka. Wszedł starzec z opuszczoną głową, ciężko opierając się na lasce. Rochaccy, nie dając poznać rozczarowania, skoczyli pomagać staremu panu, zdjęli mu płaszcz i z szacunkiem poprowadzili do pokoju. Tu staruszek nagle odstawił laskę, wyprostował się i z czarującym uśmiechem, którego nie powstydziliby się sam Járosy, odezwał się słynnym akcentem:

- No i znowu jestem w domu!

I rzeczywiście... Gdziekolwiek zagnały go wojenne losy, natychmiast, bez najmniejszych starań ze swojej strony, stawał się główną osią rodziny i bliskim człowiekiem.

Odwiedzaliśmy go u Rochackich często, chociaż sami byliśmy w coraz gorszym położeniu. Już kilka razy łapa gestapo bardzo blisko zawisła nad nami. A trzeba było zarobić, aby utrzymać te cztery osoby, które obchodziły się już niemal bez wszystkiego, co uważane jest za niezbędne do życia.



Na szczęście, Franuś był w stosunkowo niezłej sytuacji dzięki Rochackim. Piękne, oryginalne prace Roma w srebrze miały ogromne powodzenie u zamożnych ludzi, a tych było sporo, niedostatku więc nie cierpieli. Pomagali też wielu rodzinom, jak tylko mogli. Pewnego dnia w maleńkim pokoiku, będącym kolejnym szczeblem naszego spadania w dół, zjawiała się osobiście wytworna Agnieszka, dźwigając pieszo z odległego Nowego Świata dwa kubeczki z węglem.

Tymczasem w mieszkaniu na Nowym Świecie nadal panował ruch. Franciszek po kilka godzin dziennie spędzał w łazience („do końca życia się nie będę kąpał” - zapewniał). Prawdę mówiąc, byliśmy o niego trochę zazdrośni. Cieszyło nas, że oddaliśmy go w tak dobre ręce, ale niepokoiły nas zażyłe i przyjacielskie stosunki z gospodarzami.

- Jeszcze ta Agnieszka taka ładna - narzekałam - a za Romem to on wprost przepada. W końcu się od nas oddali, zobaczysz. A jeszcze po wojnie, kiedy będzie znów otoczony przyjaciółmi, my będziemy jednymi z wielu.

Zwątpiłam w Franusia... A, brzydko! Zwątpiłam w Franusia, który tak pisał do nas w roku 59, kilka miesięcy przed śmiercią:

„(...) ciągle jestem myślami i uczuciami przy Was - martwię się czy jesteście zdrowi i w ogóle tęsknię za Wami i wyję jak pies do księżycy!!!”

Ile razy zjawialiśmy się u Rochackich, ścisnął nas długo, przytulił i chyba był wtedy tak samo szczęśliwy jak my.

Raz przyszliśmy przypadkiem, kiedy Rochackich nie było w domu. Franciszek naturalnie nie otwierał nikomu, ale my mieliśmy jeszcze z czasów Złotej własną sygnalizację: wystukiwaliśmy refren piosenki „Ja jestem pies na to”.

Franuś otworzył, krzyknął „nareszcie sami!”, wepchnął nas do pokoju i zdzierając z nas płaszcze, mówił gorączkowo:

- Natychmiast pieśni cygańskie, Starego Cygana i taniec z szalem! Potem Szkarlatynę, Julcię i Bronka Malinowskiego! Szybko, po jednym numerze z każdego, żebyś zdążyła!

W ogromnym pośpiechu wykonywałam już nieco zapomniany repertuar ze Złotej. Franuś popędzał:

- Zaraz ktoś wróci!

Udało mi się skończyć skrócony i przyspieszony recital.

- Mów jakiś głupi dowcip! Prędko! - krzyknął Franciszek do Jurka.

- Kiedy nie znam nowych...

- Po co nowy, mów stary. Ale żeby był głupi.

- Zaraz... Aha. „Zdaje się, że miałem zastrzyk poznać panią” - mówi pacjent do pielęgniarki. Na to zakatarzona pielęgniarka „Bardzo mi było przyjemnie.”

Był to jeden z odwiecznych żartów Rentgena. Franciszek uspokoił się.

- Dziękuję wam, już mi lepiej. Słuchajcie, czy ja jestem niewdzięczny? Oni są cudowni, wspaniali, naprawdę mi tu dobrze, tylko że są... jak by to powiedzieć?... Normalni. Rozumiecie mnie?

- Nie rozumiemy - powiedział surowo Jurek - gdyby byli normalni, toby cię tu nie wzięli.

Jak każda kolejna sytuacja w owym czasie, tak i melina u Rochackich miała niedługo stać się tylko dobrym wspomnieniem.

Minęło czterdzieści parę lat, nie potrafię już dziś powiedzieć dokładnie, z jakiego powodu mieszkanie na Nowym Świecie zostało poważnie zagrożone. Rochaccy należeli oczywiście do AK, a przy zarówno konspiracyjnej, jak i towarzyskiej przelotowości ich domu byłoby dziwne, gdyby w końcu ktoś nie zaczął się nimi interesować. Na szczęście ostrzeżono ich w porę, ale mieszkanie należało jak najszybciej oczyścić.

Tak się zdarzyło, że właśnie w tym czasie sami wpadliśmy w duże kłopoty. Kolejne aresztowania prowadziły coraz bliżej do nas i znów musieliśmy zniknąć na parę dni, a potem jeszcze jakiś czas obawialiśmy się, że może za nami chodzić ktoś niepowołany.

Kiedy atmosfera nieco się rozjaśniła, pobiegliśmy z zachowaniem wszelkich ostrożności do Rochackich. Franusia już nie było.

Tym razem zabrała go Janka Wojciechowska. Nie pytaliśmy Rochackich o adres, lepiej było dla wszystkich, żebyśmy go nie znali.

## Dżoker ze znajomej talii

Powoli, okrutnie powoli mijały tygodnie i miesiące okupacyjne.

Kiedy patrzę wstecz na moje życie, widzę je w dziwnych proporcjach. Dwudziestolecie międzywojenne: pół życia. Okupacja: prawie cała druga połowa. A króciutki pozostały okres to lata 1945-85. Wlokły się więc te dni pełne grozy i coraz bliżej zadawanych ciosów, a jednocześnie nudne, śmiertelnie nudne. Bez Franciszka życie straciło jedyny duchowy luksus. Potrafił on każdą denną sytuację podnieść i upiększyć. Najczęściej drwiną, wielką bronią ginących, ale i niezależnym umysłem, który dopiero w najgorszych czasach mogliśmy docenić.

Ani, przez chwilę nie wątpiliśmy, że Niemcy nie wygrają wojny, ale z odległości lat sądzę, że i u mnie, i u Jurka ta pewność wynikała z podświadomej samoobrony. Tymczasem Franciszek miał głębokie przekonanie, że rezultatem wojny może być tylko wielka przegrana Hitlera i przekonanie to opierał na racjonalnych przesłankach. Jakże nam było brak jego argumentów w czasie walenia się całego świata, kiedy niezłomna wiara w sprawiedliwy koniec wojny ściągała na nas opinię skończonych kretynów. Kretyni kretynami, ale właśnie dlatego schodzono się do nas z najgorszymi wieściami, aby usłyszeć zapewnienia i pocieszenia. Kruki odchodziły pokpiwając z nas za plecami, ale podniesione naszym optymizmem, a my zostawialiśmy pogněbieni ich pesymizmem. Przekonałam się wtedy, o ile lepiej jest być narzekającym niż pocieszającym.

Nie mogliśmy i nie Chcieliśmy szukać kontaktu z Franciszkiem. Tak było umówione. Wiedzieliśmy tylko - jeszcze z czasów Rochackich - że Janka mieszka na Filtrowej.

Tymczasem kolejny raz znaleźliśmy się bez wyjścia. Było to już po tragicznej śmierci Sabci i Pickwicka.

Niegdyś, na początku wojny, postanowiliśmy z Jurkiem w żadnym wypadku się nie rozłączać, nawet gdyby rozsądek dyktował co innego. Kiedy późną jesienią 1939 roku mój ojciec, obywatel szwajcarski, miał możliwość wyciągnięcia mnie, odmówiłam z kilku względów, ale głównie dlatego, że nie do pomyslenia było zostawienie Jurka. Teraz nastał moment na tyle groźny, że musieliśmy powziąć najbardziej dramatyczną decyzję - rozstania.

W chwili, kiedy już konkretnie rozważaliśmy następną rewolucję życiową, zjawiała się dobra wróżka w postaci jakiegoś niesympatycznego draęala o sumiastym wąsie, który podał nam kopertę i odszedł bez słowa. W kopercie znajdował się dżoker z małej pasjansowej talii kart, którą podarowaliśmy Franciszkowi na Złotej, a na nim napis: „68 m 33.” Gdybyśmy nawet nie poznali dżokera i charakteru pisma, nie mieliśmy wątpliwości. Kto inny potrafiłby objawić nam się w chwili ostatecznej?

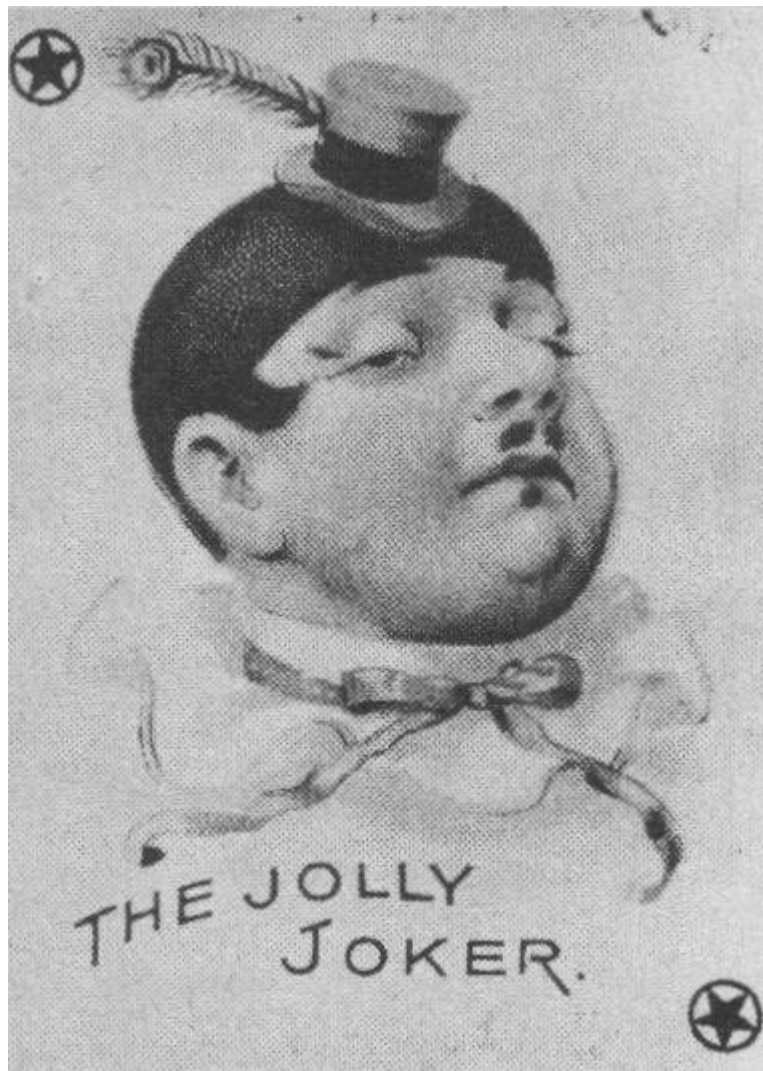
Janka wynajmowała na Filtrowej pokój sublokatorski, do którego zabrała Franciszka. Stali się towarzyszami życia i pozostali razem już do śmierci.

Wprawdzie uprzedzałam, że opowieść o Járosym nie chce być dokumentem, tylko ma charakter zupełnie subiektywny i mogłabym z niczego się nie tłumaczyć, ale Janka stała się zbyt ważnym elementem jego życia, aby ją zbyć jednym zdaniem.

Z dotychczasowymi swymi paniami Járosy wprawdzie nie brał ślubu („Nie mam tego zwyczaju” - mawiał), ale przez czas trwania związku był lojalnym, czułym opiekunem, woził je na wakacje do

najstawniejszych światowych kurortów (nie żadnych „uzdrowisk”, a fe!), zapraszał do najlepszych lokali, nie mówiąc już o tym, jak dbał o ich rozwój artystyczny, jak mądrze prowadził ich karierę. Bez względu na układy uczuciowe, dla każdej z nich był wyrocznią i oparciem.

Po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji słabszego. Zawsze dotąd był pięknym, sławnym, bogatym, hojnym mężczyzną, którego mogła pozazdrościć każda kobieta. Był tym, który obdarza. Stan zależności znosił o wiele ciężiej niż ktokolwiek inny. Kiedy przebywał u nas, nie miało to najmniejszego znaczenia. Stanowiliśmy - z Sabcią i Pickwickiem włącznie - jego rodzinę, w której on w sposób zupełnie naturalny był najważniejszy i uwielbiany. Myślę, że w jego dobrym samopoczuciu na Złotej największą rolę odgrywał fakt, że jesteśmy z teatru, że nasz wzajemny z nim stosunek uformował się jeszcze za normalnych czasów.



Pobyt u przyjaciół w getcie traktował z kolei jako groźną, ale dziwną i absurdalną przygodę, co (nie cofam się przed tym określeniem) niestety bawiło go jako wspaniały kawał zrobiony Niemcom. U Rochackich czuł się dobrze, ale choć szczerze ich lubił i cenił, musiało w nim coś buzować przez cały ten czas i wybuchło, kiedy kazał nam się wygłupiać z „przedstawieniem”. Ten człowiek i był przez całe życie związany z teatrem i jeśli przebywał w towarzystwie „z publiczności” (jak się wyrażał), to zawsze ci inni dołączali do niego, a nie odwrotnie.

Janka była w pełnym znaczeniu tego słowa „z publiczności”. Cała jej konstrukcja psychiczna absolutnie odbiegała od ludzi teatru. Miała wszystkie zalety wysokiego lotu: była wyjątkowo uczciwa, odważna, uczynna. W konspiracji pracowała w służbie centralnej łączności „dwójki” AK.

W życiu codziennym brakowało jej cech, które w wielu środowiskach wcale nie są pożądane, jak szybkie, powiedziałabym gwałtowne poczucie humoru, pobłażliwość wynikająca z nieprzywiązywania wagi do pryncypiów, lekkość ocierająca się o lekkomyślność. Janka była zasadnicza i surowa.

Nie powinnam krytykować osoby niezwykle wartościowej, a w dodatku tej, która stała się najwierniejszą, najbardziej oddaną towarzyszką Franusia. Muszę jednak usprawiedliwić przykry dla nas fakt, że choć oboje z Jurandotem szanowaliśmy ją i docenialiśmy, nigdy ani my jej, ani ona nam nie stała się bliska.

Janka musiała z niepokojem myśleć o przyszłości, kiedy Franuś stanie się znów Fryderykiem i wróci do swego otoczenia. My oboje byliśmy teraz jedynymi przyjaciółmi z epoki Járosyego i uosabialiśmy dla niej jego dawny świat. Znając Franciszka, nie obawiała się najmniejszej nielojalności z jego strony, ale wiedziała, że jeśli wojnę przeżyją, czeka ją niejeden ciężki problem. A istniała jeszcze Zosia, o której losach nikt nic nie wiedział, ale Franciszek wspominał ją z wielkim sentymentem. Sam chyba często się zastanawiał, jak skończy się wewnętrzna walka lojalności z lojalnością w razie jej powrotu... Dodam jeszcze, że pod wpływem Janki odkładał po wojnie upragniony powrót do kraju, aż z powodu choroby zrobiło się za późno.

Janka zapraszała nas i traktowała gościnnie, a my w pewnym poczuciu winy okazywaliśmy jej sympatię i usiłowaliśmy wciągnąć ją do wygłupów. Nic jednak nie mogło zmienić faktu, że nieco osowiałemu i spoważniałemu Franusowi podczas naszych spotkań ubywało lat i na krótko stawał się znów prawdziwym Járosym.

To wszystko miało się dopiero okazać. A tymczasem umówiliśmy się z Jurandotem, że ja pójdę pierwsza pod adres wskazany przez dzokera ze znajomej talii kart.

Pełna niepewności stanęłam przed drzwiami numer 33 na drugim piętrze i odczytałam nie znane mi nazwisko pani Szafranowej. Zamiast spokojnie zadzwonić i zachować się zależnie od tego, kto otworzy, wbrew swej woli wystukałam „Ja jestem pies na to” i sama się przeraziłam. Błyskawicznie przygotowałam się do ucieczki na wyższe piętro, ale nie zdążyłam. W mieszkaniu rozległ się łomot, drzwi otworzyły się i wpadłam w ramiona Fryderyka, nie, Franciszka, już nie wiem czyje, ale najcieplejsze, najserdeczniejsze, swoje.

Kiedy jeszcze zjawił się Jurek, przeżywaliśmy tak samo radosne chwile, jak wtedy u rodziców Stefci Górskiej.

W latach pięćdziesiątych Jurandot przyjechał do Londynu.

- Już w drodze z lotniska - opowiadał mi Jurek potem wiele razy - Franuś zaczął wspominać. I tak już szło przez cały czas mego pobytu. Ale najczęściej wracał do spotkania na Filtrowej: „Kiedy czuję, że już mnie nic w życiu nie czeka, tylko moja choroba i jej konsekwencja, myślę o tej chwili, kiedy znów znaleźliśmy się razem: ty, ja i ta kretinka. I lżej mi żyć”.

Niestety, nie mogliśmy zostać razem, ale twardo postanowiliśmy nigdy już nie robić tego głupstwa, żeby dobrowolnie pozbawiać się kontaktu.

Dla nas obojga była już przygotowana praca.

## Nocny stróż pod zarządem niemieckim

Na Jurka czekała posada nocnego stróża na stacji Doświadczalnej Ogrodniczej w Morach pod Warszawą, jeszcze sprzed wojny słynnej z uprawy stu trzydziestu czterech odmian pomidorów. Majątek znajdował się pod zarządem niemieckim, a kierowała nim od wielu lat bardzo niezwykła osoba. Panna inżynier Bronisława Cholewińska, wówczas krzepkiej budowy niewiasta koło pięćdziesiątki, była najenergiczniejszym szefem, jakiego można sobie wyobrazić. Dość powiedzieć, że bali się jej nawet treuhanderzy niemieccy zawiadujący majątkiem. Mówiła do nich głośno, wyraźnie i niezbyt grzecznie, dając im do zrozumienia, że się na niczym nie znają i tylko od niej zależy, czy ich wystawi do wiatru. Cóż dopiero mówić o pracownikach, a raczej pracownicach, bo Mory były prawie doszczętnie sfeminizowane. Pomimo jej surowości i wymagań, personel ją uwielbiał, a ona poza sprawami służbowymi była niezrównanym kumplem i przyjacielem.

Lubiła i umiała wypić, wódkę w dużych ilościach dostawała za kontyngenty, a przynigdy nie piła sama. Przy różnych okazjach, a szczególnie dla uczczenia rozpoczynających się hitlerowskich klęsk, w zapracowanych na co dzień Morach odbywały się regularne libacje z aktualnym programem artystycznym, do którego najlepsze piosenki pisała sama szefowa. Śpiewanie i popijanie trwało nieraz całą noc, a nazajutrz o piątej rano cały personel normalnie pracował na swoich stanowiskach.

W uroczystościach tych brali udział stali pracownicy, mieszkający w Morach i żywni w tamtejszej stołówce, co w tych czasach stanowiło największą wartość. Tworzyli oni wielką rodzinę, której głową była, oczywiście, kierowniczką. Kilkaset osób dochodzących do prac w polu miało zupełnie inne, normalne prawa.

Dzięki tej to właśnie kierownicze, przez zaufanych zwanej Niusią, w majątku roilo się od fałszywych ogrodniczek, zielarek i innych świeżo i niedokładnie upieczonych pracownic, plus rodzynki w postaci kilku zaledwie panów. Jedyną prawdziwą rzeczą, jaką posiadało to towarzystwo, było zaświadczenie o pracy w instytucji pod zarządem niemieckim, czyli przedmiot największego pożądania osób zdelegalizowanych: słynny ausweis. Zresztą, i ten bywał wystawiony na fałszywe nazwisko...

Rzecz naturalna, że w kobiecej załodze wielką popularnością cieszyli się „rodzynkowie”, jak ich nazywano, czyli trzej nocni dozorczy. Zamiast opisywać ich własnymi słowami, przytoczę pieśń autorstwa Niusi. Została ona odśpiewana podczas pewnej popijochy (chyba z okazji Stalingradu?) i miała ogromne powodzenie.

*Trzech dozorców z Mor*  
(na melodię „Pięciu chłopców z Albatrosa”)

Za polami, za torami,  
Niedaleko za Włochami  
Pewna Stacja Doświadczalna mieści się,  
Która Mory się nazywa,  
Uprawiają tam warzywa,  
Pomidory i cebulę i te de.

Sławna w dziejach jest ludzkości  
Z pomidorów znajomości,  
Kto nie wierzy, niechaj sprawdzi, gdy ma chęć.  
Odmian sto trzydzieści cztery,  
Break O'Daye, Open Airy,  
Sukces Mor, Trzydzieści trzy, Dwadzieścia pięć.  
Lecz nie tylko pomidory  
Rozstawiły wkoło Mory,  
Dzielnych bowiem trzech dozorców mieli tam,  
Co tak pola pilnowali,  
Ze złodziei radowali,  
Jak to było, to opowiem chętnie wam.  
A ten pierwszy to jest hrabia,  
On stan wyższy uosabia,  
A ten drugi to burmistrzem kiedyś był,  
A ten trzeci, ten najmniejszy  
W stróżowaniu najpilniejszy.  
To poeta, co przed życiem tu się skrył.  
Idzie lato, trwają Mory,  
Dojrzewają pomidory,  
Potem jesień roztoczyła tysiąc kras.  
Plon się zbiera po kolei,  
Pokus dużo dla złodziei,  
A dozorczy, jak ich cenny mija czas?  
A ten pierwszy, co jest hrabia,  
Się do drzemki przysposabia,  
Siedzi w budzie, co burmistrzem kiedyś był,  
A ten trzeci, ten najmniejszy  
Wiersz układa najpiękniejszy,  
Spacerując po alejce w przód i w tył.  
Kiedy burza już przeminie  
I z chaosu świat wypłynie,  
Wróci życie zwykłe znów za kilka lat.  
Będą nadal trwały Mory,  
Pozostaną pomidory,  
Lecz dozorczy, trzech dozorczy pójdą w świat.  
A ten pierwszy, co jest hrabia,  
Swoje hrabstwo znów ozdabia,  
A ten drugi gdzieś burmistrzem został już,  
A ten trzeci, ten najmniejszy  
Wiersz napisał najpiękniejszy,  
Który w Polsce go rozstawi wszere i wzdłuż...



Rozpisałam się o Morach, bo niebawem na stryszku jednego z tamtejszych zabudowań znajdzie się bohater tej opowieści. Niezależnie od tego warto chyba upamiętnić to przedziwne miejsce.

Pomidory były tam rzeczywiście niezwykle. Każda odmiana miała inny smak, niektóre słodkie, inne ostre jak papryka, nigdy nie przypuszczałam, że może istnieć taka różnorodność zapachów, kształtów i smaków tego samego warzywa. Toteż stale pętali się tam niemieccy żandarmi stacjonujący w pobliżu. Ot tak, żeby sobie pojeść. Przy okazji odbywały się różne handle i Jurandot po wyzwoleniu Warszawy przywędrował do mnie do Lublina w podkutych żandarmskich butach, które właściciel dał mu za pół litra. Tylko ten, kto tu był w czasie okupacji, zrozumie naszą dzieciinną radość, kiedy Jurek chodził, stukając gwoździami. Odgłos ten w czasie przechadzki po ulicach wyzwolonego Lublina kojarzył się z zupełnie innymi krokami, niż kroki własnego męża.

Kiedy Niemcy przeszli w fazę przegranej, żandarmi i wszelkie inne tałatajstwo stacjonujące w pobliżu Mor zaczęło coraz przyjaźniej odnosić się do personelu. Budząca respekt kierowniczką nieraz ostro interweniowała w wypadkach sympatii natrętnie okazywanej przez szkopów młodym pracownicom.

Nie brakowało momentów pikantnych, kiedy na przykład pewien żandarm, zalecający się do jednej z młodych zielarek, wmuszał w nią piękną, zamszową kurtkę.

- Weź, weź, to po jakiejś Żydówce, ona już kaput w Treblince!

Pikanteria polegała na tym, że owa zielarka właśnie uciekła z transportu tamże.

I Jurandot przeżył swój horror. Żandarm zaskoczył go w stróżowskiej budzie przy nauce angielskiego z podręcznika wydanego w Londynie. Wyrwał mu książkę, obejrzał i zawołał:

- Pięknie! Uczymy się angielskiego, co?

Jurandot coś wymruczał, a szkop krzyczał dalej, potrząsając podręcznikiem:

- A co będzie, jak się kierowniczką dowie, czym ty się zajmujesz na służbie?!

Wróciwszy do życia, dozorca zaczął prosić, żeby kierowniczkę (która mu, notabene, dała podręcznik) nie mówić, bo gotów stracić pracę,

Żandarm roześmiał się, zapewnił, że nie jest donosicielem i że ani słowem nie zdradzi służbowego przestępstwa. Odtąd jednak uważał, że zbliżyła ich wspólna tajemnica i przy każdym spotkaniu robił znaczące miny. Pewnego dnia zwierzył się Jurkowi, że w cywilu jest fryzjerem i postanowił go porządnie ostrzyć i ogolić.

- Darmo - zaznaczył.

Dwaj panowie, którzy dzielili z Jurkiem pokój, nie bez niepokoju popatrzyli na swego współlokatora wprowadzanego pod rękę przez pijanego żandarma, a znów sam Jurandot wspominał, że dosyć to dziwne uczucie dla nocnego dozorca Jarczyńskiego mieć na gardle brzytwę w rękę pijanego hitlerowca.

Jaka szkoda, że nikt już nie napisze opowieści o Morach. O zwykłej, doświadczalnej ogrodniczej stacji, gdzie prócz cebuli, roślin strączkowych, kapusty i ziół leczniczych uprawiano wyrafinowane pomidory.

Mory położone są tuż przy szosie prowadzącej z Warszawy na zachód. Pamiętnego dnia 24 lipca 1944 uciekał tamtędy tłum Niemców i folksdojczów, wojska i cywilów, w pośpiechu ewakuowanych z Warszawy: parę dni wcześniej wojska radzieckie sforsowały Bug...

W okolicach Mor często ukrywali się dezercerzy, najczęściej Węgrzy, szukając schronienia. Niektórzy z nich nie ze swojej winy przeżyli koszmar frontu i służby po niemieckiej stronie. Kierownicza, nakarmiwszy i zamknąwszy ich w gospodarskim budynku, nie tracąc poczucia humoru powiedziała do kilkorga j zaprzyjaźnionych pracowników:

- Ciekawe, za kogo mnie kropną: jeszcze za was, czy już za nich.

Uratowała wszystkich i wcale jej nie kropnęli, ale to już w ramach cudu. Zwłaszcza że z Węgrów marni byli konspiratorzy. Bardzo ładnie i głośno śpiewali ludowe węgierskie pieśni, zupełnie nie zwracając uwagi na gorączkowy powrót po kilku dniach tą sama drogą swoich niemieckich towarzyszy broni. I tylko zrozumiałemu roztargnieniu tych ostatnich zawdzięczało życie społeczeństwo Mor.

Najtragiczniejsze dni jednak przeżywały Mory po upadku powstania. Tą samą szosą, stanowiącą północną granicę majątku, Niemcy gnali warszawiaków. W kierunku Pruszkowa szli powstańcy i cywilna ludność. I znów Mory nabrały do wypęku nowych mieszkańców...

„Morscy” ludzie stali przy szosie i jak mogli pomagali pryskać i ukryć się. Niestety, nie można było nikogo przetrzymać dłużej, bo Niemcy wciąż kręcili się po terenie. Wielu warszawiaków jednak tamtędy uciekało.

Jurandot stał przy szosie. Nagle usłyszał wyraźny krzyk kobiety: „Jurek! Jurek!” Poznał natychmiast głos swojej siostry. Razem z paroma osobami, które też to słyszały, długo biegł, wypatrywał i wołał Zochę. Przez kilka lat po wojnie poszukiwaliśmy jej, mając pewność, że wyszła po powstaniu. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że wtedy już nie żyła.

Ale w chwili, kiedy Jurek szedł do pracy w Morach, do tego było jeszcze daleko.

## „Odzyskajcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”

Ja byłam bardziej stremowana. Jurandot miał pracować w zespole, od niego zależało, czy zaprzyjaźni się z kimś, jakie będzie miał stosunki. Do mnie powiedział Franciszek:

- Będziesz prowadziła dom i wychowywała dzieci pani Zofii. Ona .przyjdzie po ciebie i pojedziecie razem, bo to jest pod Warszawą.

- Ale powiedz, jaka ona jest? I te dzieci?

- Pewnie się trochę przestraszysz. Ma nadzwyczaj surową minę i choć wygląda dystyngowanie, wyraża się brutalnie. Ale jakby ci było nieswojo, to spojrzij jej w oczy i zaraz się uspokoisz. Dzieci są niebywałe.

- A jak będzie ze mnie niezadowolona?

- To cię zwymyśla. Taka jest.

Po tej rekomendacji czekałam na tajemniczą panią Zofię, trzęsąc się ze zdenerwowania. Miałam jej się przydać, bo nie mogła pogodzić pracy konspiracyjnej, wymagającej stałego przebywania w Warszawie, z opieką nad domem i dziećmi. Najbardziej mnie przestraszyły, dzieci: Że „niebywałe”. Sto razy wolałabym jakieś zwyczajne. Kucharką byłam kiepską, moją najmocniejszą stroną miała być właśnie umiejętność zajmowania się dziećmi. Lubiałam je i umiałam sobie z nimi radzić. Ale z niebywałymi?...

Tymczasem potwornie mi zależało, żeby tam dobrze wypaść. Przede wszystkim nie mogłam sprawić zawodu Franciszkowi, który mnie na to miejsce wymyślił i polecił. Po drugie, posada ta miała niesłychaną zaletę: Gołąbki znajdowały się o kilka kilometrów od Mor i mogłabym często widywać Jurka. I w ogóle taka praca była dla każdego wymarzona: oddalić się choć na trochę od Warszawy, gdzie teraz niemal codziennie szalały łapanki, pomieszkać w domku z ogródkiem... Od początku wojny nie byłam ani razu nawet w parku. Nie miałam na to czasu ani głowy.

Na razie siedziałam półżywa i powtarzałam:

Wyrzucą mnie za gotowanie. Jak mogłeś powiedzieć, że dobrze gotuję?

- Czego się denerwujesz? Przy twoich małych zdolnościach przystosowywania się zostaniesz genialną kucharką. Po wojnie zaangażują cię do „Maxima” w Paryżu i milionerzy z całego świata będą się zjeżdżać na brukiew a la Charpió.

Zofia zjawiła się punktualnie. Pamiętając słowa Franciszka, najpierw spojrzałam jej w oczy. I rzeczywiście. Od razu się uspokoiłam.

Ty jesteś Stefa. Dobrze. Jeżeli masz jakieś rzeczy, to weź, jak nie masz, to nie bierz, tylko szybko. Idziemy.

Franuś mrugnął do mnie. Wszystko się zgadzało.

Na stacji kolejowej w Gołąbkach często urządzano łapanki, więc jeździło się popularną w czasie okupacji EKD (Elektryczna Kolej Dojazdowa) z ulicy Nowogrodzkiej do Włoch i stamtąd pięć kilometrów pieszo.

Do domku na Wiejskiej 7 dobrnęliśmy wieczorem. Po drodze moja nowa szefowa w ogóle się nie odzywała, ale zupełnie jawnie mnie obserwowała. Usiłowałam mieć pogodną, naturalną minę i zrobić dobre wrażenie, ale z jej zachowania nic nie mogłam wywnioskować.

W kuchni paliło się jasne światło, pod płytą buzował ogień, a na ławce pod wieszakiem z pokrywkami siedziało dwóch Leszków Białych. Tak ich nazwałam w myślach i tak ich wspominam, obecnych panów doktorów inżynierów.

Jeden miał niecałe sześć lat, drugi cztery, jeden oczy zielone, drugi niewyobrażalnie niebieskie, a obaj białe włosy obcięte na pazia i wyglądali jak wnuki Piasta Kołodzieja. (W rzeczywistości byli prawnukami T. T. Jeża).

No, ruszcie się jeden z drugim - przenikliwie i gromko zadyrygowała matka. - To jest Stefa, będziecie ją kochać i kto jej sprawi przykrość, przez tydzień nie będzie mógł usiąść. No, czego patrzycie jak ryfy? Przywitajcie się ze Stefą, żeby jej od razu było przyjemnie.

Leszki zerwały się i rzuciły na mnie z objęciami i mokrymi pocałunkami. Tym razem nie przewróciliśmy się, co potem nieraz przy takich czułościach się zdarzało.

- A to jest mój mąż Archanioł. Właściwie Gabriel, wszystko jedno. Będzie ci pomagał. To jest Stefa.

- Zorientowałam się - powiedział Archanioł, który teraz się objawił, dotychczas przyćmiony niebywałymi dziećmi. Przy niepełnej czterdziestce i młodej, opalonej twarzy miał zupełnie siwe włosy i wyglądał jak sama łagodność.

- A ja jestem Zofia.

I tak rozpoczęła się epoka Gołąbek.

Jak się okazało, mieszkowali tam nie zarejestrowani oficerowie Wojska Polskiego, różni spaleni konspiratorzy, uciekinierzy z getta i kto tylko musiał się chować przed gestapo. W ogródku można było bez ryzyka zacząć kopać w dowolnym miejscu: jeśli nie radio, to słoiki i puszki z twórczością okupacyjną, rozmaite pamiątniki czasu wojny i w ogóle „wszystko, co niedozwolone, z wyjątkiem niekolczykowanej świni”, jak mówił Gabriel. Zosia wiecznie sprowadzała do domu dziwne typy, które łączyły po mieszkaniu nic o sobie nawzajem nie wiedząc, upychane gdzie się dało; znali oni dobrze regulamin domu, nie pozwalający zadawać pytań. Któregoś dnia Zosia zabierała ich w nieznanym kierunku, do następnych melin. Zarówno gospodarze, jak Leszki Białe, czyli Jacek i Piotr, zachowywali się tak, jakby to dziwaczne, a w razie wpadki grożące śmiercią dla całej rodziny towarzystwo zjechało się z wizytą.

Ponieważ Zosia przyjeżdżała tylko na niedziele, wychowywałam dzieci i opiekowałam się całym domem. Kijkowscy słusznie nie chcieli posyłać synów do szkoły, aby nie zaprzyjaźniali się zbyt z innymi dziećmi, więc w odpowiednim czasie podjęłam się przerabiać z nimi program pierwszej klasy. Byli fenomenalnie zdolni do matematyki i po paru tygodniach wykonywali wszystkie działania szybciej ode mnie. W pół roku później nauczanie matematyki przejął Jurandot, który dzięki Bogu miał za sobą

dwa lata wydziału matematycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Odtąd panowie najchętniej bawili się w rozwiązywanie zadań algebraicznych. Nie lubili jednak zbytnio pisanie, a kiedy spytałam, dlaczego nie odrobili polskiego, odpowiedzieli: - Nie wolno o nic pytać.

W takie to miejsce dostałam się dzięki Franciszkowi.

Myliliby się ktoś, kto przypuszczałby, że w tym domu panował nastrój nastawiony na wysoki ton, albo przeciwnie, trwożny i konspiracyjny. Trudno sobie wyobrazić coś normalniejszego. Na Wiejskiej 7 ton nadawały dzieci. Przez cały dzień było słychać ich wesołą obecność, rozpraszającą koszmarny nielegalnych mieszkańców i płoszącą poczucie zagrożenia.

Zaaklimatyzowałam się błyskawicznie. Zofia z miejsca rzuciła mnie na głęboką wodę. Nazajutrz po moim przyjeździe wstała o piątej rano, wzięła rower i powiedziała:

- Przyjadę na niedzielę. Ty jesteś panią domu, wszyscy mają ciebie słuchać. Pa, do soboty wieczór!

- Chwileczkę, czekaj! Przecież ja nic nie wiem; gdzie co jest, co się komu daje jeść...

- Dzieci ci wszystko pokażą. A zjedzą, co im dasz, byle dużo. Po czym z gracją przesłała mi pocałunek ręką, wsiadła na rower i pojechała.

Wszyscy jeszcze spali. Zostałam sama w nieznanym domu, z nieznanymi obowiązkami i zwyczajami, nie wiedząc nawet, czy coś jest w spiżarni, a już słyszałam, że Gabriel rusza się w swoim pokoju. Zaraz będzie się spieszył do pracy, trzeba mu dać śniadanie...

Dzieci. Niebywałe dzieci. Poczułam, że tu znajdę ratunek. Spały jeszcze, miałam z nimi wspólny pokój.

- Jacek, Piotr! Obudźcie się! Szybko!

Leszki Białe usiadły na łózkach, ziewając i przecierając oczy.

- Musicie mi pomóc. Wskakujcie w spodnie i ze mną do kuchni!

Mówiąc to zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą dwa powierzone mi maluchy i że powinnam raczej je obsłużyć, niż oczekiwać od nich ratunku. Ale skoro Franciszek powiedział, że są niebywałe...

- Czego się grzebiesz - powiedział starszy do brata - trzeba jej pomóc, bo nie da śniadania.

I pomaszerowali już rześkim krokiem do kuchni, a ja za nimi.

Podpaliłam pod płytą, a tymczasem na kuchennym stole zjawiły się nakrycia, kartkowy chleb i buraczana marmolada. Kiedy wszedł Gabriel, mogłam już podać sztuczną herbatę z własnego wyrobu syropem z cukrowych buraków (brr!), a Leszki siedziały wzorowo przy stole i gdyby nie buzie usmarowane po oczy buraczaną marmoladą, nie byłoby wcale widać, że pomagali.

Archanioł był zadowolony, zjadł i poszedł się szykować do wyjścia.

Trzeba mu dać śniadanie do pracy - - powiedziały Leszki (często mówili razem jak bliźnięta) i patrzyły na mnie ze złośliwym oczekiwaniem.

No, to czego siedzicie - warknęłam tonem ich matki - trzeba, to dajcie.

Okazało się, że nacisnęłam właściwy klawisz. Nawiązało się porozumienie i w ten sposób zdałam wstępny egzamin.

Dalej potoczył się pierwszy mój gołąbkowski dzień, jakich miało być wiele.

Kiedy w domu była „frekwencja”, jak wzorem teatru nazwałam przechodnich mieszkańców, dawałam im z kolei śniadanie, po czym sadzałam każdego do jakiejś roboty. Należało codziennie obrać do dziesięciu kilogramów kartofli, łuskać groch, szatkować kapustę, -na szczęście jarzyn była obfitość, bo tych dostarczała nieoceniona Nusia. Jurandot przynosił je z Mor w worku na plecach, bardzo sobie chwając w ten sposób uzyskaną kondycję.

W głównym pokoju stała koza, czyli żelazny piecyk na dwie fajerki z rurą w ścianie, pełniący rolę ogniska domowego, coś w rodzaju kominka w dystygowanych angielskich domach. Różni panowie oficerzy i inne dostojności czyścili kozę, mełli pszenicę na kaszę i mąkę i wykonywali inne prace, dozorowani i instruowani przez Jacka i Piotra. Kiedy „frekwencji” nie było, robiliśmy to wszystko sami. Po pracach gospodarskich moi panowie mieli wolne.

Jedynak sąsiada, zaciętego folksdojczca, stał za parkanem i z zazdrością przypatrywał się, jak u nas krążyły papierowe samoloty przy akompaniamencie okrzyków:

- Bum, bum! Hitler kaput! - Bummm! Berlin zbombardowany! Trrach! Ostrzał artyleryjski! Szkopy wieją!

Zanim wprowadzę tu Franciszka, uściślę pojęcie gołąbkowskiej „frekwencji”. W większości były to osoby koczujące krótko, przez czas potrzebny na znalezienie im odpowiedniej meliny. Kto to i dlaczego się ukrywa, wiedziała najczęściej jedynie Zosia. Co do mnie, uchodziłam za krewną gospodarzy, samotną dziewczynę, która tu od lat prowadzi dom.

Nie wszyscy jednak tylko się przewijali. Kiedy Franuś przyjechał pierwszy raz, była już Hela z Joasią.

Helena Ostrowska, zdolna śpiewaczka sopranistka po konserwatorium, szykująca się do kariery operowej, znalazła się w getcie z racji swego pochodzenia, które i dla niej było zaskoczeniem, jak dla wielu innych Polaków i Polek.

Po którejś z kolei akcji likwidacyjnej wychodziła stamtąd kanałami razem z niespełna czteroletnią córeczką. Oszukana przez opłaconego przewodnika, błędziła z dzieckiem po kanałach, aż cudem udało jej się wyjść przy pomocy nieznanymi ludzi.

Bogata jedynaczka mieszkających za granicą rodziców, żona zamożnego lekarza, zamordowanego przez Niemców w czasie likwidacji getta, od urodzenia rozpieszczana i obsługiwana, znalazła się wśród obcych, bezradna, zrozpaczona, gotowa wrócić razem z dzieckiem tam, skąd uciekła.

„I Bóg stworzył kobietę...” Otóż Bóg stworzył Zosię Kijkowską głównie na takie wypadki. A Zosia Kijkowską z Heli z Joasią stworzyła Irenę Marię Jabłońską z córką Zofią i obie przywiozła do Gołąbek. W zbiorze dokumentów Reginy Domańskiej „Pawiak, więzienie gestapo” na stronie 436 pod datą 17 III 44 roku:

„Przywieziono 27 kobiet. Są to m. in.: (...) Jabłońska Irena Maria z dzieckiem.

(...) Przy apelu ubyla Irena Jabłońska z dzieckiem”. „Ubyła” oznaczało rozwałkę.

Ale od tej daty dzieli nas jeszcze wiele blasków i cieni przeżywanej w Gołąbkach okupacji.

Hela z Joasią przyjęły się tak, że z „frekwencji” awansowały na domownicy i zostały. Podziwialiśmy tę nie przystosowaną do życia młodą kobietę, ile wysiłku, ile dobrej woli wkładała, żeby być pożyteczną, żeby wykonywać najmniej wdzięczne prace. Joasia od razu została zagarnięta przez nasze dzieci. A wydawało się, że nic nie zdoła przywrócić do stanu dzieciństwa tej przerażonej, prawie nie mówiącej dziewczynki, której ani na chwilę nie można było oderwać od matki. Proszę pomyśleć, co widziały oczy tej czterolatki... Ale od czego mieliśmy niebywałe dzieci? Po kilku dniach Joasia ganiała z nimi po ogrodzie i wrzeszczała „Bumm! Brummm!” Tylko w nocy leżała przylepiona do Heli i bardzo długo nie zasypiała, a przez sen płakała.

W tym czasie była jakaś wsypa w Warszawie i mogło się to oprzeć o Filtrową. Pewnego wieczora niespodziewanie weszła Zosia - w powszedni dzień! - - stanęła w progu i powiedziała, swoim zwyczajem przenikliwie i głośno, od razu opanowując radosny hałas powstały na jej widok:

-- Cisza, do diabła! Mamy gościa!

Wszedł Franciszek Nowaczek w swoim przydługim, podniszczonym paltociku, ciężko opierając się na lasce i pokaszlując z wysiłku. Rzuciliśmy się na niego wszyscy, krzycząc, obejmując i wyrwijąc go sobie. Hela stała z wybałuszonymi oczami.

- Pozwól - powiedziała do niej Zosia - to pan Nowaczek, nasz przyjaciel.

- A przysięgåłabym... - wybełkotała Hela. - - Przepraszam, takie dziwne odniosłam wrażenie... Ale tylko w pierwszej chwili.

- Ze jestem podobny do tego węgierskiego komedianta? -starczym głosem wychrypiął pan Nowaczek, nieudolnie naśladowując Járosyego. - - Dużo osób mi to mówiło, ja się nawet nauczyłem mówić jak on. Dla kawału.

Biedna Hela powiodła po nas wzrokiem, ale my uśmiechaliśmy się salonowo. Cóż, maleńka gafa, każdy może się pomylić.

- Ale gdybym nie wiedziała, że dawno nie żyje... Tak, on rzeczywiście inaczej mówił.

Staruszek zdjął nędzny paltocik, odmłodził i uśmiechając się szarmancko, zagadnął:

- A teiraz, drouga pani Heleino?

Podziwiałam, że przy takich okazjach Franuś nigdy nie powtórzył tego samego numeru. Co prawda, niegdyś był przytomnym konferansjerem.

Odtąd każdy alarm na Filtrowej sprowadzał do nas Franciszka i zawsze było to wielkie święto dla całego domu. Tak jak wszędzie, gdzie go los rzucił, Franciszek przystosował się błyskawicznie do gołąbkowskiego rytmu, wszedł w rodzinę i chyba nikt poza mną nie zauważył, jak bardzo przystosował on Gołąbki do siebie.

Obecność Heli trochę mnie odciążyła, bo widząc jej pełne psiego uwielbienia oczy (na co miałam dotychczas monopol), przerzucił na nią część znęcania się, co mu bardzo dobrze zrobiło: ze mnie nie był ostatnio zadowolony, bo już tylko na wyraźny jego rozkaz zalewałam się łzami. Hela natomiast

przejmowała się okrutnie jego drwinami, co wprowadzało go w doskonały nastrój. Na próżno oboje z Jurkiem tłumaczyliśmy jej, że to wyróżnienie, bo pastwił się wyłącznie nad dziewczynami, które lubił. Do końca nie wyzbyła się tremy przed nim, choć ubóstwiała go niezmiennie.

Nawet zrównoważony Gabriel i nieugięta Zosia dali się oczarować i wciągnęli się w sposób mówienia i żartowania nie do pomyslenia w ich dotychczasowym środowisku.

Co do dzieci, od razu pierwszego dnia sprawa się rozstrzygnęła. Kiedy po śniadaniu rozsiadł się w fotelu z książką – czego jak czego, ale książek w Gołąbkach nie brakowało, samego dziadunia T. T. Jeża kilkadziesiąt tomów - trzy człowieczki podeszły do niego, ustawiły się i czekały, aż on pierwszy się do nich odezwie. Tak nakazywał żelazny regulamin domu. Franciszek usiłował nie zwracać na nich uwagi, ale nie miał naszej rutyny i odporności na trzy pary oczu wpatrujące się w człowieka i trzy posapujące niecierpliwie nosy.

- Na co czekacie? - załamał się po paru minutach. .- Żebyś się z nami bawił.

- A dlaczego mam się z wami bawić?

- Bo nie masz nic innego do roboty.

- Czytam.

- U nas się czyta dopiero, jak my pójdziemy spać.

- Dlaczego?

- Bo przy nas się nie da wziąć książki do ręki.

- Posłuchajcie uważnie. Mnie nie będziecie jeździć po głowie.

- Dlaczego?

- Bo ja organicznie nie znoszę dzieci.

- Co to znaczy organicznie?

- Że macie mi dać święty spokój.

Wziął książkę i zaczął czytać, a oni stali cichutko i spokojnie mu się przypatrywali.

Byłam świadkiem tej sceny, łatając kolejną parę spodni. Poszłam na chwilę do kuchni, a kiedy wróciłam, cała trójka tłoczyła się w fotelu razem z Franciszkiem, on zaś uczył ich nie całkiem przyzwoitych czastuszek w języku rosyjskim. Na moje spojrzenie usprawiedliwił się:

- Przecież nie znają rosyjskiego.

Odtąd nie znoszący dzieci Franuś stał się ich główną ofiarą. Opowiadał im niestworzone historie (nareszcie mógł się wyżyć, sam mówił, że oni przynajmniej nie weryfikują i nie prostują), a dzieci, zachwycone, wielbiły go prawie tak jak Hela i ja.

Już po pierwszym jego pobycie nasza trójka miała spory repertuar piosenek w kilku językach, które śmiało mogły zasilić niejednego tingel-tangel. Pan profesor nie wiedział, że Zosia, wychowana we Francji



i w Anglii, jest trójjęzyczna. Wystuchawszy koncertu w wykonaniu chóru dziecięcego, bez drgnienia powieki spytała:

- Czy rozumiecie, co śpiewacie?

- Tak - rozbrzmiały radosne głosiki. - - Franuś nam mówił. To jest „Wlazł kotek” po japońsku.

W ogóle życie kulturalne Gołabek niezmiernie się ożywiło. W dużym pokoju, tuż obok kozy, stał prastary fortepian. Wieczorami zasiadała do niego Hela i pięknie grała i śpiewała.

Od początku wojny nikt z nas nie słyszał muzyki. Na koncerty nie chodziliśmy, radia nie było (było, ale zakopane w ogródku). Cały dzień czekaliśmy na te wieczory.

Hela miała ogromnie dużo kobiecości i wdzięku. Widzę ją, jak siedzi przy fortepianie, przechylając w naszą stronę blond głowę uczesaną w koronę z warkocza, i śpiewa arie operowe, pieśni Moniuszki, gra Szopena. Potem wszyscy razem z nią śpiewaliśmy piosenki wojskowe, legionowe, przedwojenne przeboje, przywołując tak niedawną, utraconą rzeczywistość.

Nasze aniołki wyciągały wcale muzykalnie: „Pójdź w me ramiona gibkie i przytul mnie /Ja kocham cię i nienawidzę/. Lecz kiedy ręka twa jak bat ciało tnie /Z rozkoszy nic nie widzę”, ale też „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pąki białych róż” i wiele innych.

O oznaczonej godzinie chłopcy szli spać, a Joasia siedziała u stóp matki do końca muzyki. Nie było mowy, żeby poszła bez Heli i nikt nie próbował jej namawiać. Była to przeurocza filigranowa dziewczyneczka, przy której nasze Leszki wyglądały jak kolosy, co sprawiało im wielką przyjemność i czyniło jeszcze bardziej opiekuńczymi.

Podśluchałam kiedyś ich rozmowę. - Jesteś dziewczyna i do tego mała, nie możemy cię zlać -ubolewał Jacek - - to co mamy zrobić, jak jesteśmy na ciebie źli?

Poskarżcie na mnie dobrodusznie doradziła Joasia -mnie i tak nic nie zrobią.

Nie mogliśmy bez ściśnięcia serca patrzeć na wyraz jej oczu, który zmieniał się tylko w czasie zabawy z chłopcami, tylko wtedy stawała się normalnym małym dzieckiem.

Niestety, nic jej nie pomagała Hela, która przytulając ją, zawsze miała łzy w oczach i nie mogła się powstrzymać, żeby co chwila jej nie wołać, nie biec za nią, chociaż przyznawała, że źle robi.

Co rano Joasia musiała powtarzać z Helą: „Nazywam się Zosia Jabłońska, mama ma na imię Irena, taty nie pamiętam, umarł przed wojną”.

Siedemnastego marca, po ich zabranii i wyjściu gestapo, znalazłam wiersz Heli:

Moje dziecko jest takie maleńkie  
Nie umie jeszcze czytać i pisać,  
Ale wie, co musi powiedzieć,  
Kiedy ktoś ją o imię zapyta.  
Ona skłamię, choć wie: to nieładnie.  
I ten problem nurtuje ją skrycie...  
Ale skłamię, bo będzie próbować

Ratować swe biedne życie.

Moja córka nosi po Joasi jej prawdziwe imię, a na drugie ma Zofia po Kijkowskiej.

## Wielkie pranie i inne rozrywki

Ale do siedemnastego marca jeszcze daleko .

Jesień 43 roku był w Warszawie czas bezustannych łapanek i amarantowych afiszów ze spisami rozstrzelanych. Terror ogarnął i Gołębki. Coraz częściej uliczkami spokojnego niegdyś, urzędniczego osiedla jeździły samochody z goniometrami do wykrywania nadajników radiowych. Coraz częściej z idyllicznych domków w ogródkach wyprowadzano przerażonych ludzi, którzy już nigdy nie wracali. Przekonałiśmy się wtedy, do jakiego stopnia Gołębki są nadziane wszelką nielegalnością. Podejrzewam, że Zosia wiedziała o tym wszystkim i że ukrywanie trefnych osób odbywało się z dużym jej udziałem. Nie mogła przecież wszystkich trzymać u siebie.

Na szczęście, wśród zabronionych czynności tutejszego społeczeństwa niemałą rolę odgrywało również domowe wytwarzanie bimbru. Dobrzy sąsiedzi producenci obdarowywali nas często wielkimi butlami, które chomikowaliśmy na uroczyste okazje.

Trudno uwierzyć, ale w tym domu, gdzie niespodziewany dzwonek do furtki stawiał wszystkich na nogi i powodował błyskawiczne przenosiny ludzi i rzeczy - w tym domu hucznie obchodzono święta, imieniny domowników i różne inne okazje. Wydawaliśmy wspaniałe przyjęcia, trwające do rana nie tylko z powodu godziny policyjnej. Bywało na nich po kilkanaście osób: kierownictwo Mor z najbliższymi pracownikami, nieco przyjaciół z Warszawy, a obowiązkowo Franciszek.

Oprócz bimbru, którego kompletowaniem ofiarnie zajmował się Gabriel, wszystkie składniki uczyły zarówno żywnościowej, jak duchowej brałam na siebie, niekiedy z pomocą Franciszka lub Jurka. Jedyny nakład finansowy to zakupienie wielkiej ilości chleba. Wszystko pozostałe - danie gorące i kilkaset kanapek - było mojego pomysłu i wykonania przy pomocy niebywałych dzieci. Bazę stanowiły bogate zapasy kapusty, ziemniaków i warzyw z Mor i z naszego ogrodu. Daniem zasadniczym najczęściej był bigos, wyglądający zupełnie, jakby był z mięsem. Posiadałam bowiem umiejętność zastępowania wszystkiego wszystkim. Największą moją dumą był gulasz na dziesięć osób zawierający 20 deka mięsa. I wszyscy się najedli.

Kiedyś nasze dzieci zostały zaproszone na imieniny swego rówieśnika do zamożnego stosunkowo sąsiada. Wróciły podniecone, wykrzykując:

- Słuchajcie! Co myśmy tam jedli!!! Placki z mięsa!.

Okazało się, że były to kotlety, które oni widzieli pierwszy raz.

Na naszych przyjęciach placków z mięsa nie było, za to kanapek do wypęku. Zawsze budziły one zaciekawienie, na szczęście nigdy nie zostały rozszyfrowane. Były rozmaite i kolorowe, wyglądały niezmiernie tajemniczo. Mogliby coś na ten temat powiedzieć Jacek i Piotr, wysyłam do ogrodu z poleceniem narwania mnóstwa różnych liści i traw. Wierście mi, moi kochani, że nie ma takiej rzeczy, której człowiek nie może zjeść, jeśli ją odpowiednio przyprawić. Próbowaliście kanapek z kaszą? Ugotować, zgnieść, przyprawić na bardzo ostro i posypać pachnącymi zielskami. Na pytanie gości odpowiadałam: „kawior po gołębkowski” i to wystarczało. Kaszy nikt nie odgadł. Już nie wymienię, ile past do smarowania można zrobić z kombinacji smażonej i surowej cebuli, czosnku, jabłek i w ogóle ze wszystkiego.

Ale stół stanowił tylko część atrakcji.

Z wielką niecierpliwością oczekiwano zawsze naszych programów artystycznych, których gwoździem były specjalnie napisane, aktualne utwory satyryczne.

Zespół autorów w składzie Franciszek Nowaczek, Jerzy Jarczyński i Stefania Grabowska pracował wiele nocy, aby zabawić gości żartami na tematy polityczne, obyczajowe i osobiste. Razem z autorami występowały dzieci, a Hela akompaniowała na fortepianie i śpiewała swoim pięknym, lirycznym głosem.

Dla przybliżenia klimatu tego okresu przytoczę parę „numerów” z naszych programów. Niestety, zachowało się jakimś przypadkiem tylko kilka kartek, które uszły zniszczeniu w gołąbkowskim kataklizmie.

Nie miały one pretensji artystycznych, były przeznaczone dla jednorazowego zabawienia naszych przyjaciół. Do druku dostają się kuchennymi drzwiami. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że po latach staną się dokumentem i nie zakopywaliśmy ich w ogrodzie; były to teksty dosłownie u cioci na imieninach, tyle że niecodzienne to były ciocie i dziwne imieniny.

Każdy, kto przeżył okupację, dobrze sobie przypomina najpopularniejsze wydawnictwo podziemne - - „Biuletyn Informacyjny”. Tygodnik ten wydawano z nie zakłóconą regularnością w nakładzie 45 tysięcy, co było wyczynem nie spotykanym w żadnym kraju okupowanym.

Oto wierna kopia biuletynu, sporządzona i wykonana z okazji moich imienin: nosi datę 2 września 1943 roku. W nawiasach dzisiejsze wyjaśnienia.

### *8 dób*

#### *Front przedpołudniowy*

godz. 6. Dziś we wczesnych godzinach porannych oddział miotaczy ognia do pieca „Stefania” w gwałtownym natarciu zajął Garków (kuchnia, odbywały się wtedy walki o Charków).

Następnie kontynuował codzienne swe ataki na Zasmoleńsk. W związku z tym miarodajne koła wojskowe stwierdzają największe w dziejach świata zniszczenie cebuli.

godz. 7. Cała ludność została zaalarmowana gwałtownym bombardowaniem drzwiami w rejonie kuchni. W wyniku bombardowania npl zajął Biały Domek (łazienka).

Charakterystyczna metoda zdobywania tej miejscowości każe się domyślać, że dowództwo operacji spoczywało w wytrawnych rękach Joasi.

godz. 8. Niewielka formacja ciężkiej artylerii „Jacek” otrzymała niebezpieczne i odpowiedzialne zadanie zniesienia z powierzchni łazienki czajnika. Już po godzinie formacja „Jacek” zaczęła się posuwać z zachowaniem wszelkich ostrożności.

#### *Front dalekiego schodu*

godz. 9. Na Dalekim Schodzie awiomatka rozpoczęła loty wymiatające, nadając jednocześnie głośną audycję muzyczną, słyszalną we wszystkich krajach okupowanych.

godz. 10. Formacja „Jacek” znajduje się w połowie drogi do kuchni, nie ustając w powolnym, ale nieubłaganym posuwaniu się naprzód.

godz. 10.15. Podczas działań w rejonie Garkowa Beaufatery odbywały loty wywiadowcze, badając koncentrację jedzenia pod osłoną pokrywek, Beaumatery natomiast dokonywały nieustannych nalotów nękających, bombardując teren żądaniami ciepłej wody.

godz. 10.30. Oddział miotaczy płaczących min „Piotr”, wykonawszy zadanie zmycia statków, wycofał się na z góry upatrzone pozycje, pozostawiając masę brudnego sprzętu.

godz. 11. Przeszkoda w postaci potrzeby podłubania w nosie zatrzymała formację „Jacek” w jej tryumfalnym pochodzie, nie dłużej jednak, niż na pół godziny. Po tym czasie formacja zaczęła kontynuować swój niepowstrzymany marsz, aby jeszcze wczesnym popołudniem osiągnąć kuchnię. Jednak bez czajnika, który został zapomniany w łazience.

#### *Wielkie natarcie na Garków*

godz. 12. Podczas obiadu eskadra trzech „Maruderów” przeprowadziła wojnę nerwów, usiłując świadomie opóźnić działania konsumpcyjne. Silne uderzenie w rejonie Pupska zmusiło je jednak do zmiany taktyki.

godz. 12.15. Oddziały zamoryzowane zaatakowały po raz 157 fort „Skoczeń” (sąsiad). Broniące go oddziały ztatoryzowane zostały zmajoryzowane.

godz. 12.30. Generalne natarcie na Garków skończyło się po półgodzinie. Npl wycofał się dopiero po zniszczeniu wszystkich zapasów.

godz. 12.45. Lekki transportowiec „Mama” wystartował ze swej bazy w kierunku Włoch. Celem nalotu rowerowego są linie komunikacyjne EKD. W związku z tym cała Szpudówka (1 km na ptn. zach. od Ursusa, 2½ km na pld. wsch. od Mor) została ewakuowana z kur.

#### *Front popołudniowy*

godz. 16.30. W godzinach popołudniowych przeraźliwe wycie dwóch syren (Hela uczyła mnie śpiewu) oznajmiło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ogarnięta paniką ludność skryła się w schronach. Alarm trwał 45 minut. Po odwołaniu alarmu zaczęto nieśmiało, potem coraz odważniej wynurzać się z kryjówek. Każdy z niepokojem poszukiwał najbliższych, okazało się jednak, że tym razem jeszcze wszyscy pozostali przy życiu. Z obiektów wojskowych jedynie fortepian spalił się ze wstydu.

godz. 17.30. O godzinie 17.26 dała się słyszeć potężna detonacja. Jak stwierdzono, to Jurek strzelił ciężkim dowcipem i sam się potężnie zdetonował.

godz. 18. Lekki transportowiec „Mama” powrócił do bazy. Straty własne: trzy szprychy i pół pantofla.

#### *Polityczne*

Agencja „Franciszek” komunikuje, że udało się uzyskać honorowy pokój z niewygodami. Komentata radiowy stwierdza, że w porównaniu z rokiem ubiegłym konsumpcja owoców wzrosła siedmiokrotnie, produkcja szamba ośmiokrotnie. Zjawisko to pozostaje w związku z przyrostem nienaturalnym ludności.

#### *Z ostatniej chwili*

Po zakończeniu powtórnego natarcia na Garków Biały Domek przechodzi z rąk do rąk.

Formacja „Jacek” w trwającym od dwóch godzin elastycznym marszu odwrotnym z czajnikiem znajduje się już w połowie drogi.

Wrzenie na Półwyspie Bałagańskim. Z Londynu donoszą, że polska łódź podwodna „Nusia” przybyła dziś na Półwysp Bałagański i po bohaterkiej walce stoczony z sumieniem zatopiła robaka w falach Bimbru. W związku z tym na Półwyspie Bałagańskim zanotowano wrzenie bigosu w garnku. Na który wszystkich obecnych serdecznie zapraszam!

Razem z „Biuletynem” uratował się wiersz Franciszka, wygłoszony przez niego z pamięci! - na tych samych moich imieninach, tym cenniejsza dla mnie pamiątka, że mam go w rękopisie.

Wiersz: Wiersz! Wiersz! Wiersz! Wiersz! Wiersz! Wiersz!  
Stefanija z pierwszego i z drugiego wydania,  
Stefanija-giolsa i Stafa-aktorka,  
Stefanija-kancelarka i Stafa-autorka,  
Stefanija-komik i Stafa-śpiewaczka,  
Stefanija-dowal i Stafa-pracownia,  
Stefanija-humacz i Stafa-kucharka,  
Stefanija-dziewica i Stafa-lasowka,  
Stefanija-herosa i Stafa-mistrzyni --  
I mój najdroższy Staf z Sekularnymi!

Fr.

### Do Stefanii

W ciemnym ubraniu (o jakim się marzy),  
W czystej koszuli, wzruszenie na twarzy  
Kroczeniem, którym Chaplin kroczy,  
Podchodzę, rumienię się, spuszcza oczy,  
Z nogi na nogę przestępuję  
(Jak ktoś, kto na gwałt potrzebuje),  
W lewej mam kwiatki, w prawej prezencik.  
I szepcę: „Przepraszam”, i szepcę: „Momencik”,  
I „Ja chciałbym też”, i „droga, czcigodna”,  
I „solenizantko”, i „kielich do dna”,  
I „sto lat”, i „nie stać mnie na białe kruki”,  
I „nie tylko żona”, lecz „na niwie sztuki”,  
I „trochę z Duncan”, i „trochę z Duzy”,  
I „trochę z Diotymy”, i „słowem, trzy muzy”,  
I „gdy jeszcze jedno D dodamy”,  
To „arcydzieło natury mamy”,  
I „że wątpię, czy istnieje takie drugie,  
Jak Gołąbki szerokie, jak Gołąbki długie”!  
I wszyscy „brawo!”, „ach, jaki zabawny”,  
I jaki on świntuch niepoprawny,  
I zawsze dowcipny, i tak a propos,  
I lew salonowy, i zawsze bon mot,  
I zawsze taka serdeczna nutka!  
Prosimy jeszcze! Nalejcie! Gdzie wódka?  
Lecz ja nagle patrzę, dziewczyno, w Twe ślipie –  
I już po komedii, i już po dowcipie –  
I dużo wspomnień, i dużo wydarzeń,  
Tak mało nadziei i tak dużo marzeń,  
I mnóstwo goryczy, i góra uniesień,

Pamiętasz ten wrzesień, ten kwiecień, tę jesień?  
Co oczy mówią, nikt nie rozumie,  
Tak zawsze jest, dziecko, gdy dwoje są w tłumie.  
Więc wróćmy i bądźmy wesoło obłudni,  
Inaczej powiedzą: „On dziś taki nudny!”  
Więc: Hurra! Niech żyje kochana Stefanja!  
Stefanja - z pierwszego i drugiego wydania,  
Stefanja - girlsa i Stefa - aktorka,  
Stefanja - tancerka i Stefa - autorka,  
Stefanja - komik i Stefa - śpiewaczka,  
Stefanja - drwal i Stefa - praczka,  
Stefanja - tłumacz i Stefa - kucharka  
Stefanja - do dzieci i Stefa - lekarka,  
Stefanja - hetera i Stefa - mistrzyni -  
I mój najdroższy Stef z Szkarlatyny!

Franuś w swym toaście wymienia „praczkę”, opowiem więc, skąd ta sława.

Obowiązkiem, który wzięłam na siebie dobrowolnie, było wielkie pranie. W domu nocowało przeciętnie osiem osób, a przepływ „frekwencji” wzrastał jeszcze, jak byśmy się dziś wyrazili, spożycie bielizny pościelowej. Nie muszę chyba młodych czytelników informować, że nie wchodziły w rachubę żadne pralki ani inne ułatwienia. Wielkie pranie to było prawdziwe, stare, dobre pranie z balią, tarą i kotłem na rozżarzonej kuchni.

Moja babcia miała zwyczaj co jakiś czas angażować panią praczkę i wspominałam rytuał, wiążący się z tym ewenementem. Pani praczka przychodziła o piątej rano i dostawała śniadanie z obowiązującymi dwoma składnikami: ćwiartką wódki i pętem kielbasy, po których spożyciu zabierała się żwawo do pracy i w świetnie zorganizowany sposób wykonywała zadanie, cały dzień podśpiewując. Zapamiętałam wrażenie, jakie robił na mnie ten ceremoniał. Wtedy postanowiłam zostać praczką.

I oto marzenie dzieciństwa miało się spełnić. Przed pierwszym praniem zażądałam od Gabriela kielbasy i ćwiartki bimbru na piątą rano. Uważałam to za dobry żart, tymczasem okazało się, że takie były obyczaje ogółu kapitalistycznych praczek i nie zdziwiony Archanioł spokojnie powiedział:

- Rozumie się. Wszystko będzie na czas.

Wypita nad ranem 60-procentowa ćwiartka miała moc nieoczekiwaną. Profesjonalistki wiedziały, co dobre.

Kiedy gołąbkowska ludność zaczęła wstawać, miałam już część prania zrobioną: Po cichu gromadzili się w drzwiach kuchni, aby podziwiać tonącą w parze postać, w energicznym rytmie zginającą się i prostującą nad balią pod melodię wesoło wyśpiewywanych piosenek.

Odtąd dzień W.P. (kryptonim Wielkiego Prania) stał się dniem wyjątkowym. Praczka wyłączała się z codziennych zajęć i trosk, całkowicie oddana swemu zadaniu. Ludność musiała radzić sobie sama ku wielkiej radości dzieci, gdyż i sprawy wychowawczo-dydaktyczne ulegały zawieszeniu. Na szczęście,

dzieci były niebywałe i na ich barki spadały obowiązki domowe. I tak przed którymś W.P. wyłuskaliśmy i namoczyliśmy groch na jutrzejszy obiad. Grochówka była smaczna, tylko stołowników zastanowiły dziwne paprochy pływające na wierzchu. Okazało się, że niebywałe dzieci zebrały robaki, które wypłynęły po namoczeniu grochu, i wrzuciły je do zupy.

Na pytanie, dlaczego to zrobiły, odpowiedziały: - Stefa mówiła do taty, że powinniśmy jeść więcej mięsa, bo mamy za mało białka. Robaki to przecież mięso.

Zdarzało się, że W.P. wypadało podczas pobytu Franciszka. Wstawał o wpół do piątej, aby z uznaniem przyglądać się, jak wypijam ćwiartkę na czczo. Potem zasiadał na ławeczce pod wieszakiem z pokrywkami i nie kryjąc satysfakcji przyglądał się, jak gimnastykuję się nad balią, walcząc z wydymającymi się na kształt olbrzymich balonów poszwami.

- Po wojnie wystąpisz w rewii u Własta jako pogromicielarka poszew. Bielizna będzie z brokatu, balia naszywana cekinami, a te ruchy nad tarą będziesz wykonywać tyłem do widowni: sza! W tle girlsy jako ręczniki i prześcieradła, a tytuł rewii „Zaprane piosenki”. Włast napisze ci tango: „Prę te poszwy wzdymające / Co są jak usta tve gorące”.!



## Natalia

Opowiadanie o Gołąbkach nie może się obyć bez wspomnienia Natalii.

Któregoś wieczora Zosia swoim zwyczajem wpadła do domu jak piorun. W ogóle Zosia Kijkowska wszystko robiła jak piorun. Była to najszybsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. W niedzielę i święta dzięki jej obecności dom całkowicie zmieniał rytm i oblicze. Przejmowała natychmiast wszystkie zajęcia, nie słuchając próśb, żeby raczej odpoczęła. Co do mnie (a nie należę do powolnych), nie dążyłam wziąć się do czegokolwiek, bo natychmiast wrywała mi wszystko z rąk.

W niestępnym poczuciu winy, że w ciągu tygodnia nic nam nie może pomóc, usiłowała zrekompensować to w niedzielę. Była przy tym wieloczynnościowa: jedną ręką sprzątała, drugą gotowała, trzecią szorowała garnki, czwartą rozdawała mocarne klapsy swoim dzieciom, najczęściej zresztą bez dania racji, uważała bowiem, że przez tydzień tak czy inaczej musiały na nie zasłużyć. Jednocześnie zadawała wszystkim masę pytań, nie czekając na odpowiedź, opowiadała różne ciekawe nowiny z Warszawy i śpiewała wielkim, ostrym głosem starofrancuskie ballady.

Wszystko to robiła z wielkim szumem i temperamentem. Wszelkie codzienne sprawy domowe zamierały, zmiecione przez szalejący huragan. Domownicy byli przyzwyczajeni, zresztą wszyscy kochali Zosię za to, że była właśnie taka, jaka była, natomiast przerażona „frekwencja” kryła się po kątach. Osoby przelotne z reguły poznawały Zosię w dramatycznych okolicznościach: dostarczone na umówione miejsce, były odbierane przez dystygowaną panią o surowej powierzchowności i sposobie bycia, w której rękach miał spoczywać ich dalszy los. Zetknięcie różnych osobowości Zosi wywoływało w biedakach niezły szok...

Prawdziwe skutki niedzielnej aktywności ujawniały się dopiero w poniedziałek rano. Aż do soboty wieczór trwały poszukiwania patelni, szczotki, miski z ugotowaną kapustą, sweterka Jacka, majtek Piotra i wielu innych rzeczy, które uległy sprzątaniu. W niedzielę po przyjeździe Zosia znajdowała natychmiast wszystko i piekielne rondo mogło toczyć się dalej.

Bywało jednak, że Zosia wpadała znienacka w powszedni dzień, a raczej wieczór. Wówczas wołała od progu:

- Wszystko w porządku?

Po czym zniknęła w ciemnościach gołąbkowskiej uliczki i po chwili wynurzała się z powrotem, a za nią wsuwała się jakaś postać z wyrazem „przepraszam, że żyję” na twarzy.

Zosia swym donośnym głosem obwieszczała: - To jest Władysław (Elżbieta, Janka, Mela, Marek, nie pamiętam już wszystkich imion kolejnych „frekwencji”).

I dodawała:

- Stefa, daj jej (jemu) jeść.

Nigdy nie wierzyła, że ktoś z nas sam wpadnie na najprostszy choćby pomysł.

Na tym kończyła się prezentacja. Do mnie należało zakwaterowanie „nowego” i zapoznanie go z regulaminem domu. Musiałam też poinformować go, co ma robić, gdyby przyszło gestapo: ukryć się (i gdzie), czy wyskoczyć na tyły przez okno, czy udawać sublokatora, czy jeszcze coś innego.

Któregoś wieczora został wprowadzony wysoki, szczupły pan w okularach, zaprezentowany jako Edward. Musiałam użyć całej okupacyjnej rutyny, żeby obojętnie powiedzieć, gdzie może umyć ręce i że za chwilę kolacja.

Był to nie kto inny, tylko nasz miły sąsiad z Poznańskiej, który tak nam pomagał, kiedy nas wszystkich wyrzucano. Mój widok jako gospodyni tego całego interesu musiał go zaskoczyć jeszcze bardziej, ale zachował równie kamienną twarz. Kiedy go wyprawiliśmy na strych, gdzie miał nocować, wywołałam z pokoju Zosię. Ona musiała być poinformowana o wszystkim.

- Słuchaj, ja doskonale znam tego faceta, to był nasz najbliższy sąsiad.

- W takim razie pamiętaj: on jest po wielkiej wyspie organizacyjnej, na świeże dokumenty i zmienione nazwisko.

- O, do diabła! A miałam nadzieję, że nareszcie się dowiem, jak on się nazywał!

I nigdy się nie dowiedziałam.

Pan „Edward” pozostał parę dni, ale nawet kiedy byliśmy sam na sam zachowywał się tak, że zaczęłam wątpić, czy to na pewno on. Dopiero przy pożegnaniu uścisnął mi dłoń, skłonił się szarmancko i powiedział:

Będę szczęśliwy, jeżeli kiedyś znów się spotkamy. Los miewa takie dziwne pomysły.

Jeszcze raz się ukłonił, zawsze z tą samą wytwornością, i poszedł.

- Zakochał się w tobie! - zawołała podniecona Hela. - Kiedyś go podejrziałam, jak ci się przypatrywał z takim jakimś uśmiechem.

„Frekwencja” przebywała w domu czasem jedną noc, czasem kilka dni. Wyjątkiem była Natalia, bo Zosi długo nie udawało się znaleźć dla niej lokum. Stanowiła niewdzięczny obiekt do umieszczenia na stałe: miała absolutnie semicki, katastroficznie „zły” wygląd, natomiast nie miała dokumentów. To, co nazywano „złym wyglądem”, nie polegało tylko na rysach. Chodziło przede wszystkim o wyraz twarzy i w pewnej mierze o zachowanie. Do tego Natalia była śmiertelnie przerażona, co wykluczało nadzieję, że w razie czego zagra bezczelnością (Niemcy mało się znali na wyglądzie). W wypadku wyspy katastrofa dla całego domu była nieunikniona. W dodatku nie miała ani grosza, odpadały więc meliny, gdzie można by ją umieścić za pieniądze.

To jest Natalia - - oznajmiła Zosia i kazała mi dać jej jeść. Tego dnia dzieci leżały chore, więc nie mogłam się nią zająć. Powierzyłam ją Heli, co okazało się bardzo ważne.

Był wtedy w Gołąbkach Franciszek. Na widok nowej - jak zwykle w takich wypadkach - przeistoczył się błyskawicznie w starego, niesympatycznego pana Nowaczka, burknął „dobri wiecziór” i poszedł na górę. Biedna Natalia omal nie zemdląta. Przynęła się do Heli i szepnęła:

-Niemiec...

Moja sztuka fryzjerska odniosła jeszcze jeden triumf! Siwiejący Franciszek ostrzyżony na szczotkę, z podgolonym karkiem i oficerskim wąsikiem wyglądał jak symbol Prusaka z książek dla młodzieży. Natalia nigdy nie bywała w teatrzykach, a z cudzoziemskim akcentem mógł jej się kojarzyć tylko Niemiec. Hela, wierna regulaminowi, powiedziała tylko:

- Niech się pani nie boi, w tym domu nikt pani nie zrobi krzywdy.

Natalia z miejsca przylgnęła do Heli całym swoim biednym, samotnym sercem. Chodziła za nią jak pies i tylko przy niej czuła się bezpiecznie. Wielkie znaczenie miały ciepło i serdeczność emanujące z Heli, ale nie tylko.

- Pani też ma ciężkie problemy, jak każdy Polak pod okupacją - mówiła do niej Natalia - ale tego, co czuję ja jako Żydówka, takiego strachu, takiego nieszczęścia pani nie może sobie nawet wyobrazić. I to uczucie, że każdego narażam. Panią też narażam.

I patrzyła z podziwem i zazdrością na blond warkocz i niebieskie oczy Heli. Ta nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Wieczorami opowiadała nam:

- Chwilami trudno mi to znieść. Na przykład, kiedy ona do mnie mówi: „To straszne, że pani mąż nie żyje, ale umarł jak człowiek. A moich wszystkich wywieźli do gazu. Synka schowałam z moją matką, żeby choć oni się uratowali. Bo ja musiałam pracować. I ich zabrali, a ja żyję. Pani ma swoją córeczkę...” I jak ja mam się zachować?

- Jak masz się zachować? Masz się zachować jak każda inna przyzwoita aryjka - powiedział zawsze trzeźwy Franuś. - Westchnij, pokiwaj głową, przytul ją i spytaj, czyby czegoś nie zjadła.

- Pan jest cyniczny - oburzyła się Hela. - A czy pan sobie zdaje sprawę, że ona pana się boi i wciąż jeszcze uważa pana za Niemca? Dlaczego pan przy niej udaje takiego burkliwego?

- Żeby się czasem nie zakochała. Pomyśl, jak musiałaby walczyć z tym uczuciem.

Przywiązanie Natalii do całego domu z niesympatycznym Niemcem włącznie i jej miłość do Heli były tak wzruszające, że w gruncie rzeczy byliśmy zadowoleni, że jej pobyt się przedłuży.

Największym szczęściem Natalii było słuchanie śpiewu Heli. I Hela, której przy wszystkich zaletach serca nie dostawało fantazji, nagle wyszła ponad siebie.

Biorąc udział w imprezach na cele dobroczynne w getcie, Hela uległa prośbie organizatorów i nauczyła się żydowskiej ludowej piosenki, którą tam wykonywała z dużym powodzeniem, nie znając zresztą języka. Była to prześliczna, bardzo smutna piosenka, którą nam czasem śpiewała. Dzieciom Franuś wyjaśnił, że to turecka kołysanka.

Pewnego deszczowego, listopadowego wieczora beznadziejnego 43 roku Hela jak zwykle zasiadła do fortepianu. I nagle, bez żadnego zapowiedzenia, zaśpiewała tę żydowską piosenkę.

Natalia zbladła i patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, z których płynęły łzy. Ta scena mogłaby wydać się ckliwa, gdyby nie była tak dramatyczna. Niezawodny Franus, obawiając się, że nagły polot Heli może ją ponieść za daleko, wyczekał do zakończenia i szybko powiedział:

- To piękna piosenka. A może umiesz jeszcze jakąś? Ta twoja szkolna koleżanka, Żydówka, nie nauczyła cię więcej?

- Nie - mruknęła Hela, wzięła Joasię i szybko poszła do siebie. Całym majątkiem Natalii było tylko to, co zdołała na siebie włożyć, uciekając z getta. W tajemnicy przed wszystkimi spruła swój sweter i zrobiła dla Joasi na urodziny śliczną sukienkę na drutach.

- Nie mogę tego od niej przyjąć - powiedziała Hela, odpakowawszy paczkę znaną pod drzwiami pokoju. - To był jej jedyny sweter.

Franciszek aż wstał.

Natychmiast ubierz w to małą i biegnijcie ją uściskać. Tylko żadnego roztkliwiania! Macie po prostu cieszyć się z pięknego prezentu. Normalnie. Jakby wam go dała stara Rotszyldowa.

Natalia była długo. Nie potrafię dziś powiedzieć, tygodnie czy miesiące. Wrosła w ludność i stałaby się domownikiem (w znaczeniu stanu psychicznego), gdyby nie jej i nasza świadomość, że nie może zostać. Nauczyła się uśmiechać i nawet czasem się odzywała, już nie tylko do Heli.

Zosia rozumiała i podzielała nasze nastroje. Toteż miała mocno niewyraźną minę, kiedy przyjechała i oznajmiła ze sztuczną wesołością:

- Mam dobrą nowinę dla Natalii. Jest dla niej miejsce – palce lizać!

Tego samego wieczora obie odjechały. Zosia, jak zawsze w takich wypadkach, nie zdradziła, dokąd.

Nie opisuję pożegnania. Było dokładnie takie, jakie sobie wyobrażacie.

Patrząc przez okno za dwiema oddalającymi się w ciemności postaci, myślałam o słowach Franciszka wypowiedzianych, kiedy przed tygodniem wracał do Warszawy:

- Każdy z nas może zginąć. Natalia musi. W niej jest śmierć.

Rodzina, u której została umieszczona, przetrwała bez przygód do powstania, ale Natalia któregoś dnia zmyliła gospodarzy, wyszła na ulicę i nigdy nie wróciła. A w Gołąbkach bała się podejść do okna...

## Sejsmograf Franciszka

Kończył się rok 1943. Z frontu wschodniego nadchodziły pomyślne wiadomości, we Włoszech działały się krzepiące rzeczy, ale w Warszawie sytuacja była przerażająca. Rzadko zdarzały się dni bez publicznych egzekucji. Niemcy rozstrzeliwali w biały dzień w środku miasta, w nocy - w ruinach getta. Okolice podmiejskie zrównały się w niebezpieczeństwie z Warszawą.

Zosia przyjeżdżała coraz rzadziej. Osoby pracujące zawodowo w konspiracji miały polecenie, aby jak najmniej kontaktować się z rodzinami. To samo zresztą dotyczyło Zochy, siostry Jurandota, i większości naszych przyjaciół.

Coraz częściej trzeba było w Gołąbkach przechować kogoś przez parę dni lub chociażby godzin, a jednocześnie coraz częściej ogłaszano w domu alarm. Każde aresztowanie kogoś z bliskich kręgów powodowało konieczność opróżnienia domu i powysyłania wszystkich w różne strony aż do odwołania.

Kiedyś zdarzył się alarm w czasie pobytu Franciszka. Do Warszawy nie mógł wrócić, bo właśnie przyjechał do nas na skutek alarmu na Filtrowej.

- Mory! - powiedział Jurek w czasie narady. - - Lecę do kierowniczkę spytać.

Była to tylko formalność. Nusia usłyszawszy, o kogo chodzi, powiedziała tylko:

- Biegnij po niego. Wykopię ratafię. Co to znaczyło, wiedzieli najbliżsi.

Nusia robiła najrozmaitsze genialne nalewki, którymi częstowała wybrańców, natomiast butelki legendarnej ratafii zakopywała: miały oczekiwać pierwszego dnia wolności.

Ratafia została wykopana i wypita na stryszku, gdzie umieszczono Franusia. Kierowniczkę sama zaproponowała, żeby na czas jego pobytu Jurek przeprowadził się na ów stryszek z pokoju, który dzielił z dwoma innymi pracownikami. Obmyślono, że Jurandot będzie udawał, że musi jeździć do chorego stryja zamieszkałego w Warszawie. Codziennie po pracy wychodził, szedł w kierunku EKD, po czym zawracał i już po ciemku wchodził od tyłu do budynku ze stryskiem. O świcie znów „wracał z Warszawy”.

Ta konspiracja trzeciego stopnia niezmiernie cieszyła kierowniczkę, która podczas kolacji z pracownikami wzdychała:

- Ten stary Jarczyński, jak go od dwudziestu lat pamiętam, zawsze lubił popijać, nic dziwnego, że mu wątroba wysiadła. I teraz biedny Jurek musi jeździć go pielęgnować.

Po czym pomykała chyłkiem na stryszek, gdzie nasi dwaj panowie tonęli w planach na przyszłość, układali programy do „Figara”, obsadzali poszczególne numery.

Stopniowo dopuszczono jeszcze parę osób spośród tych, które bywały na gołąbkowskich bankietach.

Kiedy alarm został odwołany, odbyło się uroczyste pożegnanie. I ja tam byłam i nalewkę piłam, a w archiwach kierowniczkę zachował się wiersz, napisany i wygłoszony przez nią osobiście:

O tygodniu, kto ciebie przeżył u nas w Morach,  
Ten cię we wszystkich życia zapamięta porach.  
Gdy dwaj wielcy artyści do Mor zawitali  
I na stryszku w ukryciu razem przebywali.  
Ten pierwszy to czarodziej, czaruje wymową.  
Blaskiem oczu, uśmiechem, posrebrzoną głową.  
Słuchać tego, co mówi, to jest szczyt rozkoszy.  
Nic dziwnego, to przecież jest sławny... konferansjer.  
Ten drugi to satyryk, cięty humorysta.  
Że najlepszy piosenkarz, rzecz to oczywista.  
Że się teraz pogłębił i nabrał fantazji.  
Więc też poczuł natchnienie do wielkiej poezji  
I pisze śliczne wiersze pod muzy dyktando.  
Nic dziwnego, to przecież jest słynny... poeta.  
O czasy, obyczaje dzikie i złowieszcze,  
Gdy takie niewygody cierpieć muszą wieszczce,  
I kiedy w utrapieniu i srogiej udręce  
Muszą siedzieć na strychu czy w innej łazience.  
Ale może niedługo skończy się złe życie  
I wieszczce znów zasiądą na Parnasu szczycie,  
A wszystkie dawne biedy, troski i kłopoty  
Stworzą temat do pieśni albo anegdoty.

I rzeczywiście.

Co do mnie, w wypadkach alarmu jeździłam do Warszawy. Przy całym przywiązaniu do Gołębek i pomimo ponurych powodów tych wyjazdów - wstyd się przyznać - cieszyłam się, że jadę. Miałam okazję odwiedzenia przyjaciół, a przede wszystkim Franciszka, co zresztą było mi kategorycznie zabronione.

U Franusia spotykałam Kazia Koźniewskiego, jego Lusię i innych znajomych spoza kręgu Gołębek. Przychodziła moja przyjaciółka z lat szkolnych, Krystyna Żywulska, po wojnie znana satyryczka i autorka głośnej książki „Przeżyłam Oświęcim”. Franuś przepadał za nią. Krystyna była „pochodzeniowa”, ale jej wygląd, wdzięk, energia i odwaga skłaniały ją do wyczynów konspiracyjnych, które zakończyły się, bo musiały się zakończyć, Pawiakiem i Oświęcimiem. Cud, że nie rozwałką, ale w wielkiej mierze zawdzięczała to sobie. Wygrała przytomność, inteligencja, no i przearyjski wygląd. Po długotrwałym śledztwie na Szucha i na Pawiaku wysłano ją do Oświęcimia bez paragrafu pochodzeniowego, choć dokumenty miała jak najbardziej fałszywe. Nazwisko jej można znaleźć w licznych publikacjach o Oświęcimi: była tam bardzo popularną poetką, autorką przejmujących wierszy obozowych.

Franuś nazywał ją „paradegojką”. Kiedy trzeba było załatwić coś wątpliwego w jakimś urzędzie czy przeprowadzić z miejsca na miejsce kogoś o semickim wyglądzie, szła Krystyna, właśnie jako „paradegojką”. Niezmiernie cieszyło to Franciszka, który kochał paradoksy.

Moje wyjazdy do Warszawy były nielegalnością wobec nielegalności. Wiedziałam dokładnie, do kogo nie wolno mi chodzić... i tylko tam chodziłam. To nie żadna odwaga, po prostu moja głupota była większa niż instynkt samozachowawczy, przy tym wyznawałam zasadę Franciszka, że jak się ma trzy wyroki śmierci, to czwarty już mało zmienia. Jedyne, o co było łatwo, to o wyrok śmierci, a ostrożni ginęli tak samo jak lekkomyślni, tchórze tak samo jak odważni.

Na dowód tego Franciszek opowiadał o naszej wspólnej znajomej, owdowiałej matce szesnastoletniego jedynaka. Szantażem uczuciowym wymogła na nim przysięgę, że nie będzie się narażał „bawiąc się w konspirację”, nie pozwalała mu uczyć się na kompletach i pilnowała, żeby jak najrzadziej wychodził z domu. Chłopak cierpiał, wstydził się kolegów, ale dotrzymał słowa. Pewnego razu matka, gotując obiad, spostrzegła się, że nie ma papierosów, posłała więc chłopca do kiosku po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie wrócił.

Tą autentyczną historią usprawiedliwiałam się, kiedy moje władze ostro besztaly mnie za niesubordynację. Ale cóż robić? Naprawdę nie miałam znajomych w nic nie zaangażowanych.

Rok 1943 zbliżał się ku końcowi.

Szczęśliwie się złożyło, jak bezczelnie mówiliśmy, że na Filtrowej znów był alarm, Zosia sprytnie podsyciła niepokoje i ściągnęła Franciszka na wigilię.

Z jego pomocą sporządzona została kolacja z siedmiu tradycyjnych dań. Jak zapowiedział Franuś, zanim usiedliśmy do stołu:

- Oto najsmaczniejsza ersatz-kolacja w całej ersatz-Generalnej Guberni, począwszy od ersatz-zupy grzybowej do ersatz-kutii. Prawdziwi są tylko uczestnicy i kapusta, bo nawet wino składa się z bimbru.

Głównym punktem programu były, oczywiście, kolędy.

Po kolacji odsłoniła się kurtyna, którą zrobiliśmy z zawieszzonego na sznurku ślubnego adamaszkowego obrusa Zosi, i ukazało się podium z kuchennego stołu przykrytego prześcieradłem. Przy fortepianie siedziała Hela w długim, błękitnym szlafroku, ponaklejanym srebrnymi gwiazdkami, a na podium stały trzy aniołki w długich, nocnych koszulach pradiadka T. T. Jeża. Dwa aniołki były blond, a jeden w środku ciemny. Wszystkie jednakowo przejęte zaśpiewały składankę z dziewięciu kolęd. Potem chodżyły dokoła stołu i wszyscy śpiewali razem z nimi.

Choinka była do sufitu - dar z Mor, paliły się prawdziwe świece, nasze aniołki trzymały w rękach zimne ognie i wielkie oczy Joasi błyszczały jak latarki, kiedy śpiewała swoje solo:

Podnieś rękę, Boże Dziecię  
Błogosław Ojczyznę miłą  
W dobrych radach, w dobrym bycie  
Wspieraj jej siłę swą siłą.

Wzruszenie było ogólne, a co poniektórzy ukradkiem ocierali oczy, Franciszek uznał więc, że pora rozładować nastrój. Zawołał:

- Do finału wychodzą wszyscy!

I poprowadził węża poprzez cały ciemny dom w takt wesołych, skocznych kolęd. Artyści z publicznością skakali, potrząsając zimnymi ogniami, było wspaniale i beztrusko.

Gabriel, Hela i Joasia mieli przed sobą niecałe trzy miesiące życia.

W marcu Franciszek przyjechał znów do Gołębek ku ogólnej radości. Nie było go od świąt, stęskniliśmy się ogromnie.

Nastrój był doskonały, Niemcy zupełnie wyraźnie dostawali w tyłek na froncie wschodnim od wojsk radzieckich, a w głowę z samolotów alianckich. Nie było już takiego pesymisty, który nie wierzyłby w rychły, zwycięski koniec wojny. Cały klops polegał tylko na tym, żeby dożyć, co stawało się coraz trudniejsze.

Nasza radość z Franusia była tym większa, że przyjechał nie na skutek alarmu, lecz po ciężkiej grypie, aby się dotlenić, jak mówił, fizycznie i duchowo. Miał zostać parę tygodni i przygotowaliśmy wspaniały program na imieniny Gabriela.

Jurek przybiegał z Mor codziennie po pracy, zostawał do rana i znów, jak kiedyś na Złotej, przegadywaliśmy we trójkę całe noce. W dzień Franuś leżakował otoczony dziećmi, które mu włożyły na głowę, z czego był bardzo zadowolony.

- Zosia i Stefa to satrapy, Gabriel - sprawiedliwy i surowy sędzia, Jurek - pan od matematyki, niechże te dzieci mają dla siebie kogoś na swoim poziomie.

Hela uczyła wszystkich śpiewać i po południu dom rozbrzmiewał jak konserwatorium.

Właśnie takiego popołudnia 15 marca Franciszek, ubrany po miejsku, wszedł do pokoju, gdzie pod kierunkiem Heli śpiewałam gamy i pasaże, a Jurek rozpałał ogień w kozie.

- Żegnam się z wami, moi kochani. Zaraz wyjeżdżam. Czekam na Gabriela, żeby mnie odprowadził do Włoch na EKD.

Wybałuszyliśmy oczy.

- Co się stało?!

- Nic się nie stało. Po prostu muszę wyjechać. Mój sejsmograf.

Wskazał miejsce w górnej części mostka.

- Ale zostań chociaż do imienin Gabriela! Chociaż ten tydzień, nie możesz nam tego zrobić!

- Ani jednego dnia.

Przyniósł płaszcz i tobołek, położył na fotelu i stanął w oknie.

- Idzie.



Gabriel wysłuchał Franciszka i nawet nie zdejmując płaszcza wyszedł z nim bez słowa komentarza. Rozsądny, trzeźwy, realistyczny Archanioł rozumiał pewne rzeczy lepiej niż my.

Zapewne zepsują kompozycję tej książki, ale winna tu jestem wyjaśnienie dla osób powojennych. Można by sądzić, że Franciszek, mając złe przecucia, złapał palto i uciekł, troszcząc się tylko o siebie. Nic mylniejszego.

Wiadomo było, że w razie jakiegokolwiek wpadki jego obecność przypieczętowałaby los całego domu. Ze wszystkich osób, które kiedykolwiek tu przebywały, on najbardziej narażał otoczenie.

Tych kilka zdań dodałam na życzenie moich prywatnych młodych recenzentów, bo dla nas sprawa była oczywista.

Nagły wyjazd Franciszka zakłócił przygotowania do przedstawienia na imieniny Gabriela. Bez niego przestało nam się kleić i straciliśmy ochotę. Czułam ciężar na sercu, nie dawał mi spokoju powód tego nagłego wyjazdu.

- Wierzę w jego przecucia - mówiłam do Jurka. - Pomyśl, ile razy się sprawdziły.

- Pamięta się tylko te, które się sprawdziły, stąd ten mit - uspokajał mnie Jurandot, ale sam też zmarkotniał.

Następny dzień minął jednak normalnie. Mieliśmy nadzieję, że wkrótce Franuś wróci i nawet zrobiłam próbę numeru akrobatycznego w wykonaniu dzieci.

Poszliśmy spokojnie spać.

## 17 marca 1944

Nazajutrz wstałam wcześniej, żeby upiec obiecany piernik z marchwi, który uwielbiały dzieci. Cała trójka asystowała mi w kuchni, stojąc w kolejce do wyskrobywania garnków, było dużo przepychania się i śmiechu, jak zawsze przy takich okazjach. Wreszcie piernik wyszedł z pieca, udany, wyrośnięty i pachnący prawdziwym piernikiem.

Nieczuła na błagania, zabroniłam napocząć. - Gorący źle się kroi. Jak przyjdą tata i Jurek, nakryjemy ładnie do stołu i zrobimy uroczysty podwieczorek.

Kapusta na strychu zaczynała się psuć, jak to na wiosnę, po obiedzie poszłam więc ją przebierać.

Żadnej „frekwencji” w tym czasie nie było. Cud. W domu cisza. Chłopcy odrabiali lekcje, Hela czytała Joasi w ich pokoiku, Gabriel przydrzemywał na swoim tapczanie, a Jurek w, przedpokoju rąbał drzewo na opał. I on pierwszy zauważył.

Podjechali budą tak cicho, że nikt nic nie słyszał. Jurek przypadkiem spojrzął w okienko.

- Są w ogrodzie! Dom otoczony!

Do dziś mam w uszach jego głos.

Gabriel zerwał się.

- Zachowujcie się normalnie, każdy zostaje tam, gdzie jest - zawołał.

Przebierałam dalej kapustę.

Tyle razy wyobrażałam sobie tę sytuację, tyle razy nawiedzał mnie we śnie ten koszmar, że rzeczywistość odebrałam jako coś, co musiało się stać. Dopiero po chwili odczułam lodowate zimno, o którym opowiadali ci, co kiedyś uszli cało.

Wszystko odbyło się schematycznie.

Było ich kilkunastu. Ośmiu czy dziewięciu wpadło do mieszkania, reszta została na zewnątrz. Na razie buszowali po parterze, wrzeszcząc i popychając. Przeczekałam chwilę i zesłam ze strychu mając głupią nadzieję, że nie znajdą Heli z Joasią. Jurek i Gabriel stali w kuchni. Na ławeczce pod wieszakiem z pokrywkami, tej samej, na której siedziały Leszki Białe, kiedy je zobaczyłam pierwszy raz, tej samej, na której siadywał Franciszek podczas Wielkiego Prania, rozwał się gruby gestapowiec. Paru innych kręciło się po kuchni.

Nie lubiłam szorować tych pokrywek. Tego dnia jednak uznałam, że są zapuszczone i niestety pracownicy je wyczyściłam.

- Mogłam poczekać z tymi pokrywkami do jutra, już bym nie musiała ich myć - to była pierwsza moja myśl po wejściu do kuchni, mówię prawdę.

Jeden z gestapowców złapał mnie za ramię, pchnął pod ścianę i huknął do mnie. Wybałuszyłam oczy udając, że nie znam niemieckiego (można zyskać na czasie podczas tłumaczenia).

- Służąca? - wrzasnął folksdojcz.

Ta wersja mogła być dla mnie pomyślna, jednak instynktownie wybrałam zasadę kontry.

- Jaka służąca, nie jestem żadną służącą. Pomagam w gospodarstwie i przy dzieciach, bo wolę tu mieszkać.

- Dlaczego wolisz tu mieszkać? - zgodnie z moim przewidywaniem spytał foks.

- Bo w Warszawie stale łapanki i wywożą do Niemiec, a tu miał być spokój. Tak obiecywali, a teraz masz.

Kontra wypaliła. Gestapowiec zaśmiał się z niespotykanej idiotki, która jemu się skarży na łapanki. Dograłam pomyślnie partię, kiedy na żądanie kennkarty odmówiłam pokazania.

- Bo oni wezmą i nie oddadzą - zwierzyłam się tłumaczowi. - A gdzie ja będę teraz wyrabiała nową?

Gestapowiec był tak ujęty moją głupotą, że nawet mnie nie uderzył.

- Powiedz jej, że oddam - zaśmiewał się.

Tu wtrącę, że kennkartę miałam akurat zupełnie prawdziwą. Wyrobiłam ją sobie najlegalniej w świecie, tyle że na podstawie fałszywego dowodu osobistego. Kiedy w formularzu trzeba było podać zawód, wspomniałam postrzyżyny Franciszka i wpisałam „fryzjerka”, co z kolei miało rzutować na następny epizod mego życia okupacyjnego.

Nażartował się mój gestapowiec nad tą fryzjerką - „masz dobry zawód, a tu jesteś kuchcią, a prawda, boisz się łapanek”, słowem, wprawiłam go w dobry humor. Uznano mnie za przygłupa. Mogło to oznaczać, że jestem uratowana. Oddano mi kennkartę i kazano stać w kącie kuchni.

Z uczuciem ulgi widziałam, że inny, przejrząwszy dokumenty i zaświadczenia Jurka, również mu je oddał. Z części rozmowy, którą słyszałam, wynikało, że znają majątek Mory i przyjęli wyjaśnienie Jurka, że jako tamtejszy pracownik na polecenie kierowniczkę przyniósł tu zakupione warzywa i właśnie czekał na pieniądze.

Dopiero z podsłuchanych fragmentów rozmowy z Gabrielem zrozumiałam, o co chodzi. Poszukiwali Zosi. Na taki wypadek wszystko było dokładnie umówione.

- Żona nie bywa w domu już od dawna - mówił Gabriel - wyprowadziła się i nawet dziećmi się nie interesuje. Nie zostawiła adresu, nic o niej nie wiem.

Nie wychodziła mi z głowy Hela. Przebiegałam w myśli wszystko, co jest zakopane w ogrodzie, i nie drukowane jeszcze artykuły do prasy podziemnej wetknięte w dzieła T. T. Jeża na strychu. Szczegółowa rewizja musiała skończyć się tragicznie dla nas wszystkich.

Kazano mi przejść do sąsiedniego pokoju. Tu, jak się okazało, byli chłopcy. Za stołem siedział spokojny, z życzliwym wyrazem twarzy gestapowiec.

- Oni się mnie boją albo nie rozumieją - powiedział łamaną t polszczyzną. - Może przy pani porozmawiają ze mną. Nie ma czego się bać, ja też mam taką małą córeczkę, nic złego wam nie zrobię.

Mówi do mnie per „pani”, hm. Nie spodobało mi się to. - Martwią się chyba, że mamusia wyjechała - ciągnął. - Nie martwcie się, na pewno jutro wróci, a może jeszcze dzisiaj?

- Mama nigdy nie wróci, mama wyjechała na zawsze!

- Nie kochamy mamy, mama o nas nie dba.

- Mama nas nie kocha, nie chce nas widzieć - przekrzykiwali się, zachęceni moim spojrzeniem.

Zgoda, byli nauczeni. Ale ta szczerość, te niewinne oczy, te żalosne głosiki! Niebywałe dzieci tak się zagrały, że sama omal im nie uwierzyłam.

Przygarnęłam chłopców i cicho powiedziałam do „sympatycznego”:

- Biedne sieroty, dobrze, że choć ojca mają.

Niebywałe dzieci przytuliły się do mnie i wrogo spoglądały na nietaktownego pana, który poruszył tak bolesny temat.

Drzwi otworzyły się. Dwóch wepchnęło Helę z Joasią.

Nie, nie mogliśmy mieć za złe Heli, że od razu się załamała. Powtarzała bez sensu swoje: „Nazywam się Irena Jabłońska, mam dokumenty”. Miała „dobry wygląd”, miała dokumenty, ale jeszcze raz sprawdziła się teoria Franciszka, że nie rysy twarzy, tylko wyraz decyduje o rozpoznaniu „pochodzenia”. Z tą bledością, przerażeniem w oczach, opuszczonymi kącikami ust nie mogła budzić wątpliwości: to był człowiek skazany na śmierć. Gdyby była sama, na pewno zachowałaby się inaczej i może by się uratowała, ale Joasia obejmowała ją kurczowo i razem z nią zachwiała się i omal nie upadła, kiedy gestapowiec walił matkę po twarzy. Na pytania mała odpowiadała cichutko: „Mój tata umarł dawno, ja go nie pamiętam, nazywam się Zosia”.

Oderwano ją od matki i pchnięto w naszą stronę. Helę wyprowadzono.

Joasia nie płakała. Usiadła obok mnie i siedziała bez ruchu. „Sympatyczny” zagadywał chłopców, ale oni, uznawszy, że powiedzieli, co było trzeba, nie reagowali, szepcząc coś między sobą.

Na stole stał mój piernik z marchwi. Spytałam, czy mogę dać dzieciom.

- Naturalnie, muszą być głodne, proszę bardzo - rozpromienił się.

Odkroiłam trzy kawałki.

- Tylko chłopcom, jej nie.

- To też jest dziecko.

- Das ist kein Kind. Das ist eine Jüdin - - powiedział tatuś małej córeczki.

Powiedział to po niemiecku, więc nikt go, rzecz jasna, niezrozumiał i Joasia dostała swoją porcję piernika. Widocznie miał polecenie, aby był tu „sympatyczny”, bo nie zareagował i w dalszym ciągu starał się coś wyciągnąć od chłopców i ode mnie.

W przeciwieństwie do dzieci „dałam się nabrać” i poinformowałam go, że „pani” ma amanta i pewnie już dawno jest z nim w Krakowie, a „pan” chce wystąpić o rozwód, ale nikt nie wie, gdzie „pani” szukać.

Najwidoczniej interesowała ich tylko Zosia. Hela z Joasią były przypadkową, uboczną zdobyczą.

Wypuszczono nas z pokoju.

Gabriel i Jurek wciąż jeszcze stali w kuchni. Hela w korytarzyku. Spuchnięta, z zakrwawioną twarzą, niepodobna do siebie. Była ubrana do wyjścia.

- Ubierz małą - powiedział do mnie ten gruby.

Z płaszczkiem Joasi podeszłam do Heli, korzystając z zamieszania. Nic o mnie nie wiecie, jestem sublokatorką, ratuj dziecko - szepnęła.

Odnalazłam „sympatycznego”.

Proszę pana, pan jest taki miły, przecież to nieporozumienie. Te sublokatorki to nie są żadne Żydówki, kto by trzymał Żydówki, i tak je wypuścicie, ale po co ciągnąć małą...

No i dostałam po mordzie właśnie od „sympatycznego”. Zabrali je.

Ciąg dalszy, jak już wspomniałam, w zbiorze dokumentów „Pawiak”. Tego samego dnia zginęły pod fałszywymi nazwiskami. Hela nic nie powiedziała. Ani Joasia.

Jurkowi kazali zabierać się do Mor. Wrócił od drzwi.

- Pan zapłaci za kartofle - zwrócił się do Gabriela. Gabriel dał mu jakieś pieniądze.

Jurek poszedł, buda odjechała. Zostaliśmy sami z dziećmi. Położyłam chłopców spać i odbyliśmy naradę.

Nie sądziliśmy, aby mieli tu wrócić. Jeżeli nawet nie dali wiary naszym wyjaśnieniom, musieli zdawać sobie sprawę, że ich wizyta doszła do Zosi i że ona już się tu nie pokaże.

Pomimo to o czwartej rano Gabriel mnie obudził.

- Ubieraj się, bierz dzieci i zaprowadź je do Mor. Sama też nie wracaj, aż dam znać.

Nie rozumiałam, skąd ta nagła zmiana.

- Przypomniał mi się sejsmograf Franusia. Mój sejsmograf nie da mi spokoju, jak długo tu będziecie.

- Ale w takim razie i ty nie możesz zostać.

- Muszę zostać. W razie czego wytłumaczę, że dzieci były wystraszone, bały się zostać w domu i że ty je zabrałaś do jakiejś swojej rodziny. Jeżeli i mnie nie zastaną, to koniec. Co dalej? Dom ostemplowany, ja bez pracy, ukrywający się? I wtedy już jest jasne, że mamy coś na sumieniu. Pośpiesz się, wyjdźcie, póki trwa godzina policyjna, bo potem mogą obserwować.

Mój sejsmograf milczał. Miałam nawet żal do Gabriela, że niepotrzebnie robi to całe zamieszanie. Nigdy nie byłam bardziej wolna od złych przeczuć niż tego ranka. Sprawa Heli była tak straszna i świeża, że widocznie przydusiła wszelką czujność.

Przed piątą rano wyszłam z dziećmi, żegnając stojącego w progu, uśmiechniętego Archanioła.

Dzieci zostały w Morach. Zosia oczywiście była już uprzedzona o tym, co się stało, i czekano na jej dyrektywy.

Co do Jurka natomiast doszliśmy do wniosku razem z kierowniczką, że powinien choć na parę dni zniknąć z Mor pod pozorem czynności służbowych. Gestapo miało jego personalia.

W mglisty, zimny, marcowy poranek szliśmy z Jurkiem polami pod siąpiącym kapuśniakiem. Postanowiliśmy iść do Warszawy pieszo, EKD mogła być obstawiona (i była) w poszukiwaniu Zosi.

Jaką siłą jest chęć życia! Pod wrażeniem wczorajszej katastrofy, oboje już notowani w gestapo, ja z niepewnością, czy będę mogła wrócić do Gołąbek, w tej chwili bez żadnego punktu oparcia w Warszawie - - szliśmy trzymając się za ręce, szczęśliwi, że widzimy te nudne, szare pola, że mokniemy pod dokuczliwym deszczem, że poprzez nędzne okrycia czujemy to przenikliwie zimno. Żyjemy. A w ciągu wczorajszego popołudnia tyle razy definitywnie żegnaliśmy się z życiem.

W tych okolicznościach nie mieliśmy prawa iść do Franciszka. Błąkaliśmy się po mieście do wieczora, a tuż przed godziną policyjną, wbrew wszystkim zakazom, zaskoczyliśmy Zochę, siostrę Jurka, na Humańskiej. O tej wizycie pisałam.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że gestapo jest w Gołąbkach. Pozostali tam kilka dni. Niczego się nie dowiedzieli. Zanim opuścili dom, wezwali sąsiadów, aby zakopali zwłoki Gabriela w ogrodzie. Dom ostemplowano.

## Ciocia Funia i jej kuzyn

Teraz dopiero staliśmy się kompletnie trefni, stanowiliśmy zupełnie świeże niebezpieczeństwo dla każdego, do kogo się zbliżymy.

Nie chcieliśmy już nawet prosić nikogo o nocleg.

Zaznaliśmy nocowania na różnych klatkach schodowych, chodzenia godzinami po ulicach z miną, że się ma coś pilnego do załatwienia, stawania przy pulpicie na poczcie i pisania czegoś, aby trochę się zagrzać. Dworzec, ten azyl tułających się, nie wchodził w rachubę jako jeden z najbardziej obstawionych punktów. Przesiadywaliśmy po kościołach, gdzie ciemne, opustoszałe w dzień wnętrza dawało trochę wytchnienia.

W ciągu tych dni postępowaliśmy jak trzeba, z jednym wyjątkiem: nie rozłączaliśmy się, choć razem byliśmy narażeni dziesięć razy więcej. Ale nie mogliśmy się zdecydować na znoszenie tych nie kończących się dni i nocy samotnie.

Wreszcie Jurek dostał cynk od Niusi Cholewińskiej, że może wrócić do Mor. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że nie ruszali Franciszka ani nikogo z naszych przyjaciół. Zosia przysłała po dzieci i zerwała wszystkie kontakty z poprzednim życiem gołąbkowskim.

A ja przypominałam sobie, że mam w kennkarcie tę idiotyczną fryzjerkę. Po prostu weszłam do zakładu fryzjerskiego na placu Narutowicza, który mieścił się między Filtrową a Mochnackiego. Była to jedna ze ścian domu przy Filtrowej 83, gdzie zamieszkaliśmy w 49 roku!

Za szybą tkwiła kartka: „Przyjmę pomoc fryzjerską”. Szefowi oświadczyłam, że jestem wprawdzie fryzjerką, ale od paru lat nie pracuję w zawodzie, więc na razie chętnie zatrudnię się w charakterze pomocy, żeby sobie przypomnieć to i owo. Dzięki niegdysiejszemu ostrzyżeniu Franciszka i upamiętnieniu tego w kennkarcie zwyciężyłam dwie konkurentki (amatorki, biedactwa!) i zostałam przyjęta. Co prawda, nie miałam pojęcia, co będę tam robić, bo od zawsze nosiłam gładkie, długie włosy i nigdy nie chodziłam do fryzjera, ale moja sytuacja życiowa nie sprzyjała zastanawianiu się nad takim drobiazgiem. Przyjęto mnie, nazajutrz miałam przyjść do pracy i na tym koniec.

Trzeba było jeszcze gdzieś mieszkać. Przystudiowawszy karteluszeki ponalepiane na przystankach i murach, znalazłam coś dla siebie, w dodatku na pobliskiej ulicy Mianowskiego: „Rozkładane łóżko polowe w zamian za pomoc w gospodarstwie” - to było to!

Mieszkanie należało do pary małżeńskiej, która w kuchni produkowała kiełbasy na sprzedaż. Moje łóżko polowe było ulokowane w pokoju cudownej, czarującej pani około sześćdziesiątki, która ten pokój wynajmowała jako sublokatorka. Kiedy zażenowana, nie wiedząc, jak przyjmie nie przez nią proszonego gościa, weszłam i przedstawiłam jej się, powiedziała:

- Jak dobrze, że pani tu będzie mieszkała, smutno mi było samej.

Była to pani Stefania Pytaszowa, która z miejsca kazała do siebie mówić „ciociu”.

Teraz dopiero odważyłam się pójść do Franusia. I znów zapukałam do drzwi naszym sygnałem „Ja jestem pies na to”, i znów on otworzył, i znów stanęliśmy naprzeciwko siebie. Po tym wszystkim, co

przewaliło się w ciągu kilku dni od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, znowu trudno było nam się odezwać.

- Szarpio - - powiedział wreszcie - - czy wciąż jeszcze jesteś taka kretinka?

Dopiero wtedy wyplakałam mu w kamizelkę czy raczej w podniszczony sweter - Helę, Joasię, Gabriela, Gołąbki, ale także Sabcię i Pickwicka, i Żeromskiego, i Żywulską w Oświęcimiu, i innych bliskich, i wszystko, co już się stało i co jeszcze mogło się stać. Nareszcie mogłam odpocząć od zaradności i odwagi. Przy nim, narażonym bardziej niż ja, czułam się bez sensu bezpieczna i uspokojona. Jurandot był też bardzo opiekuńczy i zrównoważony, ale nigdy nie mogłam się pozbyć poczucia odpowiedzialności za nas oboje, a specjalnie właśnie za niego, może za sprawą Sabci i Pickwicka, którzy go uwielbiali i do końca mieli zaufanie, że będę nad nim czuwać.

Trzeba coś dla ciebie znaleźć -- powiedział Franciszek, podając mi swoją chustkę do nosa.

- Nie trzeba. Mam mieszkanie i pracę.

Nie zawiodłam się. Wrażenie było właśnie takie, jakiego oczekiwałam.

- Głupie szarpio -.mruknął z uznaniem, ale po chwili dodał: - Jesteś mały harcerzyk.

A to się wybrał!

W czasie oblężenia, gdy oni z Jurkiem kierowali obroną przeciwpożarową bloku, o aprowizację musiały starać się kobiety. Kiedy co noc chodziłam do ostrzeliwanej kolejki po chleb, Jurek raz zaproponował, żeby poszła Zosia (Terné, przypominam, bo tyle tych Zoś). Fryderyk powiedział z oburzeniem:

- Zosia nie może iść. Tam strzelają. Ona jest mały, dzielny harcerzyk, ale to nie jest miejsce dla małych harcerzyków.

Przy każdym ryzykownym zadaniu wypluwał mały harcerzyk i wreszcie został wmówiony Zosi, która wcale nie była tchórzliwa, ale kto by nie wolał być wzruszającą kruszyną, niż wieczną dzielniachę. Harcerzyk stał się przysłowiowy i jeszcze po wojnie używaliśmy go z Jurkiem w rozmowach jako skrótu. I oto ja stałam się małym harcerzykiem i jeden jedyny raz w życiu wydałam się na moje bóstwo.

Nie jestem żadnym harcerzykiem, mam gdzieś twojego harcerzyka!

To darła się gorycz z czasu oblężenia, bo w gruncie rzeczy byłam zachwycona. Mój sposób bycia nigdy nie prowokował do rozczulania się nade mną, a jakże często było mi tego potrzeba.

I proszę. Oto mężczyzna. Tyle razy w tej wojnie znajdowałam się w krańcowej sytuacji, tyle ciosów mnie spotkało i zawsze w jego oczach byłam tą, która wszystko zniesie. Tylko dlatego, że miałam taką minę. A wystarczyło jeden raz zwyczajnie po damsku się rozkleić i już zostałam małym harcerzykiem. I to nie dlatego, że błyskawicznie załatwiłam pracę i mieszkanie, nie, to było naturalne. Wyłącznie dlatego, że szlochałam w kamizelkę.

Moja kariera w zakładzie fryzjerskim udowodniła raz jeszcze, że determinacja może zastąpić umiejętności. Zaczawszy od zamiatania salonu i noszenia ręczników do pralni, poprzez podawanie



fryzjerom szpilek i zakrętek, awansowałam do samodzielnego mycia głów i przygotowywania do trwałej. Kto wie, jak wysoko zawędrowałabym w miejscowej hierarchii, gdyby nie wojenny los.

Na razie byłam zadowolona. Czytałam wiele opisów upokorzenia, jakiego doznawali autorzy różnych wspomnień przy okazji przyjęcia pierwszego napiwku. Co do mnie - - przeciwnie. Kiedy pierwszy raz umyłam głowę klientce i ta wsunęła mi pieniądze „do kieszonki”, poczułam uniesienie równe wypłacie pierwszej gaży w teatrze. Łupy otrzymane tego dnia postanowiłam zużytkować na jakiś szlachetny cel i kupiłam Franusiowi nowy pędzel do golenia. Wręczając, wyjaśniłam z satysfakcją, że to za napiwki. Franciszek od razu wyrzucił swój pędzel, łusy jak kolano, w mojej obecności namydlił twarz, głośno się rozkoszując:

- Czuję się jak sutener. Okazuje się, że to bardzo przyjemne, chyba się, przerzucę. Jako dyrektor teatru ja byłem zależny od moich pań; a tak one będą zależne ode mnie.

Dodatkową atrakcją w nowym miejscu pracy była możliwość przysłuchiwania się rozmowom klientek. Był to dla mnie wówczas egzotyczny świat, daleki od wszystkiego, czym pod okupacją żyłam ja i całe moje otoczenie. Dowiadywałam się różnych „światowych” nowinek, kto z kim, a kto już z kimś innym, Dziuby i Buby (kwestia mody, teraz byłyby Mariole i Patrycje) zwierzały się sobie z najskrytszych sekretów łóżkowych i finansowych, krzycząc z całych sił, jako że siedziały pod suszarkami. Zwłaszcza cieszyły mnie rozmowy dotyczące znajomych, głównie aktorów. Pewnego dnia usłyszałam bardzo dobrze mi znane nazwisko...

Mówiła mi osoba zamieszana, wiesz w co, nie chcę teraz mówić, ona ma wiadomości. Podobno zastrzelili go w straszliwy sposób, razem z Ordonką - wrzeszczała jedna z pań.

- Jaka szkoda, taki piękny mężczyzna!

Ty myślisz, że oni się nad tym zastanawiają! Ale mówmy o czym innym, bo wiesz.

Można sobie wyobrazić uciechę Franusia.

Niestety, moja praca u fryzjera nie trwała długo. Jedna z klientek zaczęła mi się natrętnie przypatrywać. Kiedy po tygodniu znów przyszła, specjalnie czekała, żebym to ja jej umyła głowę, starała się nawiązać rozmowę, a wychodząc powiedziała coś cicho do szefa, możliwe zresztą, że na zupełnie inny temat. Ale ja już nie czekałam na wyjaśnienie. Więcej nie przyszłam i tyle.

A szkoda było posady, bo oprócz innych zalet okazała się użyteczna w sprawach konspiracyjnych. Od czasu do czasu przychodziły - nie znane mi zresztą -- klientki, które prócz drobnych pieniędzy wtykały mi do kieszeni zmiętą kartkę, a ja oddawałam ją gdzie trzeba. Była to prosta skrzynka i względnie bezpieczna. Całej tej imprezie dodawał wdzięku fakt, że zakład mieścił się tuż pod bokiem siedziby żandarmerii w obecnym Domu Akademickim. Nie dość, że stąd najczęściej wyjeżdżały budy na łapanki, ale w dodatku na samym placu Narutowicza i w okolicy szaleli pijani żandarmi, co nieraz obserwowaliśmy przez okna zakładu.

W każdym razie znów zostałam bez pracy. Nie sądzę, aby warto było opisywać me kończące się perypetie z moimi kolejnymi zawodami. Umówiłam się przecież, że piszę o Járosym, choć coraz trudniej mi ukryć, że opowiadam o sobie..

W nieco innej formie powtórzył się ciężki okres sprzed Gołębek, z tą jednak różnicą, że wtedy najgorsze były utraty kolejnych mieszkań. Tym razem czyjeś błogosławieństwo pokierowało moim wyborem „rozkładanego łóżka za pomoc w gospodarstwie” spośród tylu podobnych kartek, naklejonych na przystanku tramwajowym na Filtrowej.

„Ciocia Funia”, pani Stefania Pytaszowa, okazała się jedną z tych nieprawdopodobnych postaci, które można było spotkać w czasie wojny chyba tylko w Polsce. Naturalność, z jaką podejmowała najbardziej ryzykanckie formy pomocy dla zupełnie obcych ludzi, można porównać z pożyczaniem sąsiadce szklanki mąki. A takie osoby prowokują mnie do nadużywania ich dobroci. Toteż wkrótce jej pokój, podnajmowany w mieszkaniu masarzy, zaludnił się przepływowymi siostrzeńcami i bratankami, którzy, jak to w licznych rodzinach, nie zawsze znali się między sobą. Siedzieli, pili eratzherbatkę, czasem ktoś zostawał na noc i spał na kocyku pod moim rozkładanym łóżkiem. Powstał nowy azyl dla bezdomnych i poszukiwanych, których nie brakowało.

Sama ciocia była po wielkim wstrząsie: jej prawdziwy, ukochany siostrzeniec, Bronisław Hellwig, został ciężko ranny w zamachu na Kutscherę i w tym stanie przechowywano go w różnych miejscach, poszukiwanego przez gestapo. Może dlatego z tym większą serdecznością odnosiła się do reszsy przyszywanej rodzinki.

Masarze bardzo się nadawali na właścicieli takiego mieszkania, bo cały dzień pracowali w kuchni i czego nie powinni byli widzieć, tego nie widzieli. Ja ze swej strony dobrowolnie rozszerzyłam „pomoc w gospodarstwie” - która miała polegać na sprzątanii, zakupach i paleniu w piecach - - o rozpalanie pod kuchnią o świcie i obracanie wędlin późnym wieczorem, czym zaskarbiłam sobie ich sympatię i od czasu do czasu porcję smacznych resztek produkcji.

Z masarzami wiąże się zabawna, typowo okupacyjna historyjka. Oprócz szukających schronienia, odwiedzali mnie na Mianowskiego przyjaciele ot tak, towarzysko. Między innymi przychodził Staszek Średnicki, rzadki w tym skrzyżowanym kraju okaz aryjczyka od dziesiątego co najmniej pokolenia. Jako człowiek swobodny i towarzyski, zaglądał do kuchni, aby grzecznie przywitać się z gospodarzami.

-- Panno Steniu, mam do pani sprawę - powiedział pewnego dnia masarz. - Ma pani miłych znajomych i krewnych, proszę bardzo. Ale ten Żydek niech tu nie przychodzi, po co ma nas wszystkich narażać?

Dodam, że ulubienicą masarzy została Melania Wassermannówna (Maria Wisłowska), znakomita tłumaczka, której udało się uratować z getta, z czego nikt masarzowi się nie zwierzał.

Ciocia Funia od razu zaprzyjaźniła się z Jurkiem i dzięki temu mogliśmy się widywać bez mojego pałętania się po Morach, w bezpośredniej bliskości wciąż obserwowanych Gołębek.

Wtajemniczyliśmy ciocię w nasze prawdziwe personalia i losy, mógł więc mnie odwiedzać Franciszek, który stwierdził, że prócz tłumy siostrzeńców ciocią powinna mieć jakiegoś kuzyna i do statecznej, siwowłosej nauczycielki mawiał:

- Pamiętasz, Fuńka, jak oberwałem głowę twojej lalce i dostałem za to w skórę od twego taty?

Ciocia Funia brała udział w powstaniu jako najstarsza chyba sanitariuszka, a po wojnie podjęła pracę w szkole podstawowej w Zabrze, tam doczekała się emerytury. Ściągnęliśmy ją wtedy do Warszawy, gdzie pozostała już do śmierci, zawsze pogodna i pełna uroku.

Tak więc znów zaczęła się tułaczka po miejscach pracy. Ledwie gdzieś się przyjęłam, zawsze musiało zdarzyć, się coś, co pobudzało moją czujność, i znów trzeba było szukać. Aż raz zajrzało mi w oczy prawdziwe szczęście: Jurek zjawił się z wiadomością, że z Mor odeszło parę pracownic i kierowniczką poszukuje zielarek. Nie byłam żadną zielarką, ale równie dobrze nie byłam fryzjerką, pielęgniarką do niemowląt, sprzedawczynią w sklepie warzywnym (z moim antytalentem arytmetycznym!) czy sprzątaczką, a jednak przyczyną mego odejścia z pracy nie był nigdy brak umiejętności.

Kierowniczką uważała, że sprawa Gołębek przyschła, w każdym razie Niemcy przestali penetrować pod tym kątem okolicę. Była gotowa mnie przyjąć, ale mam nie zdradzać się, że już w tych stronach bywałam, a Jurka, czyli chwilowego Jarczyńskiego, mam zobaczyć pierwszy raz w życiu.

Na szczęście, nikt z szeregowych pracowników Mor mnie nie znał. Bywałam tam za czasów gołębkwoskich jako prywatny gość kierowniczki i przychodziłam na stryszek, kiedy był Franus, ale tam prowadziły zupełnie inne drogi.

I tak pewnego poniedziałku zasiadłam do segregowania nasion między innymi zielarkami. Byłam w siódmym niebie. Rano otrzymałam bezcenne zaświadczenie, że jestem „pracownicą itd. pod zarządem niemieckim”, a przed chwilą szarmancko przedstawił mi się miejscowy ulubieniec pań, niejaki pan Jarczyński, dozorca. Zamienił ze mną parę grzecznościowych zdań i poszedł. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, rozległy się chichoty.

- Jak on ci się podoba? - wołały dziewczyny, z którymi zdążyłam się zaprzyjaźnić w ciągu pierwszych kilku godzin.

- Co mi się ma podobać? Dozorca i już.

- Ale jaki on fajny, zobaczysz!

Mnie się podobają mężczyźni wykształceni, a nie takie coś. Młody, zdrowy, nie żaden inwalida - i dozorca.

On wcale nie jest prawdziwym dozorcą, to tylko na okupację.

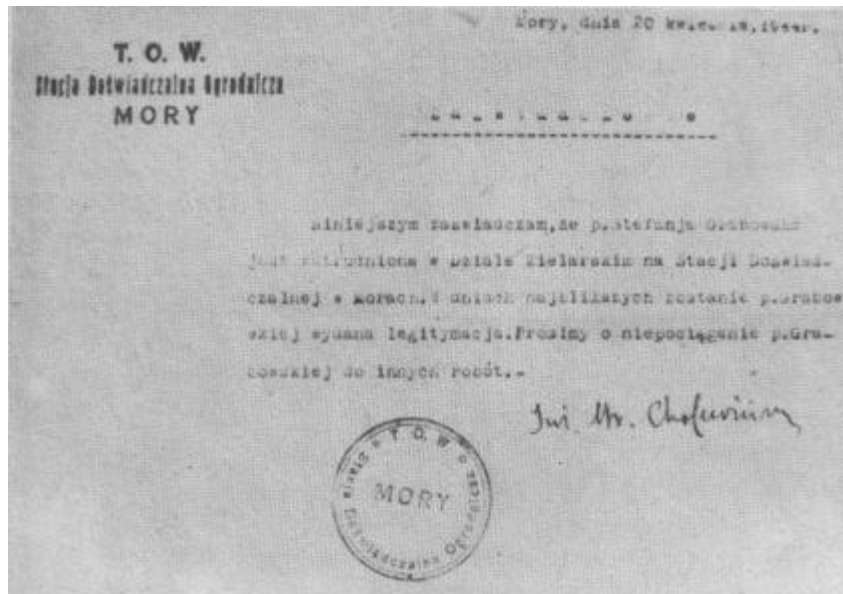
Zamarłam. Co one jeszcze wiedzą?!

[...] woli być tu, bo ma mieszkanie i utrzymanie. Mamy dużo takich pracowników.

No, przynajmniej na coś mu się przydały studia na wydziale chemii. Mądra Niusia! Rzeczywiście, Jurandot z wielkim trudem mógłby uchodzić za zawodowego stróża.

Praca zielarek przed sezonem polegała na segregowaniu nasion, a że jest to czynność mechaniczna, gadałyśmy godzinami i każda opowiadała o sobie. Musiałam i ja mieć jakąś historię. Zwykle pamiętam o zasadzie Franciszka, żeby być jak najbliżej prawdy, i stosowałam ją. Ale w tym wypadku uznałam, że przeciwnie, powinnam trzymać się jak najdalej od prawdy, ponieważ fizycznie jestem aż za blisko. Niestety, poniosła mnie fantazja. Stworzyłam więc sobie narzeczonego, lotnika w Anglii, w dywizjonie 303, oraz smutne losy mojej spacyfikowanej rodziny z Poznańskiego, z którą się pogubiłam. Jestem samotna w zupełnie obcych dla mnie okolicach Warszawy. Jedną z dziewczyn, rudowłosa Połcia, ogromnie zainteresowała się moim opowiadaniem, ale byłam tak zatokowana, że zwykła czujność spała jak niewinne dziecko.

Jednym z ulubionych tematów rozmów był pan Jarczyński. Dziewczyny twierdziły, że mu się spodobała i ostrzegały, że grozi mu wydrapanie oczu przez pracownicę innego działu, którą nazywały „wdową z Ożarowa”. Podobno wdowa z Ożarowa obiecywała sobie nowy związek małżeński.



- A co, oświadczył się jej? - spytałam.

- Akurat! Jarczyński nie z tych, co się żenią!

Nie chcąc pozostawać w niepewności, spytałam go w czasie niedzielnego spotkania u cioci Funi: -- No to jak, ożenisz się z nią?

Jurek wprawdzie się wykręcał, że podflirtowuje z panienkami („I wdowami” - dodałam) i wdowami dla lepszego kamuflażu. Uwierzyłam mu od razu założywszy, że fakt, iż 23-letnia wdowa była najatrakcyjniejsza ze wszystkich pracowników, to czysty przypadek.

Ponieważ w trudnych sytuacjach ciągnięcie diabła za ogon należało do naszych głównych rozrywek, Jurek nie odmówił sobie zalecania się z kolei do mnie w czasie pracy. Dziewczęta namawiały mnie, żebym go odbiła wdowie, ale ja pozostałam nieczuła: byłam wszak narzeczoną bohaterskiego lotnika, który przyleci nas wyzwalać na białym samolocie.

Było za dobrze, żeby miało trwać.

W Morach pracowała Helenka Niemyska, prześliczna prawdziwa ogrodniczka, zaprzyjaźniona z Zosią Kijkowską. Znała ona Jurka, mnie i całą naszą autentyczną historię. Z przyjemnością korzystam z okazji, żeby wspomnieć Helenkę, jeszcze jedną z tych wspaniałych postaci, z którymi dane mi było zetknąć się w czasie okupacji. W jej warszawskim mieszkaniu również działy się dziwne rzeczy, ona także dawała schronienie i ratowała licznych „wpadalców”, jak nazywaliśmy osoby po różnych wypadkach zmuszone do delegalizacji.

I właśnie Helenka wywołała mnie pod jakimś pretekstem.

- Jest niedobrze. Ta Połcia chodzi i opowiada, że kłamiesz i że wcale nie jesteś z Poznańskiego, bo ona przed kilkoma miesiącami widziała cię u dentystki w Gołąbkach. I że to jest podejrzane.

Nie mogłam po prostu z dnia na dzień zniknąć, jak to robiłam w podobnych wypadkach, bo narażałabym Niusię. Musiałam odejść oczyszczona z podejrzeń. Ale od czego prawo kontry!

Opowiedziałam zielarkom, że Helenka spotkała mnie jakoby przed dwiema godzinami w Gołąbkach i dopiero kiedy nie odpowiedziałam na powitanie, zorientowała się, że to nie ja. Mam, okazuje się, sobowtóra.

- No i co, Połcia? I po co były te szepty po kątach? - zawołała jedna z dziewcząt.

- To z zazdrości, bo pan Jarczyński Stefkę uwodzi - zaśmiała się druga.

W konsekwencji jednak należało się zmywać. Po kilku dniach z wielkim żalem byłam zmuszona straszliwie się rozchorować.

Przy wariackiej fantazji Staszka Średnickiego przyjazd po chorą w charakterze nagle wezwanego lekarza i zabranie jej były tylko miłym urozmaiceniem. Zabierał mnie z miną, jakbym miała nie dojechać żywa do szpitala, i uspokajał pełne troski zielarki:

- Wyjdzie z tego, jak Bóg da. Do mnie pomrukiwał:

- Czegoś taka rumiana, zblednij, umieraj trochę!

Kiedy nazajutrz spotkaliśmy się z Jurkiem u Franciszka, musieliśmy wysłuchać gorzkich słów:

- Gdybyś się trzymała naszych zasad i nie wymyślała niestworzonych rzeczy, byłoby w porządku, że byłaś u dentystki w Gołąbkach. Co do Jurka, to dopóki zalecał się do różnych pań, wszystko było dobrze. Dopiero kiedy się przerzucił na własną żonę, wynikły przykrości. Wszystko, co nienaturalne, źle się kończy.

Nasze żarty nie mogły zmienić faktu, że znów znalazłam się bez pracy. Robi się to nudne, mówicie, drodzy czytelnicy? Wam nudno? A co ja miałam powiedzieć? Toteż przysięgam sobie wówczas, że jak teraz znajdę pracę, to nic poniżej osobistej interwencji gestapo nie będzie w stanie mnie stamtąd ruszyć. I dotrzymałam słowa. Pracując jako „osoba do dzieci” na Saskiej Kępie, przestałam zwracać uwagę na wszelkie niepokojące sygnały (a tych nigdy nie brakowało) i dotrwałam aż do przyjscia frontu.

## Ostatni list

Przez całą okupację Franciszek stanowił trwały, niewzruszony punkt pośród wzburzonej, zniekształconej rzeczywistości. Do niego przychodziliśmy po jego mądre, przewidujące spojrzenie, po niezmienną pogodę, po głęboką kulturę, której tak nam brakowało w schamiałym do cha świecie.

Przez cały czas intensywnie pracował w konspiracji. Prócz innych zadań pisał satyryczne wierszyki, które sam tłumaczył na niemiecki i w tej postaci były one powielane i naklejane na niemieckie samochody i pociągi, głównie jadące na front wschodni. Inne rozpowszechniano w formie ulotek, jak na przykład ten o folksdojczu, rozrzucony na wiecu foksów w kinie „Roma” w Warszawie w lipcu 43 roku:

Wszystko na jedną stawiasz kartę!  
Na żywnościową. Wielkie nieba!  
Brzuchem nażartym nie na żarty  
Tyś całą przyszłość swą pogrzebał.  
Gdy bomby huczą nad Warszawą,  
Po polsku szepczesz swą Zdrowaśkę.  
Gdy odwołują alarm: „Brawo!  
Komm, Kaethe!”, wołasz swoją Kaśkę.  
Diabłu ogarek. Bogu świecę!  
Tak myśli ta zdradziecka hydra –  
Geszeft z Żydami, z Niemcem wiece.  
Tu szept, tam krzyk: ni pies, ni wydra.  
By wilk był cały, cała owca,  
W tym widzisz chytrą swoją rację,  
Tutaj „Siegheil” dla hitlerowca,  
Tam złotych pięć na konspirację.

I jeszcze wiersz spośród ponad stu, napisanych przez Franciszka i w różny sposób rozpowszechnianych.

My się już nie rozumiemy,  
Bo wiem, czego wy nie wiecie.  
Kiedy mówię wam o Goethem,  
Wy myślicie wciąż o ghetcie.  
My się już nie rozumiemy.  
Ja - ten z piórem, wy - ci z biczem.  
Zastanawiam się nad Nietzschem,  
Wy tak samo, lecz nad niczem.  
My się już nie rozumiemy,

W żałobie ja, wy w aksebantach.  
Ja kształciłem się na Kancie,  
Wy wyrosliście na kantach.

Zacytuję jeszcze za Koźniewskim fragmenty „Psiej ballady” drukowanej w numerze styczniowym 1944 w „Bądź gotów”:

Raz się kundle obruszyły  
na psie życie, pełne wad.  
Zeszły się, postanowiły  
Zaprowadzić nowy ład.

i dalej:

...więc wybrały sobie kundle  
hycła na przywódcę psów.

A kończyło się:

Dwa morały są w tej bajce,  
których chyba nie przeoczysz:  
hycel kundlom nie towarzysz.  
Nic mów „heil”, zanim przeskoczysz.

Rozdzieliło nas powstanie, po którym los warszawiaka zagnał go do Pruszkowa, a stamtąd do Buchenwaldu.

Ostatni raz widziałam się z nim pięknego lipcowego popołudnia 1944 roku. Nie wiedziałam, że żegnam na zawsze jednego z najmądrzejszych, najlepszych i najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich można sobie wymarzyć, dzielnego, odważnego Franciszka Nowaczka. Wprawdzie powojenne listy podpisywał „Franuś”, ale dla mnie stał się znów Jánosym, tak samo nieosiągalnym jak kiedyś, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz na scenie, tyle że teraz dzieliła nas realna przestrzeń między Warszawą a Londynem.

Po jego śmierci nie mogłam sobie darować, że może za słabo walczyłam o angielską wizję, bo w końcu to zdecydowało, że nie dojechałam.

W 1945 roku wyszedł w Londynie zbiorek jego okupacyjnych wierszy, z których dwa zacytowałam, a oto fragmenty wstępu pióra Mieczysława Lurczyńskiego:



„Miły Fryderyku - Franciszku!

Nie chodzi przecież o to, by wspominać czas miniony, gdy to pewnego, niezmiernie sobą znudzonego poranka pokazałeś się nagle na bloku sześćdziesiątym, aby wylądować na stałe w dienststubie w Buchenwaldzie. I nieważne jest, że Ty lub ja taszczyliśmy całymi dniami belki ze starych baraków lub opaskudzone niemożliwie trupy do krematorium, że w porannym chłodzie, dygocąc bez przerwy, stawaliśmy się wyznawcami kultu słonecznego z żarliwością starych Persów czy Celtów, że z instynktem wytrawnego Indianina rozróżnialiśmy kierunek wiatru, aby schronić się przed jego zębami za blokiem lub nędzną imitacją krzaka. Było to - lecz było to wszystko jak skorupa, pod którą staraliśmy się dotrzeć do jądra, do zrozumienia sensu i celu tych wszystkich drgnięć własnych i podrzutów, tego instynktu samoobrony, który pozwala nam widzieć śmierć w każdej jej ukrytej postaci i stwarzać antidotum w wizji zgoła odmiennego świata, świata, w którym tylko kilku najbliższych brało udział.

A świat ten, zbudowany na przesłankach ludzkich i artystycznych, zawierał w sobie takie zapasy tlenu, radości z odczucia rytmu, z melodii rymu, barwy słów, tańca myśli, tyle w nim było nieustannego



symposium pieniącego się intelektu, że straszliwość Buchenwaldu spadała do roli prowincjonalnej budy gabinetu figur woskowych.

A Ty dzierżyłeś prym, szarlatanie siwy, krzywiący ogromny nos na każdą uznaną wielkość, prawdom znanym podnoszący sukienki, aby je zawstydzić, szanujący kłamstwo jako materiał, z którego można szyć utwór literackiej fantazji, wielbiący i rozumiejący nieprawdopodobne. Stary koneser był z Ciebie, smakosz życia. A jednocześnie, poza łotrostwem wesołka, dla którego taki Auschwitz jest polem do zrobienia jeszcze jednego Ausch - «witzu», ukryty trwał w Tobie człowiek europejskiej prawdziwie kultury, dla którego nie było w wielu wypadkach możliwości wyboru i który dlatego nie znał kompromisu, idąc jasnym i precyzyjnie myślącym umysłem do otwartej walki z mętami, przed którymi cofali się dosłownie wszyscy.

Minęło życie twarde.

Twarz najbliższych zasnuta cieniem odległości. Ale pozostały słowa.

I te najniewinniejsze, które dadzą się wprowadzić w świat nie budząc zgorszenia publicznego, uwiodłem oto od Ciebie, aby weseliły teraz tak samo, jak swego czasu weseliły nas, nie umiejących się już śmiać beztrosko. Niechaj im spojrzenie ludzkie lekkie będzie”.

Nie znam Mieczysława Lurczyńskiego, ale zaskoczyło mnie jego spojrzenie na Fryderyka, spojrzenie mężczyzny, który poznał go w tak tragicznej sytuacji, zniszczonego, pozbawionego dawnej oprawy - a pomimo to identyczne ze spojrzeniem moim, kochającego go przez całe życie uczuciem trochę psa, a trochę pensjonarki.

Po wydrukowaniu fragmentów tej opowieści w prasie, jak już wspomniałam, odezwało się wiele osób. Najczęściej były to wyrazy radości od tych, którzy Fryderyka pamiętali i zgadzali się ze mną, że taka oryginalna postać nie powinna być zapomniana. Ale zdarzały się też głosy osób, które po prostu znały Franciszka Nowaczka - i tu poczułam się jak uczeń czarnoksiężnika! Przecież ja sama wymyśliłam to imię i nazwisko na użytek fałszywych dokumentów, a tu niemal po półwieczu staje przede mną jakiś Franciszek Nowaczek, który żył własnym, autonomicznym życiem...

Najmilszy jednak dar otrzymałam od pana inżyniera Kazimierza Tymińskiego z Katowic. Podarował mi swoją książkę pod tytułem „Uspokoić sen” - - opowieść o jego przeżyciach obozowych. Zacytuję parę fragmentów wspomnień z Buchenwaldu. Będzie to dopełnienie artykułu Mieczysława Lurczyńskiego, a zarazem jeszcze jedna weryfikacja mego sądu o Franusiu.

„[W Buchenwaldzie] chętnie przysłuchiwałem się filozoficznym rozmowom Lurczyńskiego z Jánosym. Pierwszy urzekł mnie bogatym, wyrafinowanym słownictwem, drugi ekspresją i pełną dowcipu elokwencją. Dowiadywałem się w czasie tych rozmów o życiu teatralnym, o aktorach, a szczególnie o warszawskim teatrze, o którym mało wiedziałem. W relacjach tych wyczuwałem, szczególnie u Jánosyego, wielki sentyment i uwielbienie dla Warszawy. W dyskusjach ze mną starał się udowodnić, że należy do najgorętszych patriotów Polski.

To nie twoja zasługa, że jesteś Polakiem - mówił pół żartem. - Urodziłeś się w Polsce, odebrałeś patriotyczne wychowanie. Ale ja urodziłem się na Węgrzech, a mimo to zdecydowałem się zostać na zawsze w Polsce, być jej wierny do końca życia, bo zakochałem się w Polsce”. I dalej:

„W tym czasie powstał jedyny niepowtarzalny egzemplarz «Wiadomości Haftlingowskich», napisany ręcznie przez Járosyego.

Oryginał tego wydania, przywieziony przeze mnie do Polski, znajduje się obecnie w Muzeum Teatralnym w Warszawie.

Czytaliśmy wiersze Fryderyka, zachwycając się zjadliwymi dowcipami, i podziwialiśmy jego odwagę. Zakończenie tej unikalnej gazetki skierowane było do Hitlera:

Pan nie jest un home comme il faut,  
I dżentelmenom robi pan dużo zawodu.  
Że pan jest u władzy, to jest Qui pro quo,  
Tragiczny błąd uległego narodu.  
Bo pana trzeba powiesić na latarni,  
By się jak najprędzej z nim rozstać.  
Wejdzie pan do historii, ale jako marny  
Iwan Groźny lub kiepski Herostrat.  
A ja osobiście mam pana za drania!  
I gdy pan będzie uciekał w swej klikli gronie,  
I pan mnie spotka - niech się pan nie kłania,  
Bo ja się panu na pewno nie odkłonię!”

Następuje ewakuacja więźniów do następnego obozu. Pociąg, którym ich wieziono otwartymi węglarkami, zostaje zbombardowany w miejscowości Celle.

„Razem z Járosym znalazłem się pod osiami węglarki. Znowu usłyszeliśmy charakterystyczny jęk spadających bomb. Po wybuchu drugiej serii zaczęliśmy uciekać w stronę lasu, który znajdował się około kilometra od stacji. Przed każdą nową detonacją przywieraliśmy jak najszczelniej do ziemi. W czasie przerwy zrzuciliśmy pasiaki. Przeistoczyliśmy się w cywilów, przesądzając równocześnie sprawę ucieczki.

Syreny odwołały alarm.

Widzieliśmy, jak policja otacza lasek, trzymając gotowe do strzału karabiny maszynowe.

Zdawało mi się, że wszystkie oczy dostrzegają nasze krótkie włosy i źle dopasowane ubrania. Po czterech latach obozu znalazłem się tak nieoczekiwanie na wolności, że nie mogłem się dostosować do nowej sytuacji. Popatrzyłem na Járosyego. Wyglądał tak spokojnie, jakby po dobrym obiedzie szedł na spacer. Pogwizdywał pod nosem, minę miał zadowoloną, a kiedy zauważył, że mu się przypatruję, na twarzy zajaśniał ten charakterystyczny uśmiech, z którym w teatrze «Qui pro quo» w Warszawie zapowiadał:

- Proszę państwa! Obecnie wystąpi...

Zrozumiałem wtedy, jakiego znakomitego aktora mam obok siebie. Poprawił mi się humor, poczułem się bezpieczniejszy i przestałem się bać.

Nagle stojący na środku jezdni Niemiec ze swastyką na ramieniu, który regulował ruch uliczny, krzyknął do nas:

- Halt! Wohin?

Zbladłem i przerażony czekałem na to, co dalej nastąpi. Wyszło mi w gardle i wiedziałem, że nie wydobędę ani słowa. Popatrzyłem na Járosyego. Miał poważną minę pełną oburzenia. Do podchodzącego policjanta krzyknął dobrą niemczyzną:

- Chciałem się ciebie, głupi młodzieńcze, zapytać, dokąd to my mamy iść? Przyjechaliśmy do Celle, aby wam pomóc w pracy, zbombardowali nas na dworcu przekłęci Amerykanie i nie wiemy, co teraz ze sobą zrobić!

Fryderyk powiedział te zdania tak przekonywająco, że skruszony i zbaraniały Niemiec poklepał go poufale po ramieniu i bardzo łagodnie oświadczył:

- Nie denerwujcie się! Ja kończę służbę i chętnie wam pomogę. Chodźcie ze mną.

Patrzyłem z zachwytem na Járosyego. Na taki bluff mógł sobie pozwolić albo doskonały pokerzysta, albo wspaniały aktor.

Tuż obok znajdowało się parę drewnianych baraków zamieszkałych przez Francuzów, którzy przyjechali do Niemiec na roboty. Tam skierował nas młody Niemiec, zadowolony z siebie, że nam pomógł.

- Komendant tego obozu to bardzo porządny człowiek - szepnął poufale - zgłóście się do niego.

Z odległości stu metrów widzieliśmy naszych kolegów, których esesmani ustawiali na placu dworcowym w kolumnę. Wielu schwytano podczas ucieczki, wielu zdeterminowanych zgłosiło się na dworzec dobrowolnie.

Wszystkich żyjących, schwytanych więźniów zaprowadzono do obozu koncentracyjnego Bergen Belsen. Tam w ciężkich warunkach niewielu doczekało wolności”.

Dwaj panowie schronili się wreszcie w baraku Polaków wywiezionych na roboty.

„Zaciekawieni pytali o nasze nazwiska. Kiedy Fryderyk opowiadał z pewną siebie miną, że nazywa się Franciszek Nowaczek i pochodzi z Czech, jeden ze słuchających uśmiechnął się podejrzanie i powiedział:

- Co też pan mówisz! Pan jest przecież Járosy z Warszawy, a ja z Grochowa. Znam pana ze sceny”.

Świadkiem dalszych losów Fryderyka po obozie był aktor, Wiesław Mirecki, który w książce „Wozem Tespisa po obcych drogach” opisuje powojenną tułaczkę grupy aktorów po Anglii i Włoszech.

„Pewnego dnia zjawił się w gospodzie jeden z najpopularniejszych ludzi przedwojennej Warszawy, Fryderyk Járosy. (...) Járosy, jak zawsze elegancki, tak w angielskim battle-dressie, jak niegdyś we fraku, zachował ten sam ujmujący uśmiech znany całej stolicy. Tak samo błyszcząły dowcipem

wielkie, czarne oczy, jeszcze ciemniejsze przy wyraźnym srebrze gęstych ciągle włosów. Nadal żonglował żartem, zaskakiwał niespodzianą pointą opowiadań.

Z przyjemnością patrzyło się na tego przystojnego mężczyznę, nie mającego w sobie nic z taniej kokieterii, tak często spotykanej u gwiazdorów lekkiej muzy. Gdy opowiadał z tym swoim charakterystycznym, a nie «robionym» akcentem o dniach okupacji, ukrywania się, ucieczkach, współpracy z Armią Krajową, o ciętych dowcipach antyhitlerowskich, które puszczał w obieg żywym słowem i dukiem, mimo woli przypominało się jego sławne powiedzenie: «Węgrem urodziłem się, Polakiem zostałem z własnego wyboru»,.

Cytatami z Lurczyńskiego, Tymińskiego i Mireckiego usiłuję wypełnić lukę między końcem lipca 44 roku a pierwszym jego listem do nas, który przytoczyłam na początku tych wspomnień. I, co najważniejsze, pokazać Fryderyka widzianego przez tak rozmaitych ludzi w tak różnych okolicznościach. Temu samemu celowi służy także wspomnienie Mariana Hemara napisane już po śmierci Járosyego, a wydrukowane w tomie felietonów wydanym w Londynie.

„(...) Od dawna szukałem okazji, by znowu nawiązać nici potarganej przypadkiem przyjaźni. Wiedziałem, że w ostatnich latach był poważnie chory na serce, mnie ono też nawalało, niewiele nam obu zostało czasu.

Przez wiele lat, w dawnej Warszawie, byliśmy, Járosy, Tuwim i ja, najbliższymi współpracownikami w «Qui pro quo», potem współnikami w sławnej «Bandzie» i mniej sławnej fuzji z Teatrem Polskim, partnerami w «Cyruliku Warszawskim» i tak dalej, i dalej. Właściwie wszystko, co się działo w historii literackiego kabaretu tych lat, robiliśmy z nim do spółki. Wojna położyła kres tej zabawie i rozdzieliła nas i nasze drogi. Kiedy zaraz po wojnie zjawił się w Londynie, po pierwszej radości, że uchwycił się i ocalał, różne rzeczy zaczęły stawać między nami i przeszkadzać przyjaźni. Nie mogliśmy się jakoś odnaleźć z powrotem. Co popsulo zażyłość i o co poszło - trudno dziś to ująć. Może o to, że już był Londyn, nie Warszawa, że życie każdym pokierowało inaczej, każdemu na inny sposób zepsuło młodość, zabawę i dobry humor. Może «smutek podobny był do nienawiści i stanął wielki, czarny między nami»... Ale nie raz, nie dwa myślałem o tym, żeby go odszukać, gdzieś, na drugim końcu ogromnego Londynu, znów spróbować zbliżyć się do niego, może wciągnąć go znów do teatru, choć teatr ten był już tylko śmiesznym cieniem naszego, dawnego. Czemu tego nie zrobiłem? Nie wiem. Zapewne z przyczyny, którą ktoś nazwał lenistwem serca. Z powodu tej opieszałości, która wszystko, co wymaga jakiegoś sentymentalnego wysiłku, odkłada do jutra.

(...) Nagle przychodzi dzień, po którym jutra już nie będzie. Karą dla tych, którzy pozostają przy życiu, jest głęboki żal, nie do naprawienia, i wyrzuty sumienia, które pieką gorzkim wstydem. Jaka to szkoda, że wszystkiemu, co w ludziach jest życzliwe dla siebie wzajem i przychylne, zgodne i rozsądne, pogodne i przyjazne, na drodze stają nerwowe urazy i dziecinne dąsy - dziecinne i puste, gdy mierzyć je grozą i powagą śmierci.

Żał mi bardzo, że daliśmy odejść Fryderykowi Járosyemu, nie pożegnawszy go za życia, serdecznie i pięknie, nie dawszy mu sposobności, aby on do nas wygłosił długą, dowcipną, pożegnalną konferansjerkę. Chciałem dziś napisać nekrolog Járosyego, ale niezbyt dobrze wiem, kim był i jakie było jego życie do czasu, gdy stał się Polakiem i warszawianinem humoris causa. On sam opowiadał mi pasjonującą historię swego życia dziesiątki razy. Niestety, za każdym razem była to inna historia. Járosy był człowiekiem na pograniczu prawdy i fantazji, rzeczywistości i urojenia. Był to baron von

Münchhausen, który wszystkie przygody opowiadał sam sobie i zdaje się, że sam sobie wierzył. Nawet gdyby kto chciał przyłapać go kiedy na zmyśleniu tego czy owego szczegółu, byłaby to rzecz trudna, bo najbardziej nieprawdopodobne szczegóły jego relacji okazywały się prawdziwe, a inne, pozornie niezbite fakty, okazywały się wysane z palca nimfy Meluzyny. Ale w przedwojennej szczęśliwej i płochej Warszawie, w której był gwiazdą najbardziej płochej sztuki, konferansjerem kabaretu, nikomu na myśl by nie przyszło brać czarujących fantasmagorii Fryderyka inaczej niż za dobrą, a w każdym razie zabawną monetę.

Fryderyk Járosy był obcokrajowcem z innego świata, świata sprzed wojny, ale sprzed pierwszej wojny światowej, z dawnej monarchii austriacko-węgierskiej, z dawnej Europy, która była jednym kontynentem, z dawnej operetki młodego Lehara. Kto wie, może dlatego tak łatwo i przytulnie zaaklimatyzował się w kabaretowym kawałku międzywojennej Warszawy?

Był człowiekiem niepospolitych, wszechstronnych i bystrych zdolności, które - stety czy niestety - nie były skupione w żadnym określonym talencie. Nic nie umiał, ale wszystko wiedział. Przede wszystkim był obdarzony przez bogów najbardziej niesprawiedliwym i nie zasłużonym i najbardziej w świecie tryumfującym darem - wdziękiem osobistym. Járosy żył z wdzięku swej twarzy, swego uśmiechu, swej urody i swego dowcipu, tak jak kto inny żyje z pracy rąk, z potu czoła i mózgowej harówki. Wdźwięk, jak każdy dar nie zasłużony, jest darem niebezpiecznym, dobrze, gdy idzie w parze z osobistą kulturą. Járosy wniósł na deski teatryku warszawskiego powiew europejskiej cywilizacji, dobrego smaku, dowcipu, który, jak każdy dowcip cywilizowany, wyrzeka się seksualnych dwuznaczników i lubieżnych aluzji.

Gość, zaanektowany z «Niebieskiego Ptaka», nastał w kabarecie warszawskim w okresie, w którym «Qui pro quo» było młode i błyszczało talentami. Ordonka i Zimińska, Dymśa i Krukowski byli dziećmi jednego rocznika - mieli po dwadzieścia pięć lat, kiedy spotkali się na jednej scenie, w rozkwicie swych talentów-. Ja byłem w jednym wieku z nimi, Tuwim i Járosy o kilka lat starsi, a «starcy» naszego zespołu, sędziwi komicy, mieli około czterdziestki. Nie dziw, że zachwycający teatryk tryskał temperamentem, wdziękiem, urodą, brawurą, bezgrzesznością młodości - tak jak kabaret może i musi. Rotmistrz tego zespołu, egzotyczny, z węgierską smagłą, smukły Járosy, o najpiękniejszych oczach, jakie widziałem w twarzy męskiej, o ślicznych białych zębach, czarującym akcencie zagranicznym - zawojował z miejsca Warszawę. Zanim ochłonęliśmy z pierwszego zachwyty, już był jednym z nas, już był warszawiakiem, swojakiem.

Podzielił nasz los, poszedł na emigrację. Kiedy myślał, że «wróci» - zapewne myślał o powrocie do Warszawy.

Pod koniec życia był schorowany, w niedostatku, na angielskim rządowym zasiłku. My wszyscy od razu zapomnieliśmy o nim. Teraz już go nie ma. Jaka to szkoda, że zniknął z naszego świata najbardziej czarujący ze wszystkich uśmiechów, uśmiech Járosyego, że już go nie zobaczę, że już mi nie zdąży przebaczyć długich lat zmarnowanych przez lenistwo i opieszałość mego serca”.

Dla lepszego zrozumienia tekstu Hemara i istoty konfliktu, o którym pisze, przypomnę, że Járosy w każdej sytuacji miał własne zdanie, niezależne od presji otoczenia. Od razu po wojnie postanowił wrócić do kraju. Pomimo nastrojów londyńskiego środowiska, nie miał co do tego żadnych wątpliwości i wcale się z tym nie krył.

„Naturalnie zobaczymy się niedługo, przypuszczam w marcu lub kwietniu - pisał w listopadzie 46 roku. - Zostaję tu tylko tak długo, aż spotkam się z całą moją rodziną, której od 8 lat nie widziałem. W styczniu mają się tu zjechać, córka moja i syn, siostry z Ameryki, bracia z Belgradu. Nagadamy się do syta i potem wrócę na zawsze do mojej rodziny: do Was, do Tuwima, do Zosi trojga nazwysk paradegojki, a przede wszystkim do następczyni tronu Szkarlatyny”.

Niestety, sprawy osobiste skomplikowały mu życie i nie dotrzymał terminu.

Zosia Terné na szczęście ocalała i mieli swoje piękne spotkanie w Anglii w 45 roku. Jeszcze w listopadzie 46 dostaliśmy od nich wspólny, pogodny list. Prosilili o repertuar dla obojga, żeby móc pracować i trochę się obsprawić przed powrotem do kraju. Wojna ma jednak to do siebie, że jeszcze po zakończeniu rządzi ludzkimi losami. Lojalność pokierowała decyzjami Franusia, inaczej być nie mogło... Spotkanie z Janką, z którą rozdzielono ich po Pruszkowie, zaważyło na reszcie jego życia. Ona wolała zostać w Londynie, przynajmniej na razie. A zaraz potem zjawiła się choroba.

„Czuję się niżej psa i sam siebie nie poznaję. Jak tylko będę znowu zdrowy, to napiszę list, w którym będzie nawet coś w rodzaju treści, pomysłów, ba! dowcipu i w ogóle jakaś resztką tego starego Járosego, kiedy życie jeszcze mu się podobało.”

„Ściskam mocno do serca - Wasz prastary Franciszek” -- tak kończył jeden z dramatyczniejszych listów ten człowiek, który chorobę uważał za upokorzenie, który nie chciał się pogodzić z niemożliwością przezwyciężenia czegokolwiek.

„Dlaczego dziś piszę do Was? Przypuszczam dlatego, że dziś w nocy miałem znów atak sercowy. Myślałem, że to już koniec i zrobiłem sobie zarzuty, że umarłem, nie powtarzając Wam jeszcze jeden raz, jak Was głęboko kocham, jacy jesteście mi bliscy i jak dzięki Wam ten najgorszy okres mego życia, szwabska okupacja, wydaje mi się najbardziej drogocennym wspomnieniem.

Czuję się taki samotny, że zaczynam zazdrościć każdemu, kto to wszystko już ma za sobą. To jest naturalnie bardzo głupia myśl, ale dlaczego nie miałbym być od czasu do czasu głupim? To jest cudowny odpoczynek i nawet Grodzieńska ongiś pozwalała sobie na takie ekstrawagancje, chociaż miała przecież takie ładne nogi” - pisał 31 stycznia 59 roku.

W miesiąc później znów atak serca.

„Ja wczorajszej nocy nie umarłem! - pisze 22 lutego 59 roku. - Całuję Was mocno z całego zawałonego serca.

Tymczasem powiem Wam tylko pod chajrem, że Was Trzech (miał na myśli nas i naszą córkę) kocham z całego serca - Wasz Franuś”.

A oto fragmenty ostatniego listu. Przypomnę, że napisaliśmy do niego, namawiając usilnie, żeby przyjechał, że będzie miał najlepszą opiekę, że część naszego mieszkania należy do niego, tak samo jak wszystko co mamy, łącznie z nami samymi. Odpowiedział:

„Moi najdrożsi, tymczasem o jakiegokolwiek podróży nie może być mowy, jak surowo orzekł eskulap. Widocznie chce mnie przygotować do najdłuższej wędrówki. Tylko niech on na moją współpracę w tym wypadku nie liczy!

(...) Przysięgam Wam, że od momentu naszego rozstania nie było ani jednej nocy, żebym przed zaśnięciem nie modlił się o Wasze zdrowie i szczęście.

To co raz przeżyliśmy - od głęboko wzruszającej serdeczności cudownych mamy i taty Jurka poprzez lądowanie Wasze na Filtrowej, do niezapomnianej, czarującej królowej Scarletiny, od dzikiego czosnkużarcia u Kijkowskiej do schowania się na strychu w Morach, od brydża z Ostrowską do koszmaru śmierci Gabriela, od wizyty Żeromskiego do mądrych proroctw Żywulskiej, od bezbrzeżnych fantazji do okrucieństwa przeżytej rzeczywistości, od wrytych w moją pamięć wierszy Jurka do przedstawień nocnych, pulowerów i prezentów Stefi, od bajecznej przyjaźni w jednym pokoju we troje do miłości najszczerzej w kłótniach o byle głupstwo - nic, dosłownie nic nie znikło z mojej pamięci.

Listy Wasze, które wycisnęły nie jedną łzę z moich oczu, były tak ogromną radością dla mnie, że znam je na pamięć i chodzę tanecznym krokiem po tym moście do mojej młodości.

Po powyższych przysięgach nie muszę chyba podkreślić, jak tęsknię za Wami, kochane mordy i z jaką radością przyjąłbym wasze zaproszenie. Niestety, wciąż jest to «ale». Taka decyzja nie zależy ode mnie, lecz li tylko od mojego lekarza. Bo - aż mi wstyd - muszę się przyznać, że przeżycia pod okupacją szwabską, przeżycia podczas powstania i pobyt w Buchenwaldzie, śmierć Ordonki i Tuwima i siostry i brata tutaj - w końcu dały się jednak we znaki.

Pozatym - (Stefi, nie czytaj tego ustępu) - jednak zbliżam się do... siedemdziesiątki i z ogromnym bólem i bolesną rezygnacją musiałem zdać sobie sprawę z tego, że wszystko, czego się spodziewacie z mojej strony, jest już niemożliwe dla mnie i mógłbym was i wszystkich tylko rozczarować na każdym kroku!!!

Jestem i będę do ostatniego tchu bardzo głęboko kochający Was

Fryderyk”.

Ten ostatni list był jedynym, który podpisał swoim własnym imieniem. Czy wiedział, że się z nami żegna i nie chciał odejść jako wymyślony Franciszek Nowaczek?

Kiedy po zakończeniu tych wspomnień ogłosiłam kilka fragmentów, pisało i telefonowało do mnie zaskakująco dużo osób, jeśli wziąć pod uwagę, że najmłodszy spośród pamiętających Járosyego ze sceny musieli mieć po sześćdziesiąt kilka lat...

Pytano mnie o różne szczegóły, wspomniano go nadzwyczaj serdecznie i myślałam sobie, jak by się cieszył on, który w latach pięćdziesiątych był przekonany, że w Polsce już nikt się nim nie interesuje.

Jeszcze raz odczułam - teraz już nonsensowne - zadowolenie, że tak dobrze rozkolportowaliśmy wiadomość o jego rozstrzelaniu. Większość telefonów dotyczyła daty jego śmierci: jeszcze po ponad czterdziestu latach rozmówcy moi byli gotowi twierdzić, że pewnie mi się coś pomyliło, bo ni wiedzą na pewno. Być może przyczynił się do tego film, w którym zupełnie fałszywie przedstawiono jego postać i losy.

Od kilku osób dowiedziałam się dopiero teraz, że w 1943 roku w kościele św. Jakuba na Ochocie była odprawiona msza święta za duszę zmarłego Fryderyka Járosyego. Klepsydra na murze kościelnym, zawiadamiająca o nabożeństwie, nie była podpisana.





## Proszę państwa

Jeśli któryś z żartów, zawartych w zapowiedziach Járosyego, wyda się komuś znany, to proszę sobie uprzytomnić, że tym żartom broda rosła przez pięćdziesiąt kilka lat. Kiedy wygłaszał je Járosy, były świeżutki i miały niemowlęce, gładkie buzie. Przytaczając te zapowiedzi, złą może wyświadczam przysługę jego pamięci, bo prócz aktualności, która główną była ich zaletą, cały gips tkwił w wykonaniu. Sądzę jednak, że dając czytelnikowi opowiadanie o najlepszym polskim konferansjerze, nie wolno nie zacytować choć kilku próbek jego tekstów.

Proszę pamiętać, że pochodzą one z sezonu 1928-29, czyli z czasów nawet dla mnie niemal historycznych.

Ze zbioru „Proszę państwa” wydanego w 1929 roku:

(...) Witam też wysokich przedstawicieli wysokiego magistratu, a zwłaszcza tę kochaną i drogą (coraz droższą) osobę, która przychodzi co dzień do naszej kasy i z anielską słodyczą zabiera 30% brutto. Ale my chętnie, a nawet z radością dajemy co dzień te pieniądze naszemu staremu i wiernemu druhowi - magistratowi. Bo kiedy spacerujemy sobie po ulicach Warszawy i widzimy rozwalone bruki; albo kiedy woda nie dochodzi do naszej łazienki... albo kiedy pół godziny czekamy na siedemnastkę... to wtedy się uderzamy radośnie w pierś i wołamy: „To za nasze pieniądze!” Dobrze jest przecież wiedzieć, na co się wydaje.

Najserdeczniej jednak witam stałych bywalców naszego teatru. Stałymi bywalcami nazywam te miłe postacie, które znają na pamięć każdy nasz program i które na minutę wcześniej szepczą sąsiadowi do ucha moje pointy.

Bardzo pragniemy wam iść na rękę. Tak jest! Nogami pójdziemy na rękę warszawskiej publiczności. Przekonał się, że ona nie może żyć bez girlsów. Idąc za słynnym aforyzmem króla francuskiego Henryka Któregoś Tam o kurach, chcemy, aby każdy chłop miał swoją girlkę w garnku. „Une courre dans son garneque”. Mamy tylko 12 girls, ale za to jakie! Jedna z Folies Bergères, druga z Casino de Paris, trzecia z Moulin Rouge, a czwarta także z Warszawy. Bo skończyły się czasy, kiedy różni Węgrzy i inne cudzoziemskie niebieskie ptaki i imponowały nam swoją „zagranicą”!

Przekład, czyli tłumaczenie, jest jak kobieta. Jeżeli wierny, to brzydki. Jeżeli ładny - to niewierny.

Opowiadano, że pewna znana z urody urzędniczka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zapomniała się do tego stopnia, że po trzech, kwartałach urodziło jej się dziecko. Ale to plotka, sam minister ogłosił sprostowanie, że jest rzeczą niemożliwą, aby w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych jakiś akt został wykonany z miłością, był gotów już po 9 miesiącach i aby to, co powstało, miało ręce i nogi

Najlepszą definicją słowa „pesymista” jest: pesymista to człowiek, który wygrywa wszystkie zakłady. „On neguje, go nic nie imponuje”, jak mówi piosenka - i okazuje się, że zawsze ma w końcu rację. W naszej dyrekcji Boczkowski jest pesymistą i mówi: „O, źle! Sala do połowy pusta”. Majde jest optymistą i mówi: „Świetnie! Sala jest do połowy pełna”. Ja jestem optymistą. Czy nie jest na świecie coraz lepiej? Za czasów Adama, Ewy, Abła i Kaina co czwarty człowiek na ziemi był zabójcą i 25% ludzkości ginęło gwałtowną śmiercią.

Mamy Teatr Wielki, którego frekwencja przypomina modę męską: latem na jeden rząd, zimą na dwa rzędy. A po drugiej stronie placu Teatralnego coś dla amatorów mocnych wrażeń - magistrat. A propos: w magistracie zdarzył się niedawno ciekawy wypadek. Pewien urzędnik zwrócił się do swego naczelnika z prośbą o jednodniowy urlop z powodu srebrnego wesela. Na to naczelnik: „Nie mogę, bo pan wykorzysta precedens i co 25 lat będzie prosił o dzień urlopu”.

Henryk Heine podróżował po Polsce i między innymi był w maleńkim miasteczku Lubartowie. Mieszkali tam sami biedni Żydzi. Potem Heine w Paryżu któregoś dnia rozmawiał ze starym Rotszyldem. Rotszyld powiedział: „Pan jest poetą, niech pan mi poradzi. Ja kocham życie i nie chcę umrzeć. Co robić?” Na to Heine: „Niech pan jedzie do Lubartowa. Tam jeszcze ani jeden bogaty Żyd nie umarł”.

Boli mnie to bardzo - ale co robić? Następny numer śpiewa ten... jak go? Krukowski. Przedtem był on tenorem bohaterskim w „Qui pro quo”. Czasem śpiewał po prawej stronie sceny, czasem po lewej, innych wariantów w jego karierze artystycznej nie było. To jest artysta, który przypomina Paderewskiego. Paderewski także nie jest śpiewakiem.

I nagle ten Krukowski pozazdrościł laurów kuplecistom. Zaczął robić intrygi, kopać dołki - - aż mu dyrekcja dała do śpiewania kilka samograjów, to jest takich utworów, które może śpiewać każda kucharka i będzie mieć powodzenie. A ja jestem zazdrosny! Powodzenie Krukowskiego zatruwa mi życie. I dlatego tyle mówię, żeby jak najbardziej odsunąć jego wyjście na scenę. Może ktoś zapyta, dlaczego dyrekcja nie daje mi tych piosenek. Otóż dlatego, że on się przysłużył dyrekcji i zwolnił nasz teatr od podatku.

Kiedy urzędnik magistracki przyszedł odebrać od nas podatek od widowisk, dyrekcja wprowadziła go na widownię akurat, kiedy Krukowski śpiewał na scenie. I kiedy urzędnik zobaczył tę twarz i usłyszał ten głos, to krzyknął: „To jest widowisko? To jest hańba, nie widowisko”. A że od hańby nie ma podatku, więc nasza dyrekcja od tego czasu nie płaci.

Teraz będzie śpiewał pan Krukowski, jeżeli tę osobę można nazwać panem, a to, co ta osoba robi - - śpiewaniem. Bądźcie dla niego dobrzy, bo chociaż jest to uroczo piękny mężczyzna, to jednak ma dużo ciężkich kłopotów. Gdyby nie miał długów, nie miałby w ogóle nic. Starych długów on nie płaci z

zasady, a z nowymi postępuje tak, że one się starzeją. Ostatnio on kupuje samochody na weksle, ale weksle jego kursują dłużej niż samochody.

Pan Krukowski szuka teraz ogiera, żeby pokryć swoje czeki. Biedny człowiek. I gdyby państwo zobaczyli tego Kazimierza nago - tę państwo rozplakaliby się z litości dla tej nieszczęśliwej postaci.

Kiedy widzę publiczność oklaskującą Krukowskiego, przypomina mi się anegdotka. Anglik spotyka na ulicy bardzo brzydkie dziecko i mówi do niego: „Twoja matka musi strasznie lubić rodzenie, jeżeli zgodziła się wydać na świat takiego potwora”. Publiczność musi strasznie lubić „szmoncesy”...

Do Wisły rzucił się jakiś człowiek. Na ratunek pospieszył mu przechodzień i wyciągnął z wody. Ale zaraz po wyciągnięciu samobójca wskoczył na drzewo i powiesił się. „Dlaczego pan go nie zdjął z drzewa?” zapytano tego, co ratował. Ten odpowiedział: „Myślałem, że on się powiesił tylko na pewien czas, żeby wyschnąć”.

Niedawno w jednym z większych teatrów warszawskich rozległ się podczas przedstawienia głos: „Panie, niech pan tak głośno nie chrapie! Całą publiczność pan obudzi!” U nas taka śpiączka byłaby niemożliwa: orkiestra przeszkadza.

Nasz teatr zasadniczo ma dwa felery. Pierwszy - - że nie ma w nim dobrych miejsc, bo orkiestrę wszędzie słychać. I drugi - że na 17 numerów programu jest tylko 6 zapasowych wyjść. Natomiast plusem jest to, że większość aktorów ma złą dykcję. W ten sposób publiczność nie rozumie, co aktorzy mówią i dlatego nie wygwizduje programu. Poza tym, co tam! Publiczność nie może gwizdać, kiedy ziewa. Jedyną pociechą tego teatru jest jego kapelmistrz, pan Wesby. On bardzo przypomina Beethovena. Także jest głuchy. Pan Wesby jest bardzo zdolnym kompozytorem. Napisał już kilka operetek, tylko do dziś nie wiadomo, czyja to muzyka.

Ktoś powiedział, że nigdy się tyle nie kłamie, co po polowaniu, przed wyborami i podczas wojny. Jeszcze kilka lat temu ten aforyzm był słuszny. Ale teraz istnieje także Liga Narodów...

Trudno. Jestem rozgoryczony i powtórzę tylko okrzyk Ludwika Czternastego po przegranej bitwie: „Bóg zapomniał widocznie o wszystkim, co ja dla niego uczyniłem!”.

Jeżeli daję żebrakowi na ulicy parę groszy, to wtedy myślę sobie, że ludzie myślą, że daję dlatego, żeby oni widzieli. Jeżeli nic nie daję żebrakowi, wtedy myślę, że ludzie myślą, że ja mu nie daję dlatego, żeby oni nie myśleli, że ja myślę, że jeżeli mu dam, to oni pomyślą, że daję, żeby oni widzieli. I co ja mam robić?

Co ja mam w ogóle robić? On mi przysłał list, który kończy się słowami „w przeciwnym razie”. Państwo chyba znają zwrot „w przeciwnym razie”? On, to jest nasz stary znajomy Fajteles, a „w przeciwnym razie” znaczy - - na pewno. Bo ja mu nie mogę oddać. Nie dlatego, że nie mam, ale dlatego, że nie mogę sobie pozwolić na płaconie długów. Nie należy żyć nad stan swoich wierzycieli. Oni są na ogół dobrzy ludzie. Każdy z nich pragnie naszego najlepszego. A nasze najlepsze - to są nasze pieniądze.

Zdawało się - Fajteles, mój stary przyjaciel... Ile razy mnie spotykał na ulicy, zawsze się pytał: „Jak się pan ma, co słyhać w teatrze, co pan porabia, która godzina, jak dolar?” A ja odpowiadałem: „Średnio, słabo, nic, piąta, spadł”.

Zarabiam bardzo dużo, nawet coraz więcej: dwa miesiące temu należała mi się od dyirekcji pięciomiesięczna gaża, a teraz już siedmiomiesięczna.

Madame de L'Espinasse mawiała: „Po co mam być wierną żoną? Po co unieszczęśliwiać jednego, kiedy mogę uszczęśliwić wielu?”

Nic dziwnego, że przy dzisiejszym tempie życia ludzie krótko żyją. Jeżeli się teraz nawet spotyka starego człowieka, to on na pewno jest jeszcze z dawnych czasów.

To tempo daje się we znaki również teatrowi. Autor nie może nadążyć za publicznością. Są sztuki, których pierwszy akt jest już przestarzały wtedy, kiedy grają ostatni.

Parę lat temu pewne przesilenie rządowe zostało na błagania dyrektora Boczkowskiego odłożone na parę godzin, aby w „Qui pro quo” mogła się odbyć premiera politycznej rewii. Gdyby rząd podał się do dymisji przed siódmą wieczór - rewia przestałaby być aktualna. A przecież łatwiej jest stworzyć nowy rząd, niż nową rewię.

Wiosna, messieurs, dames! Le printemps, panie i panowie! Pączki na drzewach zaczną pękać ze szczęścia, ludzie - z miłości i śmiechu, a właściciele ślizgawek ze złości! Strumyczki będą tirlimirlić srebrnymi dzwoneczkami, kwiatki pokażą swe półgłówki spod śniegu, zaćwierkają ptaszki: w Saskim Ogrodzie po żydowsku, w łazienkach po polsku. Słońce otworzy fabrykę luster na warszawskich ulicach i wszyscy pójdziemy na wesoły spacer, wszyscy będziemy pachnieć naftaliną, w której nasze zeszłoroczne palta i kostiumy spały, i wszyscy krzyknemy: „Evoe! Wiosna! Ale skąd wziąć pieniądze?”

Prasa... kto nie wie, co to jest prasa? Ja osobiście nauczyłem się szanować prasę od zeszłego tygodnia. Zginęła mi wtedy bardzo ładna papierośnica. Dałem ogłoszenie do gazety i już nazajutrz znalazłem ją - w innym ubraniu.

W pewnej szkole nauczyciel tłumaczył dzieciom, co to jest rym, i kazał dawać przykłady. Mały Moryc powiedział następujący wierszyk:

Miał jeden chłopczyk na ryby chętkę,  
Więc wszedł do morza, trzymając wędkę.  
Na dnie leżały różne skorupy,  
A woda sięgała mu do - tydki.

Na to nauczyciel: „Pierwsze dwie linijki dobre, ale koniec się nie rymuje”. A Moryc odpowiada: „Panie profesorze, teraz nie, bo jest odpływ, ale niech pan poczeka, aż będzie przyptyw, to się rymuje”.

Zawartość pończoch damskich, czyli tak zwane nogi, zawsze miała duże znaczenie w dziejach ludzkości. Ale co z tego? Gdy patrzę nawet na najpiękniejszą nogę, myślę z melancholią: „Nawet najpiękniejsza noga gdzieś się kończy”.

W Polsce jest mi bardzo dobrze. Cieszę się nawet powodzeniem. Doszło do tego, że wojsko staje przede mną na baczność. Serio! Wczoraj przechodzę koło komendy placu i żołnierz stojący na warcie prezentuje przede mną broń. Państwo nie wierzą? Proszę się spytać pana pułkownika Becka. On razem ze mną szedł.

Niektórzy nie odróżniają „cyklamenu” od „cyklu”: pierwszy oznacza wielki huragan, a co do cykla - - to był olbrzymem z jednym okiem.

Jak często słyszymy pytanie: „Czy mówi się champignon czy champion?” Odpowiedź jest prosta, zależy tylko od tego, o co nam chodzi. Jeżeli mowa o środku do mycia głowy - - mówimy champignon, jeżeli zaś o papierowej latarni japońskiej - - mówimy champion.

„Cyceron” jest to biusthalter, a „cziczerone” - - rosyjski minister spraw zagranicznych. (Cziczerin - S. G.)

„Duplikat” jest to połączenie dwóch półduplikatów, a „draperia” oznacza skutek swędzenia.

Mówimy „autograf na samochód hrabiego, a jeśli nam się auto nie podoba, mówimy „auto da fe”...

„Impertynencja” to męskie niedomaganie, które nie ma nic wspólnego z „imperatywem”, gdyż imperatyw to wprost przeciwnie: cesarz i władca.

„Doktryna” jest to żona lekarza, „mantyla” wódz Hunów, zaś „Astma” imię żeńskiej słynnej gwiazdy filmowej Nelsonówny, córki tego, co wynalazł zrazy. (Asta Nielsen - S. G.)

Kończąc mam nadzieję, że mój pierwszy występ, czyli „debet”, będzie życzliwie przyjęty przez publiczność. Każdy początek jest trudny, za to koniec wieńczy dzieło - - finis coronat łobuz.

Cóż, FINIS CORONAT OPUS...





„Chcę opowiedzieć o człowieku zwycięskim. Sam jego wygląd nasuwał to określenie”



„Stworzył Ordonkę, z którą stanowili przez lata piękną parę”. Riwiera, 1926 rok.



„Wypchnął na scenę uroczą piosenkarkę, Zofię Terné”





„Z zespołu szesnastu pięknych Tajann-girls wyłowił Stefcię Górską”.



„Żelichowska mówi wiersz Tuwima tak, że sala zastyga”.



Zosia Terné i Marian Rentgen, znakomici piosenkarze.



Marian Rentgen w piosence „Babuleńka”.



„Nasza rówieśnica była sławną gwiazdą filmową”. Zdjęcie z programu filmowego: Maria Górczyńska, Kazimierz Junosza-Stepowski, Jadwiga Andrzejewska.



Skecz „Akademia Kelnerologii”. Od lewej: Edmund Minowicz, Konrad Tom i Eugeniusz Koszutski.



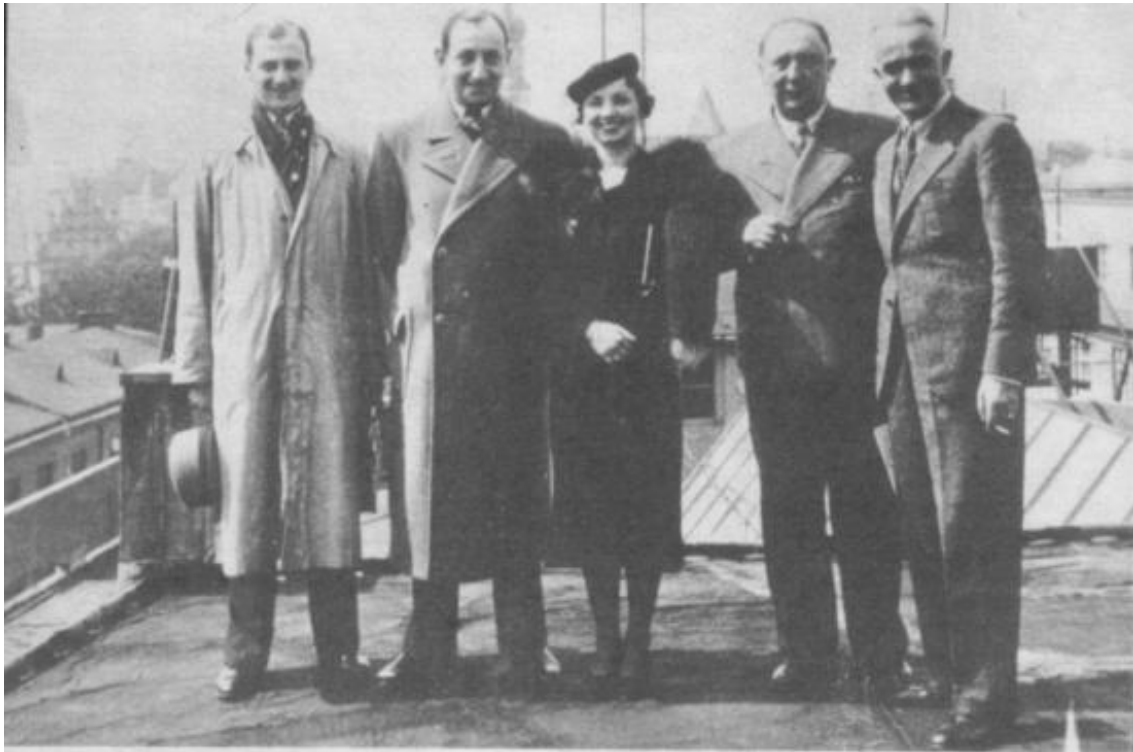
Bal w „Adrii”, 1939 rok. Od lewej: Jadwiga Andrzejewska, Stefania Grodzieńska, Helena Kitajewicz; stoją: Edmund Minowicz (drugi), Jerzy Jurandot (czwarty).



„Snułam się po scenie Teatru Kameralnego za 2 złote dziennie, ubrana w worek, bo przedstawienie było nowoczesne”.



„Opuszczając scenę po tej premierze, byłam najszczęśliwszą dziewczyną w Warszawie...”



Od lewej: Leon Boruński, Kazimierz Krukowski, Stefcia Górską, Ludwik Lawiński, Marian Rentgen.



„Półfinałem był »Walczyk Warszawy«". Od lewej: Maria Nobisówna, Helena Grossówna, Zofia Terné, Stefania Grodzieńska, Eugeniusz Koszutski, Pola Szmarówna.

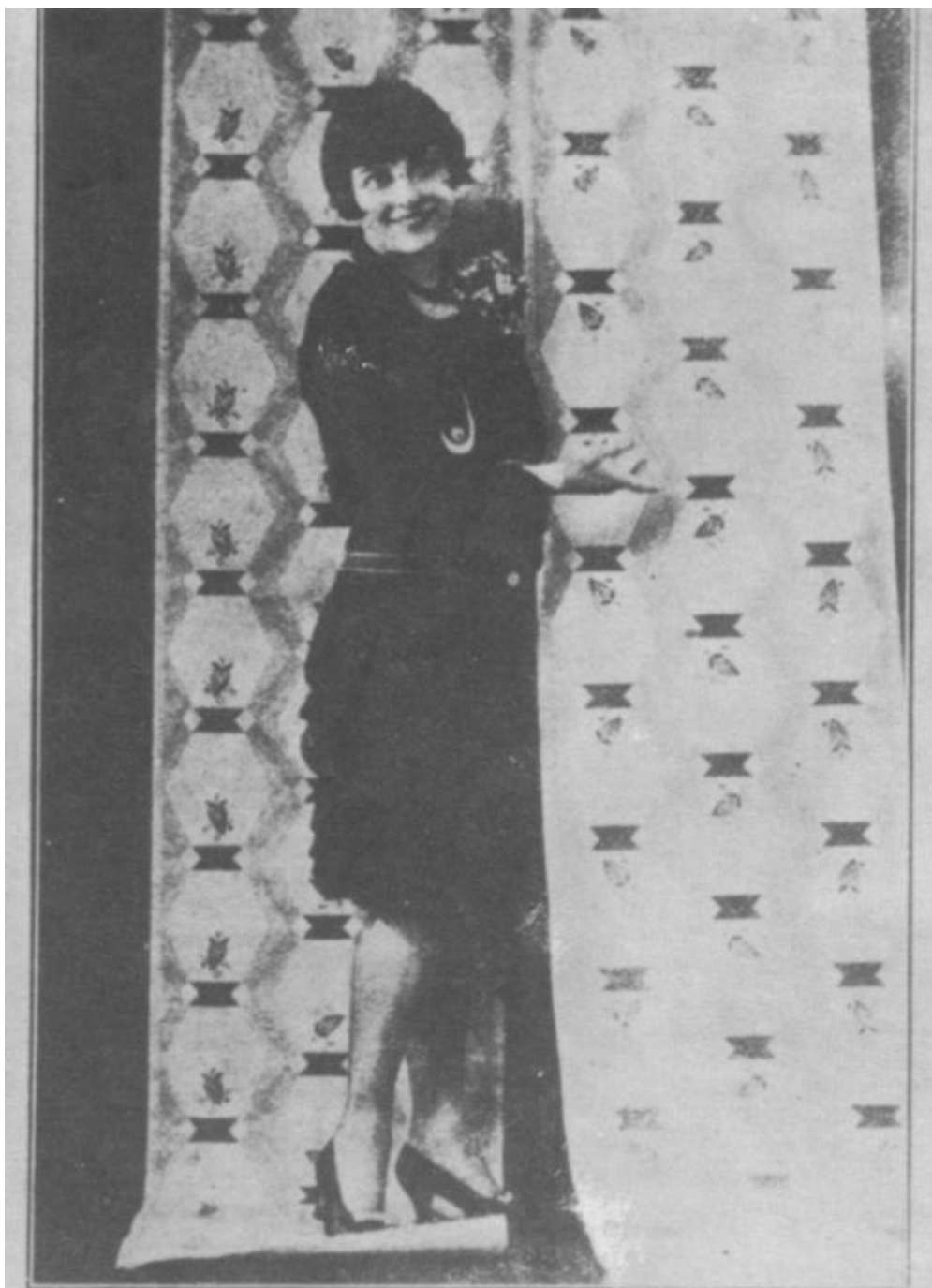




„Jurandot pisał już do teatryków i uchodził za następcę najlepszych autorów”.



Stefcia Górka była autorką przebojów do tekstów Tuwima („Oldlena”).





Ozdoba, mojego nowego mieszkania  
z piśkwa tapety od  
P-ci Rosenbaum, Ryńska 16  
Zula Pogorzelska



Kazimierz Krukowski i Fryderyk Járosy reklamują futra od Apfelbauma.

WYTWORNE  
SNIEGOWCE  
I BUTY

◀ PEPEGE ▶

są ozdobą  
każdej kobiety

*Stanisław Odrobina*



WYEWY  
NARTY-SANKI  
KOTLEMY-TRZYKOLESI-RELI  
4-2-0  
2-2-0-0-0

KR. PRZEDM. 16  
KOMISPOLU

Jestem bardzo dumny  
bo  
wykwipowawszy się  
w KOMISPOLU  
wyglądam  
na 100% sportowca

*Adolf Dyjała*



Stoją: z lewej Stefcia Górską, w środku Lena Żelichowska.



„Najbardziej fascynujące były w jego twarzy ogromne, czarne oczy”.



„Nikt by nie uwierzył, że nie tworzy tych słynnych zapowiedzi teraz, w tej chwili“.





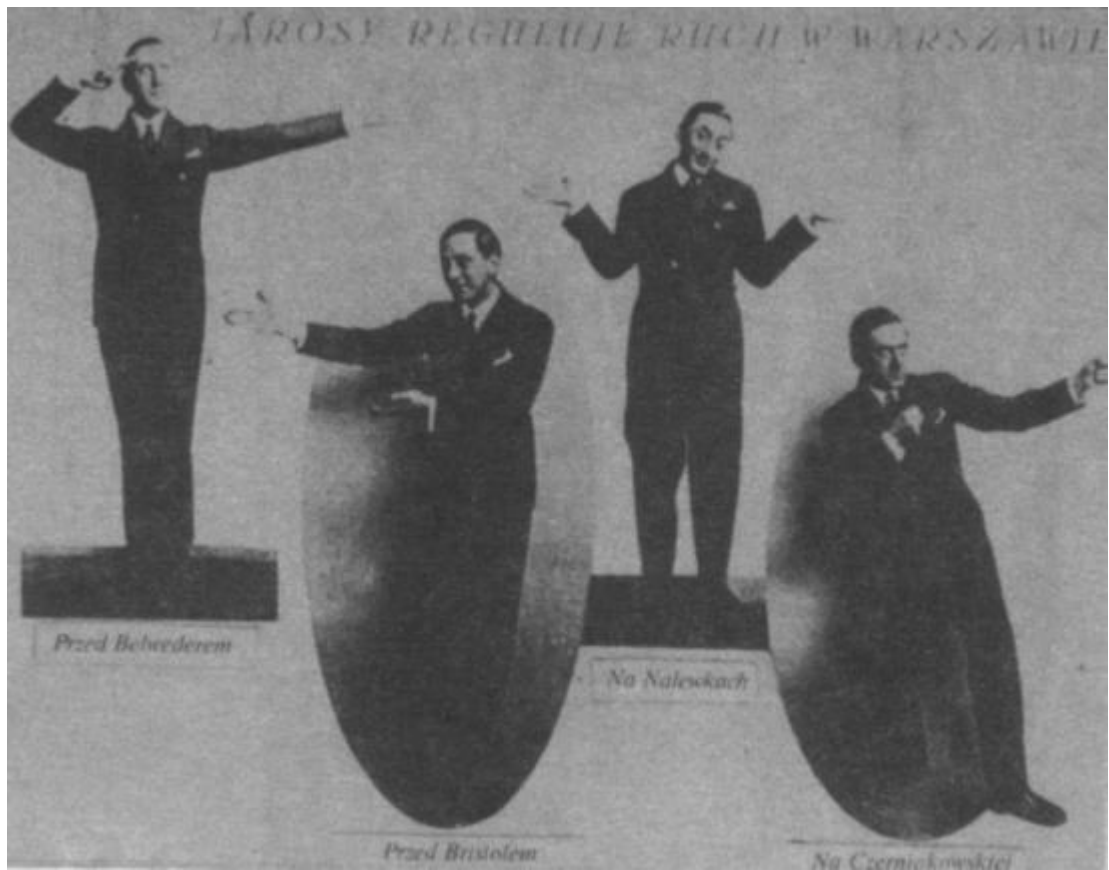
Skecz z Zosią Terné, 1938 rok.



„W następnym programie gram to z Żelichowską”.



„Járosy wychodził na proscenium i trzymając lewą ręką brzeg kurtyny, mówił swoje słynne »prousz panstwa«”.



„Przez wiele lat byliśmy, Tuwim, Járosy i ja najbliższymi współpracownikami” pisze Hemar. Na zdjęciu od lewej: Julian Tuwim, Fryderyk Járosy, Marian Hemar.



Járosy w różnych wcieleniach: jako Napoleon (1929 r.)



...jako Fryderyk Wielki (1936 r.)



„Pokutuje raczej filmowe wyobrażenie o ostatnich tygodniach przed wojną”. Sierpień 1939 - Járosy kwestuje na PCK.



„Uratowała wszystkich i wcale jej nie kropnęli, ale to już w ramach cudu”. Inżynier Bronisława Cholewińska.



„Odzyskajcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić”. Dom w Gołąbkach.



Zofia i Gabriel Kijkowscy

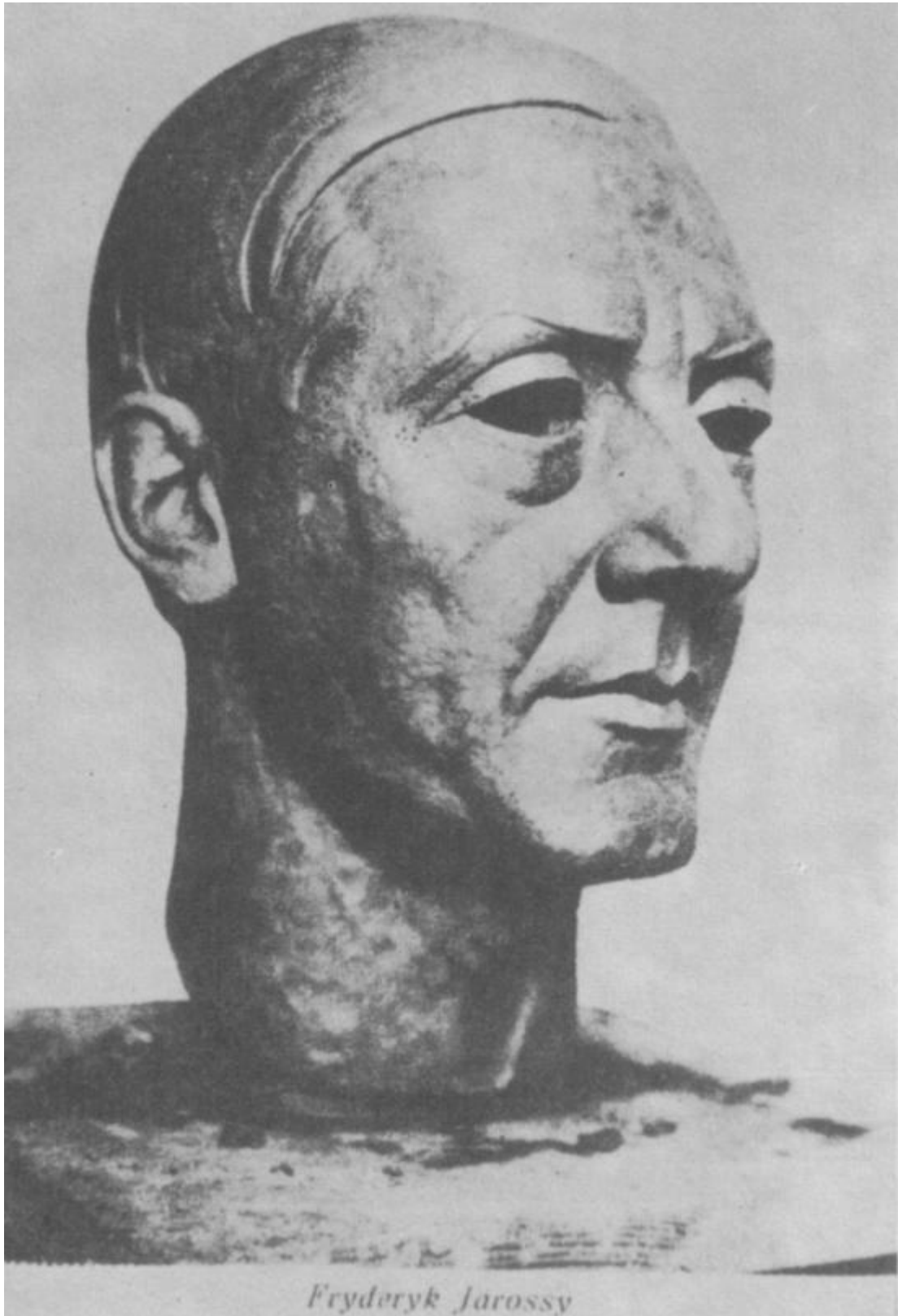


„Dzieci są niebywałe”. Jacek i Piotr Kijkowscy, 1946 rok.





„Czuję się niżej psa i sam siebie nie poznaję” - pisał Járosy z Londynu.



Rzeźba Magdaleny Grossowej.

## Spis treści

Jak go pokochałam .....	3
Szarpió z akcentem na „o” .....	9
Ludzie Járosyego.....	21
Hotel George’a i Morduch Nikczemny .....	27
Zakopane, pani Maryna i milioner.....	36
Zamiast premiery.....	51
Nie chcieli być w tołpie.....	58
Komendant bloku .....	61
Sikiewicz z masłem .....	69
Koniec Poznańskiej .....	82
Dni na Złotej .....	89
Noce na Złotej .....	99
Reichsdeutsch w getcie .....	108
Różowa żyrafa z asem karo w pysku .....	110
Dzoker ze znajomej talii.....	115
Nocny stróż pod zarządem niemieckim .....	119
„Odzyskajcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie” .....	123
Wielkie pranie i inne rozrywki .....	131
Natalia .....	137
Sejsmograf Franciszka .....	141
17 marca 1944.....	146
Ciocia Funia i jej kuzyn.....	151
Ostatni list .....	158
Proszę państwa.....	169

Projekt okładki i stron tytułowych Tadeusz Kazubek  
Na okładce wykorzystano reprodukcję okładki zaprojektowanej przez Zdzisława Czermańskiego  
Zdjęcia w zbiorów Stefanii Grodzieńskiej oraz Rudolfa Gołębiowskiego. B. J. Dorysa i archiwum CAF  
Reprodukcje zdjęć Maciej Brzozowski  
Redaktor Larysa Misiak  
Redaktor techniczny Katarzyna Pasternak  
Korektor M. Iwona Chrzastowska  
© Copyright by Stefania Grodzieńska. Warszawa 1988  
Wydawnictwa Radia i Telewizji Warszawa 1988  
Wydanie I. Nakład 29 740 + 260 egz.  
Skład wykonały Zakłady Graficzne w Bydgoszczy, ul. Jagiellońska 1.  
Druk i oprawę wykonały Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów ul. Marchlewskiego 19  
Zam: 3589/88 K-49  
ISBN 83-212-0501-1

